

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

L U T Y.

1900.

---

TOM I. — ZESZYT 2.



---

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

1900.

## TRZEŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. SŁOWIANIE I NIEMCY, — przez A. Brücknera . . .	197
II. SZUJSKI JAKO POETA (dalszy ciąg), — przez St. Tar- nowskiego . . . . .	232
III. PRZEMYSŁ W KRÓLESTWIE POLSKIM. I. TKACTWO.  II. PRZETWORY ROŚLINNE, — przez Stanisła- wa Koszutkiego . . . . .	258
IV. RICK I ROCK, powieść (dalszy ciąg), — przez Wincente- go Kosiakiewicza . . . . .	287
V. POLACY-MINISTROWIE W AUSTRYI. (Od Gołuchowskiego do Gołuchowskiego), — przez E. Lipnickiego . .	321
VI. WRAŻENIA LITERACKIE. O „czującym wiedzeniu“ Żerom- skiego, — przez Antoniego Potockiego .	357
VII. PIŚMIENICTWO. 	
B. Czyczeryn: „Wykład nauki państwowej: Polityka“. 8-o, str. 556, (Moskwa, 1898), — przez Szymona Aske- naze go . . . . .	373
„Sami sobie“. Książka zbiorowa na rzecz Warszawskiej Kasy Literackiej. Warszawa. Nakładem Warszawskiej Kasy Literackiej. Druk pp. Laskauera i Babickiego, 1900. — przez A. P. . . . .	379
VIII. KRONIKA MIESIĘCZNA.	
Konkurs poetycki „Prawdy“ i jego wynik. — Odezwa „Wisły“. — Ruch wydawniczy i estetyka wydawnictw. — Kursa farbiarskie i kilinki krajowe . . . . .	382
IX. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	491



De. II. 1.

# Słowianie i Niemcy.

---

Gdyby trwała zażyłość wystarczyć miała do wywołania wzajemnych affektów, nie było-by szerszych przyjaciół nad Słowian i Niemców. Bo ta ich zażyłość trwa już lat dwa tysiące, a to, jak na stosunki ludzkie, przeciąg czasu nielada. Ba, pierwsze jej zarody datują się od wieków znacznie dawniejszych—wyszli przecież Słowianie i Niemcy z jednego łona, są to gałęzie jednego praszczepu; lecz nie wspólne początki tu rozważamy, tylko czas, od kiedy obie jednostki etniczne, każda z wyrobionym już typem fizycznym i moralnym, z osobnym temperamentem, ustrojem, językiem, obok siebie stanęły; od kiedy zadzierzgnęły się po raz pierwszy węzły owej, jedynej w dziejach, dziwnej wzajemności, z której się i dziś jeszcze po części wyplątać nie zdołaliśmy—istni bracia Siamscy, skazani na nierozłączność, a mimo to najczęściej najzawziętsi jedni drugich wrogowie.

Stosunki słowiańsko - niemieckie przechodziły koleje tak różnorakie, tak niespodziewane, nieprawdopodobne nawet, że próżno-byśmy gdzieindziej równych przykładów dobierali. Czego tu już nie było! Tępienie systematyczne za pomocą miecza, kościoła, szkoły i państwa; powolne rozplywanie się w otoczeniu obcem; panowanie jednych nad drugimi; zupełne, czy tylko powierzchowne, cofanie się jednego żywiołu, wreszcie zanik jego całkowity i znowu nagłe, niespodziane wskrzeszenie i odzycie: takie i podobne przejścia, wahania, przemiany składają się na te dzieje słowiańsko - niemieckie, pisane krwią i żelazem, owiane rzadko duchem miłości i zgody.

Przypatrzmy się choćby Czechom a Niemcom. Zhołdowani przez Niemców, odzyskują Czesi niebawem niezawisłość, aby ją jeszcze rychlej raz na zawsze utracić: wpływy kultury niemieckiej wzmagają się między nimi, od dworu królewskiego, od zamków magnackich, od kupiectwa i przemysłu górniczego, tak wczesnie i tak potężnie, że już w wieku XIII Niemcy tylko chwili wyczekiwali, kiedy-to na moście praskim nie będzie widać Czecha; lecz ich tryumf był przedwczesny, bo XV stulecie splókało rdzę, która już naród czeski przegryzać się zdawała. Aż znowu w wieku XVII, kiedy-to nad owym mostem praskim powbijano najdzielniejsze głowy narodu czeskiego, przechyliła się szala na stronę niemiecką, a przy końcu wieku następnego, nadzieja owa zwycięstwa stanowczego Niemców zdawała się ziszczona, raz na zawsze. I oto znowu niespodzianka: iskry, co lada chwila zagasnąć miały, rozdmuchano, i w nowym ogniu splonęły naleciałości obce, odżył naród czeski i mowa jego. Na tej małej ziemi czeskiej odegrały się też najwcześniej wielkie dramata historyczne nowszych czasów, bo i swobodę wyznań najpierw obronił husyta przeciw światu katolickiemu, i walki narodowościowe najpierw się w Czechach odezwały <sup>1)</sup>, i pod ich wpływem obudziło się tutaj najpierw poczucie plemiennej, słowiańskiej wzajemności, ów panslawizm pierwotny, zupełnie odmienny od późniejszego.

<sup>1)</sup> Posiadamy wiersz łaciński z początku XIV wieku o krakowskim wójcie Albercie; nasi historycy literatury uważają go za utwór polski, lecz chyba się mylą; będzie to raczej czeski: tylko w Czechach mógł już wtedy antagonizm narodowy urosć do tego stopnia, żeby autor wiersza posądzał Niemców o powolne a systematyczne wypieranie krajowców, i przestrzegał przed nimi zawczasu; współczesne pomniki czeskie obfitują też w wycieczki podobne, na przykład Eżop czeski (z początku XIV wieku), bajkę o zdrażliwym jeżu i liście dobroduszej, co z własnych kątów wyprzeć się nie dała, wyraźnie do Niemców i Czechów stosuje. W Polsce o tem wtedy może i nie myślano, cho-

Zyski wyłącznie żadnej stronie nie przypadły w udziale: i Niemcy ponosili znaczne straty, tak rozplynęły się bez śladu i skutku dla nich liczne ich kolonie po ziemiach polskich, bogate i ruchliwe mieszczactwo, co Kraków spanoszyło, że aż w przysłowiu mawiano: „Kraków-miasto“ spolszczało zupełnie. I zdobycze oręża niemieckiego marniały, kiedy ich napływ współplemieńców skutecznie nie popierał, skoro tylko w konstellacyi politycznej zaszła odmiana—jak to w Inflantach widzimy.

W stosunkach tych nie wszystkie plemiona słowiańskie udział równy brały; u jednych wprawdzie cały ich żywot około tej osi się obraca; za to inne, wschodnie, na Północy i Południu, trzymają się od nich zdala, ale i w ich historyi nie obeszło się bez silnego potrącenia od strony niemieckiej. Dawne to dzieje; jeśli na tych kartach do nich wracamy, jeśli stajemy nad kolebką narodów, cofając się w czasy zamierzchłe, zamierzamy już w owem zaraniu dziejowem wykazać znaczące różnice typu, ustroju i charakteru słowiańskiego i niemieckiego, chcemy już w owych pierwszych konfliktach określić rolę, jaka i później Słowianom a Niemcom stałe przypadała. Różnice rażą tak silnie, że, mimo mroku, zalegającego czasy i ludy, jeszcze i dziś, po tylu wiekach, wydobyć się dadzą.

## I.

Dziejopisarze narodu niemieckiego, zapatrzeni w świat rzymski, mający uledz naporowi niemieckiemu, zaniedbują dawne stosunki wschodnie. Po części niby słusznie: co bowiem na Wschodzie niegdyś działali, zalały bez śladu późniejsze fale dziejowe; trwałemi, doniosłemi w skutkach dla nich były tylko ich walki na Zachodzie. Lecz trudnoż zamykać oczy na fakt, że były czasy, kiedy najliczniejsze i najdzielniejsze zastępy niemieckie nie za Cymbrami i Teutonami do

---

cięż stosunki niebawem się zmieniły; przysłowie: „póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem“, już w XVI wieku było zupełnie utartem; nawet wiele wcześniej wydziera się rocznikarzowi okrzyk zgrozy, że Krzyżacy zamierzają „exterminare idioma polonicum“, a przeciw germanizacyi klasztorów i szkół podnoszą się głosy duchowieństwa krajowego jeszcze rychlej

granic rzymskich kołatały; że miały one niegdyś na Wschodzie bliższe, dostępnejsze cele, że dopiero później i one na wydeptane ku imperyum rzymskiemu szlaki się rzuciły, parte może przez te same ludy, nad którymi jeszcze niedawno niby władały. Dzieje pierwotnej przewagi niemieckiej na Wschodzie stanowią jedną z najciekawszych kart przeszłości, i do jej odczytania zapraszamy czytelnika; wyjaśnią nam one niejedno, co i dziś przed oczyma naszymi się przesuwają, i możemy z nich śmiało o następnych kolejach obu szczepów wnioskować.

Pierwotną podstawę Niemiec w Europie środkowej wyobrażano sobie dawniej o wiele obszerniejszą, niżli była w istocie: liczone ją od Rennu po Wisłę, a od Północnego morza i Bałtyku po Dunaj i Alpy. Immi słowami: przenoszono stosunki dzisiejsze w czasy przedhistoryczne; jak dziś serce imperyum tętni w Berlinie, tak uważano i przed dwudziestu wiekami monarchię brandenburską za centrum ówczesnych Niemiec, za pierwotną siedzibę wielebnych Semmonów, najstarszego i najcelniejszego ze szczepów, „głowy“ Swebów, ze stu ziemiami, z świętościami prarodu. Wiadomości starożytnych, odgraniczających „Germanię“ Renem i Wisłą, aż do czasów najpóźniejszych podtrzymywały to złudzenie, które się dopiero powoli rozpierzchać poczyna. Wprawdzie już dawniej odstąpiono Celtom zachodnie i południowe połacie, których cała nomenklatura topograficzna (rzek, gór, itd.) celtycka, ale tem ściślej trzymano się Wisły, jako granicy wschodniej; lecz coraz więcej mnożą się wskazówki, że Wisła taką granicą nie była, że nazwa „Germanii“ i terytorya ludności obcej, nie niemieckiej, pokrywać musiała. Zwęża się więc coraz znacznie owa niegdyś mniemana podstawa; wzamian za to występują coraz więcej, jako prasiadziwy niemieckie, Skandynawia, albo poprawniej, Skadynawia, to jest wyspa ludzi, Dania i ziemie przyległe.

Ludy niemieckie: Goci, Gepidzi, Herulowie, pamiętały jednoznacznie, że wyszły ze Skandyi; tradycje ich nazywały wódzów, pod którymi na morską wędrówkę ruszały; opowiadały o wszelakich szczegółach przechodów i niebezpieczeństw. Mimo to nowsi badacze odrzucali te tradycje, jako wymysły, z którymi się wcale liczyć nie należy—najmylniej w świecie. Tradycja tradycyi nie równa; jeśli np. tradycja Franków wywodziła ich od Troi, Sasów od wojowników Aleksandra Wielkiego, a Burgundów od żołnierzy rzymskich, założujących po burgach-kastelach nadgranicznych, to usuwamy ze śmiechem te wymysły pseudouczone. Całkiem inaczej ma się rzecz z tradycją gocką i herulską, przechowaną w skarbnicy narodowej, w pieśniach epickich, nie wylęglą w mózgowicy mniszej. Gdybyż jeszcze ci Goci, dążący na Południe, wymyślili byli sobie ojczyznę południową, do której-by ponownie wracali (jak dziś Niemcy zniemieczenie kresów

wschodnich „Rückeroberungiem“ pierwotnych siedzib własnych nazywają) — lecz oni ją na dalekiej Północy, nie na Południu, osadzili. Albo czy opierał się na próżnym wymyśle ów odlam herulski, co to około roku 513 przez niezmierne przestrzenie, bo aż od Dunaju samego, do prarodziny skandynawskiej wracał, nie zważając na niebezpieczeństwa i odległości, na kraje puste i wrogie narody? Charakterystyka ziemi, przez jaką Goci przechodzą, okazuje się trafną w tradycyi. Dłaczegóż więc tylko punkt jej wyjścia miał-by być szczerym wymysłem? Prawdziwość tradycyi gockiej potwierdzają i inne szczególne; to też najnowsza nauka niemiecka nie lekceważy jej więcej, i Gotów ze Skandynawii rzeczywiście wywodzi.

Siedziały więc narody niemieckie w Skandynawii, Jutlandzie i na przyległym horyzoncie; lecz niebawem nie starczyło ziemi dla ludu i bydła, i zaczęła się z sąsiadami walka o ziemię, w imię której i Cymbrowie z Teutonami później wystąpili. Lecz znaleźli się Niemcy natychmiast na rozdrożu — nęcił ich może więcej Zachód (i Południe); tutaj jednak oparli się Celtowie i przemoc ich zaciężyła nad Niemcami po raz pierwszy (i ostatni zarazem), pozostawiając swe ślady w języku niemieckim, który w terminy państwowe i wojskowe od języka zwierzchników się zaopatrzył; fala niemiecka odbiła się od ściany celtyckiej.

Bezpieczniejszą była droga na Wschód, i na nią się najwcześniej Niemcy rzucili; na Wschód ten, zamieszkały przez Finnów, Litwę i Słowian, dostawali się oni bądź-to drogą morską, od Skandynawii, bądź-to lądem, od Odery i Wisły, posuwając się coraz dalej w głąb. Morzem ruszały szajki drobniejsze, oddziały zbrojnych handlarzy-najeźdźców, którzy, jak dziś w Afryce Arabowie nad murzynami, korzystali z przewagi nad szeroko rozsiedlonymi, nędznie uzbrojonymi, niezorganizowanymi tubylcami, ażeby, łącząc handel wymienny z rozbojem, skupiając się w pewnych punktach, peryodycznie okoliczną ludność obciążać daninami (futer i t. p.), wybierać z niej niewolnika na sprzedaż, a kobiety dla siebie. Lądem zaś posuwały się powoli całe szczepy ze swym dobytkiem, torując sobie drogę mieczem, zwalczając z niewymownym trudem przeszkody, jakie przyroda stawiała, np. błota nad Narwią i Prypecią, tracąc w tych przejściach nieraz i połowę ludzi i zasobów, lecz wybijając się w końcu do krainy równiejszej, weselszej, przestronniejszej. Z nowych siedzib rozchodzą się znowu na wszystkie strony drużyny wojownicze: młodzież, zaprawiwszy się w tańcach mieczowych do boju, żądna sławy i łupów, skupia się chętnie około wojewody, skoro ten hasło do pochodu na wiecu ludowym ogłosi; dąży za nim, posłuszna i wierna; w coraz dalsze strony zapędzają się zagony, których zadaniem nie podboje, nie zorganizowanie trwałego państwa,

tylko łupy i daniny, brańcy i branki, sława i znaczenie. I całe stulecia powtarzają się podobne przechody, wyprawy, najazdy, głównie na ziemię polskie (od morza), i słowiańskie (od lądu); uboga i nieprzystępna Litwa może najmniej ucierpiała, chociaż i ona, czego już język jej dowodzi, wpływów niemieckich nie uszła.

Tradycya gocka najwięcej odnośnych szczegółów nam przechowała: wedle niej puszczają się na trzech okrętach Gotowie i Gepidzi ze Skandyi na morze; lądują u *Gotiskandzy*; w nazwie tej, popsutej przez Kassiodora, podprowadzającego ją pod uczoną a fałszywą etymologię, upatrywali-byśmy *Gdańsk*, pewnie od „Gdów“ (Gotów) nazwany, jeżeli nie od sinus *Codanus*, dawnej nazwy zatoki bałtyckiej; torem nieco skróconym dostają się Goci, pobiwszy Wandalów, przez lgnące błonia i łęgi Auen (Prypeci?), gdzie z nich tylko połowa przepawić się zdołała przez kraj Spoli (olbrzymów?) na czarnomorskie stepy i nad Dunaj. O najśłynniejszym ich królu i bohaterze epickim, Hermanarychu, opowiada tradycya dziwy; wylicza narody słowiańskie i plemiona fińskie (których nazwy po sześciu stuleciach u Nestora odnajdujemy), hołdujące jego potędze; ale przed nawałą huńską rozprzega się władza, i król, starzec stodziesięcioletni, zwątpiwszy o obronie, sam się przebija. Tę część tradycyi z innej strony usuwano, jako prostą przechwałkę gocką, niegodną wiary: i słusznie, jeśliby rozciągać państwo Hermanarycha na wszystkie owe narody — lecz nie o państwo, nie o zorganizowaną władzę, tylko o proste napady i wybierania danin tu chodzi, skuteczne, póki poparte orężem silnym, zawodzące zupełnie, gdy ów oręż o innego nieprzyjaciela się kruszył.

Tyle prawi tradycya, którą za zupełnie wiarogodną uważamy. Ona nie tai przecież sromotnego losu, jakiemu król i państwo w końcu ulegli. Obce, rzymskie źródło potwierdza zresztą przewagi Hermanarycha.

Lecz my nie o jednej osobie, ani o jednorazowym podboju, czy zagonie prawimy; przedstawiamy stosunki te, jako coś trwałego, dzielimy role narodów: Niemców uważamy za najeźdźców zwycięskich, Słowian (i Finnów) za ofiary ich przemocy. Co nas do tego upoważnia? Jakimiż dowodami poprzemy nasze twierdzenia?



## II.

Nic ciekawszego nad śledzenie pierwszych kroków, jakie Niemcy i Słowianie na gruncie dziejowym stawiają, i rdzennej różnicy obu typów etnicznych, objawiającej się stale w najrozmaitszych kierunkach.

Dzieje niemieckie toczą się i stoją nie masami, lecz indywidualniami, wodzami owych mas, królami wojskowymi; od pierwszych chwil widnieją jednostki dzielne, przedsiębiorcze, pędzone żądzą sławy, władzy, odwetu; roją się dzieje od Aryowistów, od Marbodów i Hermanów, od Alarychów, Teodorychów, Gejzerychów i Chlodwigów, tak, że za nimi właściwe masy schodzą zupełnie na drugi plan, biorąc udział niemy w pochodach i walkach swych królów i książąt, wywodzących od samych bogów ród swój i władzę. Już Tacyta uderza zaletność, ufność, posłuszeństwo ślepe, jakie szczepy niemieckie, szczególniejszemu i północne, królom okazują; tajemnica ich powodzeń kryje się też w owej uległości dla wodza i króla.

Całkiem przeciwnie u Słowian, rozlewających się po całej Europie, wciskających się w najskrytsze zakątki i przekształcających wygląd etnograficzny licznych krajów: ciągłym naporem przełamują oni szyki imperyum wschodniego, zalewają cały półwysep, Macedonię, Helladę, docierają do Azji Mniejszej; na Zachodzie przekraczają Elbę i Sałę, posuwają się wzdłuż rzek i rzeczek w pogórzu turyngskiem i frankońskiem, aż do Menu i do Fuldy, w dolinach alpejskich aż do źródła Drawy i Muru; lecz żadne źródło dziejowe nie zapisało jednego nazwiska, nie wymieniło jednego ich wodza, nie wyróżniło jednego ich króla i pana. Są to ruchy masowe, demokratyczne, anarchiczne, bez planu i systemu, podsycane naporem coraz nowych tłumów, popychane i pędzące, póki ziemi staje, odbywające się bez luku i rozgłosu, jakby w półmroku, bez hasła, bez szczęku broni, przerażającego sąsiadów. Pierwotne dzieje słowiańskie są zupełnie bezimienne — pierwszy wódz i pan, którego wymieniają, Samo, był Frankiem, nie Słowianinem. Wprawdzie przejawia się tu i owdzie kilka nazwisk u chronicistów, zwłaszcza greckich, lecz nazwy te, to ciekawy materiał dla filologa, który np. Radogostów, tu jeszcze w pierwotnej formie Ardogostów, odnajdzie, Meżyka, Całogosta, Witoryza napotka; lecz dla historyka nazwy te są nieme, bez treści; uderzy go chyba, że najpierwszy

Słowianin, o którym Grecy wspominają, rolę Samozwańca odegrać musiał.

Brak wybitniejszych indywidualności idzie w parze z zupełnym brakiem jakiegoś trwalszego skupienia władzy w czyichkolwiek rękach, jakiejs organizacji. Szczep rozbity na plemiona i rody; na czele drobnych rodów, albo nawet plemion, stoją „starosty“, czy „głowy“; wyprawa nadaje „wojewodom“ cień władzy; lecz zwycięskiego wojewodę sprząta Słowianin sam, czy przy biesiedzie, czy w pochodzie, jak Grecy zdumieni opowiadali; instynktom demokratycznym nie nie przeciwdziała; władze, organizacja, dynastye znikają rychlej, niż powstają, i jeszcze w późnych wiekach, np. w X-tym i XI-tym, żyją Słowianie nadodrzańscy bez zwierzchników; unawiają się na wiecach; większość rozstrzyga i zmusza opozycję kijami do natychmiastowej zgody, jakby przeczuwając wyłonienie się niebezpiecznego *liberum veto*. Pięć stuleci wstecz widzimy to samo u Słowian naddunajskich; prędko też ochłonęli Grecy z przerażenia, jakiego ich ustawiczne napady słowiańskie nabawiły; skoro bowiem Słowianie ziemię posiadli, przeważały w nich instynkta pokojowe, i zjadaczom chleba nałożyli Grecy jarzmo państwowe bez wszelkich wysiłków; straszyni stali się znowu ci Słowianie, i drżało przed nimi struchlałe Bizancyum, skoro horda Asparucha, turko-bulgarska, ich opanowała, siły ich pod własną inicjatywą skupiła i przeciw Grekom w pole wywiodła. Toż samo zjawisko spotykamy u Słowian wschodnich: wegetują obok siebie, niezaczepiani i niezaczepiający, Polanie i Drzewianie, Siewierz i Radzimicze, Bużanie i Krywice, póki obca ręka nie wprzęgnie ich w wielką i trwałą organizację.

Różnica więc widoczna: organizacja wojownicza Niemców - najeźdźców dąży ku wytwarzaniu militarnych monarchii, typu w końcu arystokratycznego, i musi, mimo nadzwyczajnej waleczności, zwyciężać nad gminowładztwem słowiańskim, nieznaną rządu jeszcze i w wiekach, o wiele późniejszych (w ziemi naszej, wielkiej i obfitej, niema „nariadu“, — mówi kronikarz ruski).

Pomni owych z gruntu fałszywych sielanek, w jakie niegdyś dzikie barbarzyństwo czasów pierwotnych strojono, wzdrygamy się przed kojarzeniem tych dwu pojęć — sielanki i okresu przeddziejowego. Mimo to jednak, nie zdołamy trafniej i krócej przeciwstawić stosunków prasłowiańskich niemieckim, jak gdy je sielanką nazwiemy; wobec nosobionej grozy hardych najeźdźców. Sztydzi wprawdzie Mickiewicz ze słodko uśmiechniętego literata, twierdzącego na warszawskim salonie: „Sławianie, my lubimy sielanki“, lecz po stronie wyszydzonego staje prawda dziejowa.

Jakiż obraz z dziejów niemieckich uderza najpierw fantazję i wdraża się w pamięć na zawsze? Oto spieci łańcuchami mężowie, rzucający się jak lwy na legiony rzymskie, za nimi wyjące kobiety, gotowe same bronić się do upadłego, jeszcze dalej wieszczki w bieli, przepasane żelazem, uderzające mieczami w pokłady skórzane wozów, odstraszaające wrogie duchy. Tak u Niemców. U Słowian zaś widzimy pieśniarzy bezbronnych, z gęśłami w rękę, przypominających nam posłów trackich, również w gęśli i wawrzyny zbrojnych; oni przyszedli wymówić rodaków, co od chagana Awarskiego dary przyjęli, lecz mu na pomoc nie wyruszą, gdyż ich zbytńia odległość odstrasza; oni wysocy i dorodni, ale żelaza ani trąby bojowej nie znają. Tak u Słowian.

Prostocie i dobrodusznosci staje w kontr duma i pycha niemiecka. Razila ona stale w obcowaniu ze Słowianami; trafny spostrzegacz, stary Rey, zowie ich „darmohardymi“ i śmieje się z nich:

ale nasze *poczmat*er wzgóř gębę wzniesić,  
a rozum z roztropnością gdzieś daleko w lesie;

nawet w starych „Facecyach polskich“ (1624 r.) czytamy przypowieść, która „przywrzala hardość niemiecką szczypie, którą się inszym narodom hydzą“. Ale już na tysiąc sto lat przedtem przemawia do nas to samo górne mniemanie o sobie ze słów, jakimi Frankowie we wstępie do zbioru swych praw w strasznej łacinie o swoim, od Boga samego stworzonym, narodzie, wyniośle prawią, jak wysławiają siłę swej broni, wierność w układach, trafność swej rady, szlachetność duszy i ciała, śmiałość, prędkość, siłę woli: oto naród — prawią — który silnie i mężnie twarde jarzmo rzymskie zrzucił z karku, który, ochrzczony, złotem i drogiemi kamieniami zasypywał ciała palonych i ścinanych w Rzymie. W żadnym dawnym pomniku słowiańskim nie znajdziemy nic podobnego. Ale cofnijmy się jeszcze sześćset lat wstecz, a napotkamy Swebów u Cezara, i mniemanie o nich, że nieśmiertelni bogowie nie mogli-by im podolać, tak silny i wojowniczy to naród; a jeszcze wcześniej Bastarnowie, pierwszy szczep niemiecki (?), wymieniony w dziejach, tą samą chełpliwością, siłą i wojowniczością się odznacza, gardząc wszelką pracą na polu i w oborze, żadny tylko bojów i łupów.

Hardość duszy niemieckiej zdradza się wszędzie, choćby w owym fryzyskim Radbodzie, co dumnie piekło nad niebo przeniósł, skoro w niebie pogańskich swych przodków obaczyć nie może; choćby w owem pogardliwym traktowaniu „psów wendyjskich“, bez względu na to, że użycie owego terminu ciężko odpokutować przyszło (kiedym

pies, będą kasał, odpowiadali nieraz Słowianie, Samo i inni, i groźbę wykonywali bezzwłocznie). Jeśliby nam kto zarzucił, że to tylko anegdota, to i one są bardzo charakterystyczne, a skoro się w przeciągu tysiąca ośmiuset lat stale w jednym kierunku powtarzają, minąć nie możemy tych świadectw wymownych, tem wymowniejszych w przeciwstawieniu anegdotycznych rysów słowiańskich, charakteryzujących inne dusze, inny hart.

Prostota, skromność, zaparcie się siebie, oto cechy słowiańskiego ideału: żadne wysuwanie się naprzód, górne mniemanie, teatralne mowy i ruchy. Niemieccy królowie od bogów ród swój wywodzą, słowiańscy od kniotków; kniećmi byli Przemysł czeski, Piast polski (wielkopolski), i ów małopolski Lestek u Wincentego (Kadłubka), co przyborami kniećmi pochodzenie swoje sobie i otoczeniu coraz przypominał; a cóż charakterystyczniejszego od owej intronizacyi nowych książąt karyntyjskich, w ubraniu knieciem, z palicą w rękę, prowadzących parę bydła, uderzanych po twarzy od kniecia, od którego wykupują stolec książęcy, pijących wodę z czapki na znak mierności i zadawania się darami przyrody! A jakżeż wydaje się Ilija epopei ruskiej? Czyż w wielkim bohaterze, ratującym księcia i ziemię od zagłady, odnajdziemy jeden rys chępliwý, lub sobkowskie rysy Achilla i Sigfrida? Dla siebie nie pragnie on niczego; gdy go oburzyła niewdzięczność księcia, żadna nagroda ani cześć więcej jego nie pogodzi; ale płacz wdów i sierot, niedola ziemi i wiary, natychmiast upór jego skrusza; dokazawszy zaś bohaterstwa, wraca swobodny w szeregi szarego gminu, na który-by bohater grecki, albo niemiecki, ani spojrzeć nie raczył.

Lecz wróćmy od tych rysów anegdotycznych do naszego założenia, do przeciwstawiania sielanki pasterskiej, słowiańskiej, i bojowej epopei niemieckiej; odnajdziemy je w szeregu pojęć i nazw, przejętych w wymianie wiekowej przez oba narody. Od Niemca wziął Słowianin lepsze uzbrojenie i przezwał części jego terminami gockimi: *naccz* i *szlom* (helm); na taktykę gocką wskazują i *pulki*, i *chorągwie*; co zaś najdonioślejsze: nie poprzestał Słowianin na dotychczasowych terminach zwierzchnictwa, chociaż wyrażały rozmaite jego odcienie; nie zadowolił się własnymi: *gospodzinem*, *włodyką*, *zupanem*, *starostą*, *głowcą*, lecz przybrał sobie *księdza* (kniazia), z *konunga* niemieckiego, władcy rodowitego (od *k-ni*—rodu). Za to przejął Niemiec od Słowianina nazwę *pluga*<sup>1)</sup> i *grępdzieli* (Grindel): uprawiał wprawdzie Nie-

<sup>1)</sup> Korzystamy ze sposobności, aby sprostować fatalną omyłkę, jaka się w nasz artykuł w „Bibliotece Warszawskiej”, 1898. II, 396. co do *pluga*

miec ziemię i przedtem, to znaczy, że niewolnicy i kobiety dla niego ją kopali, lecz pługiem (z grzędzielą) dopiero Słowianin może i na niego pracował. Do miodów i ołu (ale), jakie Niemiec dotąd wyłącznie spożywał, nauczył on się od Słowianina warzyć ze słodów piwo i zaprawiać je chmielem, rośliną, nieznaną pierwotnie przed wiekami średnimi na Zachodzie, przez Finnów zaś i Słowian dawno umyślnie hodowaną. Kola (Korowody) dziewcząt słowiańskich zadziwiły Gota, włożonego w tańce mieczowe młodzi męskiej, i termin *plaszów* słowiańskich ustrzegł w jego słownictwie. Zupełnie odmienny charakter wzajemnych pożyczek jest więc znowu nader pouczającym objawem.

Różnice znaczące znajdujemy i w nazwach plemiennych<sup>1)</sup>. Ufność w siły i przymioty własne, wyniosłość, wojowniczość przemawiają do nas z nazw niemieckich; istna sielanka ze słowiańskich: Słowianie bowiem przezywają się najczęściej od ziemi, którą osiedli, z którą wszystko ich łączy, którą nad wszystko miłują: więc przeważają u nich spokojnych, osiadłych, nazwy topograficzne na—anie. I tak *Polan* najdziemy nad Dnieprem i nad Wartą; *Drzewian* nad Dnieprem, za Elbą i w Turyngii; dalej *Wislan*, *Pomorzan*, *Bużan*, *Bobrzan*, *Czerepian* za Pianą, *Morzycan* itd. aż do *Opolan* i *Łęczan*; nazwami topograficznymi bywają nazwy na *icy*, które bynajmniej wyłącznie rodowem i nie są, np. *Łużycy* (od łęgów, łąk, nazwani); *Jezierzycy* (na Bałkanie), *Dregowicy* (od dregw, nizin, moczarów na Rusi i na Bałkanie), *Obodrzyty* (ob Odrę pierwotnie mieszkający) i inni. Tu należy i sama nazwa *Słowian*. Wywodzą ją wprawdzie od *słowa*, przeciwstawiając *Niemcom*, t. j. *niemym* (nie mówiącym wyraźnie, zrozumiale), ale od *słowa* zwałiby się oni *Słowieśni* (jak od nieba niebieski, od ciała cielesny), albo później *Słowni*, nie zaś *Słowianie*, nazwą wielu poszczególnym szczeptom spółną. Już Wapowski, około 1530 r., twierdził, że to nazwa topograficzna<sup>2)</sup>, chociaż jeziora na Moskwie, od którego ją wy-

---

zakradła. Już pf (Pflug) wskazuje, że to słowo obce, nie niemieckie; żadne rodzime słowo niemieckie nie zaczyna się bowiem od pf, tylko zapożyczone z romańskich i innych języków.

1) Na odrębność typową nazw niemieckich a słowiańskich zwrócił uwagę naszą p. *L. Krzywicki*, który tę materję badał na najszerszej podstawie etnograficznej.

2) Podobnie później najznakomitsi sławiści: Dobrowski, Szafarzyk i Mikłosich, odrzucali wywód od *słowa*, i uważali nazwę za topograficzną. Jako dowód można-by przytoczyć i krótszą formę, łacińską i niemiecką, Sklawe, Sclavus (z wtrąconem *k*); bo jak obok pierwszego przypadku *Polanie*, *Drze-*

wodził, nie znam; nazwy miejscowe w rodzaju Słowna (? Schlawe) znajdują się rzeczywiście; od nich i podobnych musiała wejść i nazwa Słowian, nie oznaczająca pierwotnie całości szczepowej, lecz przysługująca pojedynczym plemionom, tak, jak nazwy *Chirwatów* lub *Sarbów* (Kroatów i Serbów), powtarzające się również u wszystkich Słowian. Jak bowiem znajdujemy Sarbów na południu i na zachodzie, na Bałkanie, nad Sprewą i nad Sałą, Charwatów znowu nad Sawą i nad Sałą, w Czechach i na Rusi, tak samo odnajdujemy Słowian na północy (w Wielkim Nowogrodzie), na zachodzie (u Pomorzan i w Słowaczczyźnie) i na południu (u Słowieńców i Bułgarów); nazwę plemienną uogólnili dopiero obcy na cały szcep, który jej pierwotnie sam ani znał, ani używał w tem najogólniejszem znaczeniu.

Gdy tak Słowianie, jako naród osiadły, obok hodowli bydła i ziemię uprawiający, rybacy i bartnicy, od niej i od rzek i wybrzeży nazwy swe wywodzą, przeważają u Niemców nazwy innego typu, jak *Sax*, od noża (czy krzemienego?) nazwany, *Frank* od oszczepu, *Got* od dzielności (porównaj *gut*), *Wandal* i *Sweb* (Szwab) od zwinności i swobody, *Alaman* od związku, *Markoman* od graniczenia (niby Ukrainiec jakiś) itd., jednym słowem z nazw tych znowu nie sielanka słowiańska, lecz wojna i ruch zdobywczy do nas przemawiają <sup>1)</sup>.

*wianie* itp, mówiono w dalszych *w Polach*, *w Drzewach* (przymiotnik brzmiał *po'lski*, *drzewski* itd, nigdy polański, drzewiański) tak może i do *Słowian* urabiano przypadki *w Słowiech* itp, a z takich przypadków mogła urosnąć owa forma *Slave*.

<sup>1)</sup> Od przejrzystości i jasności najznaczniejszej części nazwisk szczepowych słowiańskich odbija dziwnie zagadkowość i niezrozumiałość nazwisk niemieckich. Wyżej przytoczyliśmy umyślnie tylko kilka nazwisk takich, co do których powszechniejsza panuje zgoda. Od r. 1892 toczy się bowiem w świecie filologicznym niemieckim bardzo ożywiona dyskusja nad znaczeniem nazw szczepowych, wywołana artykułem zmarłego przedwczesnie *L. Leistnera*, „Germanische Völkernamen;“ w dyskusyi tej biorą udział pp. Much, Hirt, Kossinna, Grinberger, Koegel, Bremer i inni, lecz prace ich, rozrzuconych głównie po czasopiśmie specjalnych, wyliczać tu nie możemy. Dla naszego celu wystarcza stwierdzenie faktu owej odrębności, odmienności typu nazw słowiańskich, a niemieckich. Mają i Słowianie kilka nazw niezrozumiałych, ciemnych, może jakichś przezwisk sztyderych, jako to *Dudlebi* (ruskie *Dudoby* na Wołyniu, stąd nazwa *Duleba* i *Duleba*, z mylnem *ę*, oznacza dziś po narzeczach gbura lub ociężatego niezgrabiasza), *Czechy*, *Lęchy* i kilka in-

Jak Słowianin tak i Litwin (ze Żmudzinem, Łotyszem i Ziemgalem), spokojny posiadacz ziemi, od niej się przeżywał. Lecz nie wadzi przypomnieć, że prawięku i Słowianie w bardziej wojowniczych nazwach się lubowali; tak ocalała nazwa *Weletów* zaodrzańskich, później przezwanym *Lucizami*: *Welet*, ruski *wolot*, olbrzymia oznacza; Kraj *Spoli*, przez który Goci ku Dunajowi dążą, je śli był słowiańskim, również od olbrzymów (*ispolin*, olbrzym) przezwany; olbrzymami, *Antami* zwali i Niemcy odłamy słowiańskie. I nazwa Charwatów (jak brodaty itp.) od jakiegoś ryszczunka czy innego szczegółu (wojowniczego) poszła, lecz kilka tych, nieraz wątpliwych, nazw, nie zmieni widocznej różnicy, zachodzącej między słowiańską a niemiecką nomenklaturą.

Nawet w nazwach osób, szczególnie kobiet, uderzają nas te same sprzeczności. Wobec nadwyzwyczajnej obfitości nazw męskich nazwy żeńskie u Słowian (mamy na myśli tylko nazwy istotne, w dokumentach średniowiecznych ocalałe, nie owe fantastyczne naszego pseudo słowiańskiego kalendarza, Wandy itp.) są znacznie uboższe i prostsze; formalnie wysiliła się fantazja twórcza nad imionami męskimi, i, nie rycerska, nowego trudu dla kobiet podejmować już nie chciała; radzi więc sobie w sposób nader banalny, do gotowych imion męskich dodając — a! tak więc powstaje każda owa Wojsława, Radosława, Wyszesaława, Wojciecha, Miłosława, Rościsława itd., od których się np. dawne polskie imionniki roją; rzadziej spotykamy się z Przybycześcią, Dobruchną, Bratumiłą, Bożaną i innymi. U Niemców zaś uderzają wręcz wojownicze nazwy kobiet, złożone z *hald*, *hadu*, *wig*, i podobne; wszystkie od walk i bojów nazwane one Hildegildy, Mathyldy, Brunhildy, Haduwigi (Jadwigi), Tusedly i inne, i nie darmo, skoro Rzymianie tylokrotnie o Amazonkach niemieckich prawią. W jakim kierunku i kobiety pobudzały fantazję niemiecką, poucza nas koncepcja niebianek, Walkir, lubujących się szczękiem oręza, tak, że im ani Pallas Atene dorówna. Gwinona Słowackiego nie jest też bynajmniej samodzielnym wymysłem jego fantazji: ileż takich kobiet przewija się choćby u Franków!

Gdybyśmy posiadali obfitsze wskazówki co do mitologii i wierzeń obu szczepów, niechybnie i na tem polu stwierdzili-byśmy tę samą różnicę; naprowadza nas na to już sama Walhala, ów raj wojowników

---

nych; Czechy, Łęchy tylko u jednego szczepu, Dudlebi zaś powtarzają się na Rusi, u Czechów i południowych Słowian (u Słowiców w dziewiątym wieku).

poległych na polu walki, przenoszonych — także przez owe Walkiry — znowu koncepcya mityczna, Słowianom absolutnie obca.

Lecz dosyć tych szczegółów. Dowiedliśmy chyba założenia naszego o odmienności typów moralnych — (fizyczne tym razem pomijamy) — słowiańskich a niemieckich, pastersko-rolniczych, a najezdniczych, demokratycznych, albo raczej anarchicznych, a wojskowych i arystokratycznych, uległych a wyniosłych, ospałych nieco i miękkich, niestałych, a energicznych i konsekwentnych <sup>1)</sup>. I najpóźniejsze dzieje potwierdzają te pierwotne różnice, tylko że później, gdy ucichły burze wojenne, ów *furor teutonicus*, co to Rzymianom i Słowianom tylokrotnie uczuć się dawał fatalnie podczas wieków starych i średnich, zaczął się wyładowywać w inny sposób, w skrzytej gospodarce na roli, w ruchliwej pracy u warsztatu, w morskich wyprawach hanzy: objawy tej samej energii, odbijającej od inercyi słowiańskiej.

Wykazaliśmy więc różnice typowe, przemawiające do nas po tylu wiekach z dziejów, ustroju, słów i nazw pierwotnych: lecz czy ten podkład ogólny upoważnia nas do wniosków o jakiejś prastarej przewadze niemieckiej nad wschodem fińskim i słowiańskim? Z wywodów naszych wynika jej możność, lecz gdzież jej pewność? Powiedziano przecież, że np. słowa w rodzaju *miecza, szłoma, księcia*, nie dowodzą jeszcze bynajmniej przewagi niemieckiej nad Słowianami; że mogły się one od Niemców dostać do Słowian drogą prostej wymiany, zwykłej między ludami ościennemi; że to terminy kupca i sąsiada, nie koniecznie najeźdźcy lub pana. Zbierzmyż więc wskazówki, pouczające nas o czemś więcej, niż o wymianie pokojowej, sąsiedzkiej.

---

<sup>1)</sup> Inne, dodatnie rysy Słowian, ich ludzkość, gościnność, wesołość, zadowolenie się byle czem, brak potrzeb, bez których się Niemiec nie obejdzie, pomijamy umyślnie, gdyż założenia naszego nie dotyczą; o ich fanatycznej miłości swobody, o ich męstwie szalonem pełne są źródła; lecz zawsze im rządu brakło, a bez niego marniały wysiłki ich i zalety.



## III.

Już na samym początku nowej ery posiadali Niemcy najlepsze informacye o ludach wschodnioeuropejskich, rozróżniali jak najściślej Słowian, Litwinów i Finnów, jak to z opisu Tacyta wynika, zaczerpniętego ostatecznie z ust niemieckich. Należy tylko porównać sprzeczne i wahające się wiadomości greckie o ludach czarnomorskich, żeby ocenić trafność owej informacyi niemieckiej. Ale Niemcy nie tylko odróżnili pojedyncze ludy — tego-by i zwykli handlarze dopatrzyli się w końcu — lecz, co nierównie więcej znaczy, przewali każdy z tych ludów mianem ze swego własnego języka, obcem zupełnie temu ludowi. A więc Słowian nazwali Wendami (Winitami), Litwinów Aistami, plemiona czudzkie Finnami: wymyślili więc dla każdego szczepu osobną nazwę niemiecką.

Zwykle żaden naród nie kuje nazwy osobnej dla obcego ludu, lecz zadawała się byle jakim mianem, będącem w obiegu u tego ludu. Naprzykład Niemcy ścierali się przez liczne walki z Celtami i Rzymianami, lecz dla tych swoich wrogów, panów i poddanych naprzemian, żadnej osobliwej nazwy nie wymyślili: poznali się najpierw z Wolskami, jednym ze szczepów celtyckich, i przynosili gotową tę nazwę kolejno nie tylko na wszystkich innych Celtów, lecz w końcu i na samych Rzymian (*Walhe*, *Walscher*, nasze *Włoch*). Słowianie utworzyli (jeśli ruską nazwę Połowców dla Kunów — Kumanów pominiemy) tylko jedną jedyną nazwę dla obcego ludu, nazwę *Niemca*, co jest nadzwyczaj charakterystyczne: niemym, niezrozumiałym był pierwotnie każdy obcy dla Słowianina, lecz w końcu ograniczył on nazwę niemych tylko do tych obcych, z którymi się najwięcej, naściślej stykał. Inne nazwy narodowe, Włochów, Rzymian, Greków itd., wszystkie są pożyczone; nazwy Psiogłowców i Samojedów nie oznaczają pewnych jednostek etnicznych, lecz streszczają bajki, kursujące o ludach dalekiej północy; wreszcie nazwa ruska Czudów (Finnów) nie zdaje się być tego samego pochodzenia, co *czudzy*, lecz jest może przeróbką nazwy podobnej do Scytów.

Skoro więc Niemcy dla każdego narodu wschodniego osobną nazwę wymyślili (czego nie uczynili dla żadnego narodu za-

chodniego, chociaż z niemi przez lat tysiące się stykali), musiało to mieć jakąś osobliwszą przyczynę, wypływającą nie ze stosunków handlowych (te podtrzymywali przecież i z Zachodem!), raczej z wypraw wojennych, podejmowanych dla danin, dla zhołdowania, przy czem musiano się przezornie z każdym z tych szczepów liczyć: z jego trybem walczenia i bytu, jego zasobami; w interesie Niemca-zwierzchnika, i z natury rzeczy wynikało, aby jak najdokładniej rozeznawał, z kim miał do czynienia, a ostatecznym wyrazem tej dokładności mimowolnej było nadawanie osobnej nazwy niemieckiej tym ludom.

Oto jeden rys znamieny, lecz znajdzie się ich więcej.

Pożyczanie wyrazów przez Słowian od Niemców wyłącza niemal z góry możliwość, aby przedostały się wszystkie na drodze pokojowej wymiany, handlowej i sąsiedzkiej. Można było od kupców przejmować nazwy pieniędzy, stroju, towarów, broni itp., dowiedzieć się od sąsiadów o lekach, nazwach drzew, zwierząt itp.; lecz już od takich słów, jak „pułki“ i „chorągwie“, szczególnie zaś „ksiądz“ — „książe“, wieje duch inny.

Nasuwa się tu bardzo nauczające porównanie.

Nazwa *króla*, znana ogólnie, chociaż tylko na zachodzie słowiańskim głębiej wkorzeniona, poszła od imienia Karla—Karola Wielkiego. Nie panował on wprawdzie nad całą Słowiańszczyzną, ale popłoch, jaki szerzyły hufy jego, przed którymi ciemiecy Słowian, Awarowie—Obrzy (obrzymi, olbrzymi), znikli z powierzchni ziemi, wstrząsnął światem słowiańskim w posiadach: na szerokim pasie, od Szlezwiku do Dalmacyi, zmierzyli się Słowianie z zastępami Franków i od szczepu do szczepu rozniosły się wieści o niezwyciężonych wojskach Karlowych. Gdyby zaginęły przypadkiem nasze źródła dziejowe, z samego faktu przejścia i przekształcenia nazwy Karolowej u Słowian mogli-byśmy słusznie wnioskować o przewadze jego nad Słowianami, o głębokim wrażeniu, jakie na fantazyi pierwotnej obcy mocarz wy-cisnął.

Podobnie ma się rzecz z Koningami, Kuningami (König), a Knięgami (Kniędzami, Księdzami, Kniaziami). Wspomnieliśmy, że Słowianie mieli cały szereg terminów dla oznaczenia przełożenstwa i władzy, na wiecu i w boju, w rodzaju i plemieniu; jeżeli mimo to od „niemych“ przyjęli ich nazwę, toć musieli chyba ci kuningi ciężko zaważyć życiu słowiańskiemu i tak się dać we znaki, że od obcych panów-najeźdźców nazwę i na własnych zwierzchników przeniesiono. Siłę tego argumentu starano się osłabić następnem rozumowaniem: Słowianie przejęli nazwę Koningów nie dla tego, żeby kiedykolwiek ich władzy sami ulegali, lecz zatrzymali obcą nazwę dla ob-

cych stosunków: między nimi, w ich demokracji i anarchii, dla Kuningów niemieckich miejsca nie było, więc, gdy się i u nich, za przykładem niemieckim (?), absolutni władcy zjawili, np. u Polan lub Czechow, nie nadawały się dla nich rodzinne nazwy gospodów lub żupanów, lecz nowemu typowi nowa Kuningów służyła nazwa. Ale rozumowanie takie nadto jest sztuczne: nazwę Kuningów, jak litewskie *Kuningas* dowodzi, przyjęto w czasach przedhistorycznych i nie czekano z nią na wytworzenie stosunków, z władzą Kuningów zgodnych.

Nieraz już zwracano uwagę na rozpowszechnienie się słów niemieckich w mowie wszystkich szczepów fińskich, od Bałtyku, aż za Wolgę i Ural. Nigdy tam żaden lud niemiecki nie mieszkał; niepodobna też przypuszczać, żeby np. od Skandynawii, gdzie się Niemcy i Finnowie rzeczywiście stykali, te słowa niemieckie niezmienione aż do Altaju niemal wędrowały. Stykali się przecież Finnowie ze Słowianami co najmniej równie długo i dawno, jak z Niemcami, a przecież nie od Słowian, lecz tylko od Niemców pożyczali Finnowie obfitej terminologii najprostszej kultury i jej nabytków: nawet po dziś dzień zowią Finnowie swych sąsiadów i panów, Słowian, nazwiskiem niemieckim, Wendami! Widoczna więc, jak silnemu wpływowi niemieckiemu musieli Finnowie przed wiekami i przez wieki ulegać; wpływu tego jednak nie wywierały same ludy niemieckie, tylko ich drużyny kupieckie i najezdnicze, jak owi kozacy Jermaka na Sybirze, lub kolonie arabskie między murzynami. Słowianie, którzy nierównie wyżej od Finnow w kulturze stali, nie mogą naturalnie takich samych głębokich i wszechstronnych wpływów niemieckich w swoim słownictwie wykazywać; pożyczki niemieckie muszą być u nich o wiele rzadsze i mniej znaczne, mimo to dowodzą i one podobnej przewagi niemieckiej.

Do wszelkich tych spostrzeżeń i rozumowań przystępują nakoniec świadectwa historyczne: tradycya gocka mówi wyraźnie o zhołdowaniu Słowian, a niezależne od niej świadectwo rzymskie potwierdza rozległość i znaczenie władzy króla gockiego. I fakty późniejsze, o których jeszcze pomówimy, usprawiedliwiają tradycyę. Lecz powtarzamy jeszcze raz: o zorganizowanym trwałym podboju ani mowy być nie może; ograniczyła się władza niemiecka wybieraniem danin i gromadzeniem łupów, nie mogła ani myśleć np. o wcieleniu wojowników słowiańskich do własnych szeregów, nie myślał też Hermanarych używać ich przeciw Hunnom; co najwyżej mogły tu i owdzie osiadać kolonie wojskowe i rozplýwać się w otoczeniu fińskim czy słowiańskim.

Zachód ze swemi własnymi źródłami dziejowemi uczy nas, jak sobie wyobrazić mamy wędrowki i przewagi gockie. Opowiada Cezar

o Sweb skim króliku, Aryowiście: wezwwały go w walkach wewnętrznych szczepy celtyckie, Sekwanowie i Arweniowie, na pomoc; zjawił się on z 15,000 Niemców, najpierw jako żołnierz zaciężny, niebawem jako władca; w kilkanaście lat urosła liczba Niemców jego, zasilana coraz nowemi szczepami, do 120,000; nie rozpierzchli się oni po całej ziemi, zasiedli tylko trzecią część obszarów Sekwańskich, z grodów i obozowisk panując nad resztą kraju, wybierając daniny od szczepów dalszych, czynsze zaś od bezpośrednio ujarzmionych, najbliższych. Od tej przewagi niemieckiej uwolnił Sekwanów dopiero Cezar.

W podobny sposób panowali Niemcy na zachodzie. Pierwszym ze szczepów, który na wędrowkę południowo-wschodnią wyruszył i niby Gotom, Herulom i Gepidom drogę wskazał, byli Bastarnowie, zjawiający się około r. 200 przed Chrystusem nad Dunajem, z wszelkimi typowemi rysami niemieckimi, walczący na żołdzie Perseusza macedońskiego i Mitrydata; później zwyrodnieli i giną niebawem bez śladu. Za nimi, po dłuższej przerwie, ruszyły coraz nowe szczepy w tę samą drogę, szerzyły się na wschód i północ.

Lecz w końcu straciły północ i wschód europejski wszelką ponętność dla Niemców: warunki klimatyczne, ciągły niepokój, szerzony zwłaszcza przez bitnych Słowian, wreszcie napór hord wschodnich odstręczały ich coraz bardziej, coraz ponętniej uśmiechało się im południe, wabiła niemoc imperyum, odsłonięta najpierw nad Dunajem, dopiero później i nad Renem z niej skorzystano. Rzuciły więc wszystkie ludy niemieckie: Goci, Gepidzi, Herulowie, Wandali i inne, wschodnie siedziby i zdobycze i w coraz nowych wędrowkach i przesiedlaniach opanowywały i Pannowie, i Mezye, przedzierały się do Włoch i do Gallii, póki nie przebiły się do żyznych łąk hiszpańskich i na znojne brzegi Afryki. Praca wiekowa, łożona na wschodzie, zmarniała: pozostały po niej, prócz śladów w podaniu dziejowem, setki wyrzów niemieckich u Finnów, kilkadziesiąt u Słowian, jeszcze mniej u Litwinów; pozostały mogiły, rozsiane po całym wschodzie, gdzie spoczywały popioły i broń najeźdźnika, wodza drużyny, królika, albo jednego z „Hundertszaftu.“

Jeżeli więc zmarniała ta przewaga niemiecka doszczętnie, pocóż było wznawiać jej pamięć niepewną? po co ruszać owe popioły, które już tylko archæologa zająć-by mogły?

## IV.

W roku bieżącym odbędzie się zjazd historyków polskich w Krakowie. Najciekawszym punktem programu mogłoby być rozkopanie, albo zbadanie mogił, kopców, czyli, jak je dawniej nazywano: *reławek* (bo ręką usypanych) Wandy i Kraka. Jeżeli to nie cenotafia, to spoczywają tam zwłoki może jakiegoś Gota lub Wandalą.

I oto od niepewnych przewag niemieckich na wschodzie przeszli-byśmy od razu na grunt historyczny polski, stanęli-byśmy nad Mogiłą podkrakowską: przed Wandą bowiem ugiął kolana hardy drużynnik niemiecki, jak podanie ludowe twierdziło.

Tylko nie przed Wandą: do prawdziwego podania wplótł bowiem mistrz Wincenty nazwę zupełnie dowolnie zmyśloną: o żadnej Wandzie—niech mi wszystkie nadobne Wandy bluźnierstwo moje łaskawie wybaczą—lub polski nigdy ani słyszał, ani opowiadał; Wanda sama to produkt uczonej kombinacyi, nie istota mitu ani tradycyi.

Co o tej nieszczęsnej Wandzie u nas (i u obcych) już nie nabażano! Można-by o niej całe romanse mitologiczne układać; wszystko u niej miało być charakterystycznym: i nazwa jej, która wodę niby oznacza (litewskie *wanduo* woda, łacińskie *winda*); i dzień, w który Wandę święcą (dwudziesty trzeci czerweca, a więc przy samych sobótkach) i puszczeniu wianków na Wisłę (przyczem zapomniano tylko, że przełożenie „Wandy“ na 23 czerweca, to rzecz późna, jak wogóle cały nasz tak zwany „słowiański kalendarz“); i to, że Wanda w falach Wisły utonęła, a ciało jej u Dłubni wypłynęło i tam jej mogiłę usuto, przyczem znowu przeoczono, że jej utonięcie, to tylko późny niedorzeczny wymysł, tak samo obcy podaniu, jak naprzykład imię Rytogara, którem Niemca owego dowolnie ochrzczono.

Nie będziemy powtarzali, jak poezya podanie o „Wandzie“ poematowała i przekształcała, od pseudoklasycznych zapędów Wężyka, do romantyki Bełcikowskiego i do realizmu Wyśpiańskiego. To było jej prawem i nie myślimy sięgać świętokradzką ręką do dziedziny sztuki, pędzla i słowa. Z historykami i mitologami za to wolno się nam rozprawiać na seryo.

Nie będziemy jednak procesu *ab ovo* rozpoczynali, nie myślimy śledzić, kto pierwszy „mitu“ w Wandzie się dopatrzył, i jak potem błąd na błędzie piętrono. Zadowolimy się słowem ostatniego badacza, traktującego rzecz o Wandzie poważnie a wszechstronnie. Przytaczamy wywody jego w skróceniu, zresztą dosłownie.

„Podobnie, jak przy walce (Kraka) ze smokiem widać myt słoneczny, tak tutaj (przy Wandzie), tylko o wiele wyraźniej, woda i jej kult... opowieść o Wandzie łączy z Meluzyną. Jest ona nimfą czy rusałką. Ów (Niemiec), tyrannus Lemnorum, to człowiek, który się w niej zakochuje i któremu ona śmierć przynosi... powiedziałbym tylko, że Wanda jest potężniejszą. Zdaje się ona być boginią wód. Słowa kroniki (Wincentego): „Wanda morzu, Wanda ziemi, powietrzu Wanda niech króluje“, kto wie czy nie są oddziałami jakiejś pieśni ludowej. Świadczą zaś one w każdym razie, że tu nie chodzi o zwykłą jakąś rusałkę, ale o potężniejszą boginię, której kult łączył się z największą wodą w kraju, to jest z Wisłą. W polskiej opowieści elementem obcym jest tylko ów tyrannus Lemnorum... pierwotnie kto inny był ziemskim kochankiem Wandy, kto jednak? Tego się nie dowiemy, to tylko pewne, że był jakiś... ale ta część właśnie podania zatarła się i uległa zmianom. Inne zostały w pierwotnej postaci, niezmienione i bardzo mało popsute“<sup>1)</sup>.

Pomijamy Kraka i smoka: z mitologią i słońcem i oni nic do czynienia nie mają; jest to sobie najzwyklejsze podanie o jaskiniach, z którym najdowolniej mistrz Wincenty Kraka zczepił, a Kraka znowu wykombinował równie dowolnie z nazwy Krakowa. Nie lepiej ma się rzecz i z córką Kraka.

Najpierw o roli jakiegokolwiek Meluzyny, rusałki, bogini, niema nigdzie najlżejszego śladu. Wątki o Meluzynach zawierają stale połączenie dwóch nierównych istot: jednej śmiertelnej i drugiej nadprzyrodzonej, pół boskiej lub boskiej; związek taki naturalnie trwać nie może, zrywa go powrót bóstwa, więzionego na ziemi wbrew swej woli lub dobrowolnie, do własnego żywiołu; powrót motywowany przestąpieniem umowy jakiejś, lub innymi przypadłościami. U „Wandy“ i „Rytogara“ żadna z koniecznych premis wątku Meluzynowego się nie powtarza; ziemską ta para wcale się nie łączy; mogli-byśmy i w Heloizie Abelarda, albo Laurze Petrarki, Meluzyny upatrywać; zresztą to wcale nie para, pierwotne źródło nie

1) K. Potkański, „Kraków przed Piastami“, 24.

zna bowiem miłości między Alemanem a Wandą, lecz inny motyw wysuwa.

Ale „Wanda“ i wody nie oznacza; gdzie się przezwisko to (acz nadzwyczaj rzadko) powtarza, oznacza ono wędę, wędkę; przezywano tak ludzi czy od zagięcia nosa, czy dla innej jakiejś przyczyny. Mistrz Wincenty jednak o wędzie — haczyku, ani myślał; trapił go natomiast Wandalowie i z ich niemieckiego nazwiska on Wandę wymyślił.

Wandalowie ci nie tylko za życia najbardziej awanturniczy pędzili żywot, ale i po śmierci — rychło bowiem wygasli — spokoju nie zażyli. Przepyszny to egzemplarz owej strasznej energii niemieckiej, nie znającej przeszkód, pokonywającej ludzi i odległości; boć to nie lada wędrowka, z bronią w ręku przedzierać się od Pannonii przez Giermanię i Gallię do Hiszpanii (gdzie po nich nazwa Andaluzji do dziś pozostała), a stąd do Afryki, zdobyć tu państwo, wojować wybrzeża, płądrować iście po wandalSKU Rzym, a w końcu uleść zastępom Belizaryusza. I wygasł naród aryński, ale nie wygasła pamięć o nim i kojarzyła się ona nieraz z nazwą Gotów, z którymi Wandalowie i sąsiadowali niegdyś, i tak, jak oni, konno i pieszo (jak zachodni Niemcy) walezyli i koczowali. Odżyła też ta nazwa później np. w tytule książąt meklemburskich i królów szwedzkich, którzy książętami lub królami Gotów i Wandalów się pisali; wcześniej jeszcze w nazwach bałtyckich miast hanzy, jak Szczecina, Wizmaru i innych. Odżyła ta nazwa tem łatwiej, skoro się z nią pozornie zgadzała niemiecka nazwa Słowian, Wenden i inne terminy geograficzne. Wandalami zowią też Słowian południowych źródła niemieckie.

Dziejopisarstwo wieków średnich miało brzydki nałóg podszywania swoich i obcych pod nazwy utarte w starożytności, klasyczne. Grecy chroniący np. są wręcz niemożliwi z maskaradą owych Tribalłów, Moesów, Scytów itd., pod którymi Serbów i Bulgarów itd. zgadywać należy. W podobne przebierania bawią się i kronikarze łacińscy: Węgrzy np. zowią się u nich Pannonami, Słowianie Sarmatami; dla Rusi Rutenów wynajdą; Danię i Dacyę, Gotów i Getów pomieszają itd. Do takiej-to zabawki nadawało się znakomicie i imię Wandalów. Ale Wandalus, to nie tylko imię narodu, lecz i imię rzeki, bo od rzek narody chętnie przezywano, jak np. Danubii od Danubiusa (Dunaju). Otóż mistrz Wincenty, który wiedzę swoją z za granicy wyniósł, znalazł tam pewnik, że Słowianie się Wandalami nazywali, i że nazwa ta od wiekiej rzeki poszła. Żeby mnie łaskawy czytelnik o mistyfikację nie posądzał, przytoczę kilka przykładów.

W „Etymologiach“ Izydora (z siódmego stulecia), książki najbardziej wpływowej, szkolnej niemal, rodzaju encyklopedyi, znalazł Wincenty— a Izydora znał on doskonale—wzmiankę o rzece Vindili-cus, nad którą Wandalowie siedzili i od niej nazwisko dostali (Księga IX, rozdział 2); ale w kompilacjach flamandzkich z początku XII wieku, naprzykład w bardzo poczytnej kronice Hugona, rzeka już Wandalem nazwana. Wedle Adama Bremeńskiego zamieszkują Słowiańszczyznę „Winulowie, których niegdyś Wandalami zwano“; Ruś jest ostatnią i największą „prowincją Winulów“, Odera płynie przez środek Winulów. Inny społeczny autor osadza razem Wandalów i Sarmatów na wschodzie, mówi o rzece Sarmackiej i o rzece Wandalskiej, o Wandalu. Jeszcze inny króla Bolesława królem Wandalów zowie. Później, w XV wieku, całe wybrzeże bałtyckie wandalskiem zwano; terminów: wandalski i słowiański, wcale nie różniano.

Uchodziło więc w oczach Wincentego za nieomyślne, że Polacy-Słowianie zwali się kiedyś Wandalami, od rzeki Wandalus, którą naturalnie tylko Wisła być mogła. Nie zadowolił się Wincenty tem twierdzeniem; trzeba było ziomków przekonać, że Wisła rzeczywiście Wandalem się zwała (istotnie znajdujemy pod wpływem Wincentego bajkę tę i po dokumentach, naprzykład w roku 1254, powtórzoną), i wynaleźć rodowód tej nazwy. Etymologia średniowieczna nigdy w kłopot nie była; odcięła *lus*, jako końcówkę; pozostałe Wanda miało pozór żeński, i tak powstała Wanda, którą bez namniejszego skrupułu Wincenty jako córkę Kraka przedstawił. Nie może być najmniejszej wątpliwości: Wandę ukuł dopiero Wincenty z nazwiska Wandalus—on sam czytelnika na to naprowadza, chociaż istotny stosunek z największym spokojem na świecie odwraca, że to niby od Wandy rzeka Wandalus nazwana. Późniejszym takie gołosłowne twierdzenie już nie starczyło, więc dla większej pewności Wandę w Wandalusie utopili.

Lecz nie dosyć było stworzyć Wandę; należało o niej coś opowiedzieć: że po śmierci ojca panowała, rozumiało się samo przez się, skoro Wincenty jej braci pozabijał. I opowiedział o niej Wincenty szczegół, który w żywej tradycyi znalazł. Tradycya mówiła może o tem, że jakaś królowa, czy królowna polska, gdy wróg, czy Niemiec, lud jej napastował, samem zjawieniem się swoim wojsko nieprzyjacielskie przeraziła, tak, że ono i bronii przeciw niej podnieść nie śmiało, a wódz jego, skonfundowany tem zjawiskiem, od wstydu i hańby sam się zabił, przeklinając niemieckie swe hufce. To opowiadała tradycya; Wincenty przykroił tylko rzecz dla Wandy, która



dziewicą pozostać musiała (inaczej niż Lubusza podania czeskiego, której potomkowie panowali rzeczywiście, podczas, gdy plód uczoności trudno było jeszcze i potomstwem obarczać); więc za mąż wychodzić nie chciała, więc odmawiała ręki, choćby się o to gniewano, jak później dodano.

Jeżeliśmy do jądra tradycyi rzeczywiście dotarli, moglibyśmy nawet powiedzieć o kim to niegdyś tradycya opowiadała. Wincenty usłyszał może relację bezimienną o jakiejś królowej; społecznie jeszcze, gdzieś, królowę i nazwać umiano: była to może Dobrawka, żona Mieszki, o której napewno wiemy, że jeszcze w czternastym wieku dziwy o niej lud prosty sobie opowiadał.

Że na podobny domysł nikt przede mną nie wpadł, wyjaśniam sobie tem, że nie zastanawiano się nad rodzajem cudu, którego Wanda wedle Wincentego, Dobrówka, wedle mego przypuszczenia, dokonała. Cud ten, niemoc wroga wobec zjawiska nadludzkiego, nie ma i śladu cudowności pogańskiej, i próżno-byśmy mu równia szukali między mitami: w micie bowiem wróg-by od widoku skamieniał, sam na się broń wydobył, zapadł się pod ziemię, lub w jakikolwiek tam sposób z cudu kwitował. Tylko w cudowności chrześcijańskiej znajdujemy podobne motywa, ale za to w hagiografii są one nadzwyczaj częste: o iluż-to świętych nie opowiada się, że ich zjawienie się na walach miasta, lub nad niemi, wystarczyło, by wróg się cofnął: od Attyli pod Akwileją zacząwszy, a skończywszy na Chmielnickim pod Lwowem, kiedy Jana z Dukli nad miastem widziano, roi się od podobnych cudów; nawet o stryju Dobrówki, o św. Wacławie, nieco podobny epizod zdarzyło mi się czytać. Dobrówka, co Polskę ochrzciła, mogła w fantazyi ludowej i na świętą, i na anioła opiekuńczego urosć, którego zjawienie się wroga Niemca (bo o kimżeż innym przed napadem Tatarów można było i myśleć) ubezwładniło.

Lecz mniejsza o to, czy mój domysł co do udziału Dobrówki trafny — za to z wszelką stanowczością twierdzę, że Wanda ani do historyi Krakowa, ani do mitów polskich, tylko do nędznej etymologii należy. Uporaliśmy się z fikcją, której koniecznie wiarę dawano; przejdźmyż do prawdy, którą koniecznie za fikcyę wydać usiłują.

## V.

Mówiliśmy wyżej, że stosunki słowiańsko - niemieckie przechodziły najziemniejsze koleje. Punktem zwrotnym w nich były przewagi Karola Wielkiego. Przed stuleciem dziewiątem panował stan wojenny między Słowianami a Niemcami od wieków; napływały i odpływały fale najazdów i krótkotrwałych zaborów; już turyngskie i frankońskie królestwa i bawarskie księstwo przewodziły nieraz nad ościennymi Słowianami; Słowianie i Sasi byli sobie wrogami zacieklymi i zręcznie umiał Karol Wielki z tego antagonizmu korzystać; tak samo Dania i Słowianie bałtyccy wojowali oddawna, w szkole duńskiej wyuczyl się też ci Słowianie piraterii, że i mistrzów swych celowali; ale dopiero od Karola Wielkiego stosunek Niemców i Słowiańszczyzny zachodniej ulegał radykalnej zmianie, nastawała nowa jego faza. Karol sam wprawdzie o właściwych zaborach jeszcze i nie myślał, on sam zadawał się wobec Słowian przyjęciem hołdu i lekką daniną, jemu chodziło raczej o utrwalenie pokoju na własnym pograniczu; lecz sam fakt, że pogranicze to należało teraz do imperyum chrześcijańskiego, nie do byle jakiego szczepu niemieckiego, był brzemieniem w następstwa, torował drogę przyszłemu ujarzmxeniu, a potem i wywłaszczeniu Słowian.

Na dalekim zaś Wschodzie, jeszcze po czasach Karolowych, powtórzył się fakt, jeden z tych, jakie pierwszą fazę stosunków słowiańsko-niemieckich stale charakteryzowały: napad luźny wojewodów z ich drużynami, tylko z tą różnicą, że, podczas gdy wszystkie dawniejsze napady i podboje w końcu ani śladu nie pozostawiały, ten napad utrwalił się na zawsze, bo rzucił podkłady najpotężniejszego państwa na świecie.

Mówimy o wyprawie normańskiej „Rusi“, która państwo kijowskie stworzyła, o dziele Rurykowiczów, ostatnim a jedynie trwałym napadzie na Słowian, dokonany przez Niemców w dali od kraju rodzinnego, bez podstawy etnicznej i bez oparcia się na niej, o napadzie więc, jakich tyle razy przedtem, a zawsze w końcu napróżno, marnując siły własne, Hermanarychi i Winitary dokonywali.

Ciszę, jaka po wędrówkach niemieckich zapanowała, przerwały na długo zbójeckie wyprawy północnych wikingów, piratów normań-

skich, od Skandyi i Danii niepokojących wszystkie wybrzeża europejskie. Cała energia plemienna, przytłumiona jakiś czas, wyładowała się z siłą żywiołową w tych, niczem nieustraszonych, szaleńcach, co to na kruchych łodziach, bez żagli i kompasu, wazyli się na najtrudniejsze i najdalsze przeprawy morskie, do Islandyi, do Grenlandyi, do Winlandu — zdobywcy Ameryki na wieki przed Kolumbem, których ślady zdumiony archeolog dziś coraz dalej na Południe odkrywa. Ufni tylko w siły własne, wyzywający do walki nie tylko ludzi, lecz i groźnych bogów, i rozszalałe żywioły, ruchami błyskawicznymi zapadający w najdalsze kąty, przyświecali oni łunami pożarów już egzekwiom Wielkiego Karola, coraz straszniejsi dla jego coraz słabszych następców. Jeszcze wcześniej zaczęli oni na Wschodzie swoje wyprawy: Szwedów szczególniej nęcił brzeg przeciwległy, a droga główną arterią handlową, Dnieprem, popod Kijów, na Morze Czarne, była im oddawna znaną. Już od IX-go stulecia słyhać o ich napadach, sięgających wybrzeży Azji Mniejszej; inne kierowano na Wschód, przeciw Słowianom i Finnom. Z takich, pierwotnie przemijających napadów, wyrosła w końcu i na Wschodzie trwała okupacja, jak np. i we Francyi, gdzie Normandya po dziś dzień mianem swoim ich przypomina. Zajęto najważniejsze punkta komunikacyjne w słowiańskich i fińskich dzielnicach, umocniono je i przetworzono w grody z załogami, z których drużyny wypadały w okolice, zbierać daniny, łowić zwierza, przygotowywać zasoby do podróży greckiej. Okupacja taka rozciągała się współcześnie, niezawisłe, na kilka dzielnic; później skupili książęta północny cały zabór normański w jednych rękach, i Kijów za siedzibę główną obrali. Nowy organizm państwowy, acz pierwotnie zupełnie luźny, wprowadził nową nazwę dla całości: Szwedów tych najbliżsi ich sąsiedzi, Finnowie, zwali Ruotsi, i od tej nazwy przezwala się cała wschodnia Słowiańszczyzna Rusią, chociaż pierwotnie nazwa ta głównie ziemi kijowskich Polan, jako ziemi centralnej, przypadła, nie wyłączając jeszcze dawnych nazw plemiennych, Drzewian, Siewierzan itd. Przyływ ze Szweyey odświeżał i zasilał te załogi i hufy drużynne, które się powoli, wśród obcego otoczenia, w mieszanych małżeństwach wynarodowić musiały. Proces ten zaczął się niechybnie już w drugiej i trzeciej generacyi, i był, jak u Bulgarów zadunajskich, po półtorawiekowym upływie, na zupełnem ukończeniu; książęta i ich drużyna normańska zesłowiańszczyły się zupełnie tak samo, jak Bulgarowie; śladów obcego pochodzenia zostało po nich niewiele więcej, niżli po Bulgarach.

Tak powstała Ruś kijowska i władza jej książąt. Zjawienie się Rusi normańskiej wnet przekształciło stosunki na Wschodzie: byli do-

tań Słowianie spokojnymi zjadaczami chleba, których sąsiedzi, na przykład Chazarowie, daninami obkladali; a teraz, powolne narzędzie w ręku energicznych wodzów, za jednym zamachem niszczą państwa chazarzkie i bułgarskie (nadwołzkie), sięgają po Bułgarię naddunajską, njarzmią szczepy litewskie, ściągają się z Polakami, walczą z Pieczenegami. Różnica aż nadto widoczna; zapelniają się też karty kronikarzy greckich wyrzekaniami na Ruś bezbożną, nowego, straszego wroga, nie oszczędzającego żadnej pleci, ani wieku. Arabowie znowu, spotykający się z nimi na targach wschodnich, nie umieją dosyć opowiadać o ich dziwnych zwyczajach, ich obchodach pogrzebowych (ze zbytkiem bajecznym), ich ofiarach, ich braku czystości.

Takie początki Rusi otoczyła tradycya rozmaitemi, upiększonemi szczegółami; podbój przechrzcila (co i gdzieindziej, w Brytanii z Sasami, w Afryce z Wandalami, uczynila) na dobrowolne przyzwanie, twierdząc, jakoby Słowianie i Finnowie w niesłychanej jednomyślności ciemiężców swoich o objęcie rządu nad sobą upraszali — chociaż rzeczywiście nieraz Słowianie, lub Finnowie w bratobójczych walkach pomocy normańskiej wzywać mogli. Rywalizacyę Normannów między sobą również tradycya zatarła; fakty poszczególne jednostromnie oświeciła. Reszty dokonał annalista, dosztukował chronologię, chociaż bardzo chromającą, wygładził sprzeczności i pozapełniał luki.

Opowiadanie jego nie podlegało chyba u Herberszteina żadnej wątpliwości; dopiero w XVIII-tym wieku zaczęto się na nie dąsać; fałszywa ambicya nie znosiła dłużej decydującej roli obcych w początkach państwa ruskiego; podejrzewano Niemców o intrygę, o zmowę, o niesłuszne przywłaszczenie sławy i zasługi. Wprawdzie historyk państwa, Karamzin, nie dał się tym podszeptom zwabić, ale krytyka naukowa, coraz więcej sceptyczna, nie zadawała się już nieomylnością „Nestora“, i wytaczała rozmaite argumenta przeciw „normanizmowi“ i „Normanistom“. Najdzielniejsi z nich, Pogodin i Szlązak Kunik, zmarły zeszłego roku, obronili teorię w szerokich, wyczerpujących przedstawieniach; spór zdawał się stanowczo zagodzonym. Lecz od siódmego dziesiątka naszego stulecia ponowiły się szturmowanie z wytrwałością, godną lepszej sprawy; wznowili je Kostomarov i Gedeonow, a podtrzymał po latach Howajski, i zachwiały się z gruntu podstawy teoryi normańskiej; podczas gdy historycy polscy początki Polski koniecznie z jakimś najazdem i podbojem obcym łączą, o którym żadnej kronice się nie śniło, przeczą ruscy teoryi podboju obcego, przedstawionego w kronice pierwotnej. W opinii raskiej kredyt normanizmu bardzo ucierpiał; wobec mil-

czenia Normanistów zdawało-by się, że spór ponownie zagodzono, tylko w odwrotnym kierunku, niż poprzednio, bo na niekorzyść normanizmu.

Dzieje Rusi Kijowskiej są i dla nas tak ważne i ciekawe, że nie zawadzi bynajmniej przedstawienie kwestyi, tak ściśle z głównym naszym tematem złączonej, w prawdziwym jej świetle.

Normaniści sami zaszkodzili swej sprawie zbyttem pośpiechem, ryczałtorem składaniem na karb Normanów wszelkich odrębności i właściwości Rusi, wietrzeniem wpływów normańskich na każdym kroku, w mowie, wierzeniach, ustroju, łatwowiernem czepianiem się każdej litery u Nestora, krytyce przeciwników poddawali sami słabe strony. Lecz normanizm a wybryki jego i przesady, to dwie różne rzeczy; nie dzielając bynajmniej ostatnich, pierwszego się nie wyrzekniemy.

Argumenta antynormanistów są głównie natury ujemnej: wielką odgrywa w nich rolę milczenie sag skandynawskich, okoliczność, że one, zresztą tak wielomówne, nic nie donoszą o założeniu władzy normańskiej w Nowogrodzie i Kijowie. Jak słaby jest ten argument *a silentio*, dowodzi współczesny fakt, że o przyjęciu chrześcijaństwa przez Ruś od Greków żadne współczesne źródło greckie ani słówkiem nie wspomniało. Inny ich argument równiej jest siły: gdyby Normannowie, twierdzą Antynormannowie, założyli państwo, i liczne ich drużyny rozlały się w otoczeniu słowiańskiem, niechybnie zachowało-by to otoczenie ślady skandynawskie w sądownictwie, mowie, życiu potocznem, a śladów żadnych niema, bo nie wytrzymuje krytyki to wszystko, co naiwny normanizm, jako takie, niegdyś gromadził. Ale i to nie argument: horda bułgarska, liczniejsza i silniejsza, niż drużyny normańskie, rozplynęła się między Słowianami Mezyi, a wyraźnych śladów po niej nie pozostało żadnych, prócz imienia Borysa i nazwy kilku dygnitarstw: bojarów i samu. Po mniej licznych Normannach zostały przecież i imiona, jak Olga, nie mówiąc o Olegach i Igorach, zostały urzędy ciwuna, otoczenie grydzi.

W takiej-to ujemnej krytyce leżała główna waga antynormanizmu; najslabszą była strona dodatnia, gdy zburzone normaństwo należało czemśkolwiek innem zastąpić. Najniefortunniejsze pomysły luzowały się teraz na przemiany: Kostomarow podsuwał na miejsce Normannów Litwinów łapciastych, którzy niegdyś wimnikami i chróstem daniny oplacali, bo na co innego stać ich nie było. Gedeonow tak, jak niegdyś (r. 1549) Herbersztein, poseł cesarski, przypuszczał, wyszukiwał najeźdźców między Słowianami nadłabskimi, którzy, niby

od Sasów i Franków uchodząc, i na własnej ziemi niczego nie obrobiwszy, na obcej dopiero w dzielnych organizatorów się wyrobili — polscy historycy w tych samych Wagrów i zapoczątkowanie państwa polskiego wmawiali; wreszcie Howajski Scytów i południowe szczepy słowiańskie z grobów poruszył, w nich i w innych hordach wschodnich, w Roksolanach — Rossolanach, i Słowian, i założycieli państwa ruskiego odkrywając.

Otóż te właśnie pozytywne wywody Antynormanistów razily tak okropnie absolutnym brakiem prawdopodobieństwa, że najnowszy antynormanizm wyrzekł się ich raz na zawsze. On przeczy z góry samemu podbojowi; ślepe zaufanie podaniu kronikarskiemu uniemożliwiło wszechstronne badanie przeszłości ruskiej; a państwo ruskie nie odrazu, podbojem, stanęło, lecz wiekowa ewolucya je stworzyła; grody ze swą obronnością, szczególnie Kijów, odwieczna stacya handlowa, służyły jako zawiązki słowiańskiej, ruskiej organizacyi państwowej, rozszerzającej się stopniowo na coraz dalsze rody i szczepy. Widocznej bytności druzyn normańskich na ruskich dworach wielkksiążęcych bynajmniej nie zaprzecza; ależ to tylko orszaki najemnicze, jakie niebawem, pod nazwą wargów, i u dworu konstantynopolskiego długo i licznie służyły. Usuwając więc wszelkie najazdy i podboje, kładąc wagę na normalny i powolny rozwój, wychodzi antynormanizm najświeższej daty obronną ręką z niebezpieczeństw, o które dawniejszy stale się rozbijał.

Lecz i te pozory prawdy są tylko złudzeniem, i nie ostoją się w obec wyraźnych świadectw dziejowych.

Świadectwa te są dwojakie: historyczne wiadomości u autorów współczesnych, i językowe, terminy i nazwy, jakie po owych czasach i ludziach nam pozostały. Z pierwszemi antynormanisci jakoś sobie radzą; wiemy przecież, jak jedno i to samo świadectwo obrońca, a jak oskarżyciel wyzyskuje. Świadectwa te wydawali zresztą ludzie, w prostocie ducha ani przypuszczający, że po wiekach świadectwa ich staną się niby sieciami, w których ryby większego oczka szukają, aby niem się wysliznąć mogły. Więc, aby użyć innego prastarego porównania, kręcą niemi niby nosem woskowym, nadając mu coraz nowe kształty. Opowiada naprzykład oficjalny kronikarz frankoński, biskup Prudencysz, że cesarz bizantyjski odesłał (r. 839) na dwór Ludwika Pobożnego dwóch Rusi, a na dworze cesarskim w Ingelsheim stwierdzono, że ta, tak zwana Ruś, to Szwedzi właściwie; albo opowiada w sto lat później Luitprand z ust świadków naocznych, własnego ojezyna, że Ruś Igora byli „Normannami“, to podchwytyją

słówka, przypuszczają naprzykład, że „Normannowie“ nie Normanów, tylko ogółem ludzi północnych oznacza, i wykręcają się sianem: w ostateczności służy im zawsze wymówka, że przecież mogli poszczególni Normannowie-Waregowie służyć przy boku księcia, ale że z tego nic więcej nie wypływa.

Jeżeli wobec takiej krytyki żadne świadectwo historyczne niezachwianem nie pozostanie, należy po rozstrzygnięciu sporu udać się do innego trybunału; gdzie historia zawodzi, ostoi się może filologia. I rzeczywiście, wobec argumentów filologicznych są antynormanisci wszelkiego nabożeństwa bezsilni. Z argumentów tych przytoczymy choć dwa. Jeden znajdujemy w pismach, czy kompilacjach cesarza greckiego, co usunięcie od władzy istotnej pracami literackimi sobie osładzał. Konstanty Purpurorodny, który, w jednym ze swych pism wyprawy Dnieprem Kijowskiej Rusi kreśląc, nazwy słynnych progów dniewprowskich, owej walnej przeszkody regularnej żeglugi, w dwóch językach wyliczył. Jeden z tych języków zowie on słowiańskim; i rzeczywiście, nazwy jego istnieją niemal i po dziś dzień mało zmienione; są to nazwy naprzykład: *nieśpij*, *ostrowny próg*, *wolny próg* (od ostrowu, to jest wyspy, od weln, to jest fal, wolninskiej porog) *niejęsyt* (dziś *nienasyt* z *niejasyt*, por. Perejasławl — Przejęsław, polskie Pojęgródź i t. p. z owem charakterystycznym ję, ja), *wręcacy* (wruczyj), *napręcz* (*naprjadzi*, tak tłómaczę *naprezi* Porfirogenety), inni mniej trafnie termin ten objaśniali; tryb rozkazujący w nazwie ostatej, jak i w pierwszej, *nieśpij*. Dotąd wszystko w najlepszym porządku.

Co następuje, to istna katastrofa dla Antynormanistów. Bo Porfirogeneta przytacza obok owych *słowiańskich*, osobne *ruskie* nazwy tych samych progów, a więc języki, słowiański i ruski, są to dla niego dwa odrębne języki!! Nam, którzy wiemy, że w roku 839 w Rusi Szwedów uznano, że sto kilkanaście lat później Ruś Normannami wyraźnie przewano, odróżnianie ruskiego języka, to jest szwedzkiego, normańskiego, od słowiańskiego u Porfirogenety wydaje się rzeczą najnaturalniejszą; nie mogło być przecież inaczej. I rzeczywiście, „ruskie“ nazwy progów, naprzykład Gelandri, Leanti, Ulworsi, Aifar i inne dają się tylko ze szwedzkiego wytłómaczyć. Czego to nie próbowano z temi nazwami, nawet od madiarskiego do nich się dobierano—wszystko napróżno! Te nazwy są i zostaną szwedzkimi, i nic ich nie uratuje. I przyznali wreszcie najnowsi Antynormanisci ich szwedzkość, ale wyslizgują się znowu znaną sofisteryą: w drużynach ruskich były indywidua normańskie, i od nich—to Porfirogeneta te szwedzkie nazwy zapisał. Tylko tutaj wykręt ten nie

nie pomaga: bo nie to decyduje, że Porfirogeneta jakieś tam obce, niesłowiańskie nazwy sobie (po co?) zapisał, lecz decyduje, że on te obce nazwy na ruskie przechrzcil i słowiańskim przeciwstawił. A więc miał Nestor słuszność, twierdząc, że nazwa Rusi Słowianom pierwotnie wcale nie przysługiwała, że „Ruś“, to nazwa obca, tego samego szczepu, którego inne gałęzi Szwedami i Normannami się zowią; tak samo, jak Porfirogeneta ruski i słowiański język, Ruś i Słowian przeciwstawia, i Nestor Ruś od Słowian odróżnia, naprzykład, gdy opowiada o pochodzie morskim roku 907, kiedy-to zwycięski Oleg rozkazał: „Uszyjcie purpurowe żagle dla Rusi, a dla Słowian z tkaniny“... I rozpięła Ruś żagle purpurowe, a Słowianie tkanki, i rozdarł je wiatr, i rzekli Słowianie: „Wróćmy się do swoich grubych płócien; nie dla Słowian tkanki“. Oba, od siebie zupełnie niezawisłe źródła, zgadzają się jak najpiękniej, co do odróżniania Rusi i Słowian.

Oto jeden argument filologiczny, a drugi równie potężny. U Nestora ocalało nam kilkadziesiąt nazw ruskich książąt i ich druzyny. Kilka z tych nazw znają i inne źródła. Mamy u tegoż Nestora liczne nazwy słowiańskie, słowiańskich książąt (Mał, Chodota) i gmin: uwydatniają one zwykły typ słowiański. Jakżeż wyglądają ruskie? Weźmy oto pierwsze zdanie traktatu, zawartego przez posłów Olega z greckimi cesarzami w roku 912: my od rodu ruskiego, Karły, Ingeld, Farłof, Wermud, Ruław, Gudy, Ruwałd, Karn, Frelaf, Ruar, Aktewu, Truan, Liduł, Fost, Stemid, posłowie Olga, księcia ruskiego i t. d., i t. d. Otóż widzimy tyle nazw „ruskich“ — ani jedna słowiańska, wszystkie szwedzkie!! W innym grecko - ruskim traktacie, za Igora roku 914, czytamy jeszcze więcej tych nazw ruskich, to jest szwedzkich, pomiędzy nimi tak charakterystyczne, jak Szibrid, to jest Sigfrid, lub Alward, Turbern i t. d., i t. d. Jest ich i po innych kartach kroniki podostatkiem. Wagę tego argumentu osłabiają Antynormaniści w ten sposób, że próbują choć kilka, lub kilkanaście tych nazw oderwać od Szwecyi, a przemycić je jako słowiańskie. Co przytem wyrabiają, pokażę na jednym przykładzie. Najczęstszem mianem skandynawskiem jest Björn (tyle, co niedźwiedz, polski Mieszka); od Björnów, Björnsonów i Björnsonów roi się i dziś jeszcze cała Skandynawia; naturalnie, powtarza się ono i między „ruskimi“ nazwami, Bern, i w złożeniach, Turbern i Szichbern. Tej jawnej prawdy wyprze się naturalnie Antynormanista, i będzie jakiegoś słowiańskiego, niemożliwego berna (od brania?) gwałtem poszukiwał. Gdy zaś tym manowcem nigdzie nie dojdzie, powtórzy starą piosnkę: to tylko nazwy kilkunastu lub kilkudziesię-



sięciu z drużyny ruskiej, której wszyscy inni członkowie byli zawsze Słowianami. Widocznie chochlik jakiś wyrządził Antynormanistom ten psikus, że właśnie tylko Szwedzi, a żaden z nierównie liczniejszych Słowian, do owych poselstw się nie dostał. Ale jeżeli Antynormanisci nawet przyznają, że między drużyną było wielu Szwedów, o książętach ruskich nigdy tego dopuścić nie mogą. A więc imiona pierwszych książąt ruskich muszą być słowiańskie. Przypatrzmyż się im.

Dwa najważniejsze: *Oleg* męskie i *Olga* żeńskie, to słowiańskie, twierdzą przeciwnicy i wskazują z tryumfem na rzeczkę jakąś, *Oleg*, dopływ Bugu (zachodniego). Ale *Olga* była w Konstantynopolu, greckie źródła znają ją dobrze i nazywają *Elgą* — więc *Oleg* i *Olga* nie mogą być niczem innym, tylko szwedzkim, *Helgr* i *Helga* (Słowianin zrobił z *Helga* *Olga*, jak naprzykład z *Hele*ny *Ołenę*).

Dalej *Igor*, forma zmieniona w ustach słowiańskich, które i ze szwedzkiego *sundru* (cieśniny morskiej) *sud* zrobiły; Grecy zowią go *Ingorem*, a *Luidprand Ingerem*, szwedzkie *Ingwarr* — Antynormanisci wskazują na rzekę stepową *Ingul* (ależ to nazwa turko-tatarska!) i na Słowieńców *Ingo*, *Ingmerowic* (ależ to raczej niemieckie!).

Albo *Rogwołd*. Opowiada o nim *Nestor*, że *Rogwołd* przyszedł był z za morza, i władał w *Polocku*, miał córkę, *Rogniedę* (temat główny w nazwie ojca powtarza się i w nazwie córki, wedle trybu ówczesnego przezywano chętnie rodzeństwo i t. d. jednym pniem słownym). Że to *Raguvaldr* i *Raguheid*, o tem nie można wątpić, ale Antynormanista słowiańskiego rogu (zamiast skandynawskiego boga) domyślać się będzie, — chociaż podobnej nazwy słowiańskiej pewnie nie odszuka. *Ruryka* i *Sineusa*, *Truwora* i *Oskolda* zostawiają na boku — brzmią nadto fatalnie, i nie pomoże nic, że mamy rzekę *Oskol* na stepie; właśnie oba te nazwiska, *Riurik* — *Hroerkr*, i *Oskold* — *Hoeskuldr*, dowodzą najwymowniej normańskiego ich pochodzenia.

A więc nietylko nazwy drużynników, lecz i nazwy książąt samych są „normańskie“, albo „wareńskie“, jakby je *Nestor* nazwał; więc i podanie o „wareńskim“ pochodzeniu *Rurykowiczów* i ich *Rusi* — słowiańskości *Rusi* ani *Roś*, rzeka, nie pomoże — jest dobrze ufundowanem; wobec tych argumentów filologicznych, argumentacja antynormańska jest całkiem bezsilną. Powtarzamy więc nasze założenie o inwazji niemieckiej, ostatniej i najskuteczniejszej zarazem z tych wszystkich, jakie od wieków na *Wschód* się kierowały.

U Nestora znajdziemy i ciekawe próbki gospodarki normańskiej między Słowianami, takiej samej pewnie, jaką niegdyś Goci między „Wendami“ praktykowali. Zasiadł bowiem Igor w Kijowie, i zdawało mu się, że nie dosyć dani wymuszał na pobliskich Drzewianach; i potwierdziła go w tem własna drużyna, sarkając: „oto ludzie wojewody Swenalda, i zbrojni, i szatni, a my nadzy: pójdźcież z nami, o książę, na dań, a obłowimy się wszyscy“. A była to pora jesienna, kiedy „Ruś“ zwykła była wychodzić za „połudzie“, wybierając tę daniń od zholdowanych szczepów słowiańskich. I wybierali Igor z drużyną połudzie znaczniejsze, niż kiedykolwiek, gwałtem, i wybrawszy połudzie, wracali na leże zimowe. Lecz w drodze rozmyślił sobie Igor, i rzekł do drużyny: „idźcie wy do domu z daniń, a ja jeszcze wrócę i pochodzę między Drzewianami“. Wyprawił więc drużynę do Kijowa, a sam, z małym orszakiem, wrócił do Drzewian, pragnąc większych zasobów. Gdy Drzewianie usłyszeli, że Igor ku nim wraca, rzekli na radzie z księżciem swym, Małem: gdy się wilk wnąci w owce, wyniesie po jednej całe stado, jeśli go nie ubiją, tak i Igor nas wygubi, jeśli go nie zniesiemy; i posłali do niego z wyrzutem: powracasz, wszakżeś wybrał już całe połudzie. I nie słuchał ich Igor, i wyszli Drzewianie, i zabili go wraz z orszakiem niezlicnym. — Podobne dramata nieraz się na Wschodzie od początku naszej ery odgrywały.

Wobec tej domieszki normańskiej można o jednym i drugim szczególe życia staroruskiego pytać, czy nie wyszedł on ze Skandyi? Jeśli naprzykład kronikarz opowiada o Kulcie Peruna, to mimowoli zapytamy, czy to nie Tor nordyjski — mitologia słowiańska nie zna bowiem żadnego Peruna, niema go u Słowian rugijskich i pomorskich, a konwencyonalna wzmianka Prokopiusza niczego nie dowodzi. Perim - Tor mógł być bogiem drużyny i książąt, Wolosy, Dadźbogi i Swarozycy należeli Słowianom (i rzeczywiście, wobec zupełnego milczenia o bogu Perunie, tamtych bogów inne mitologie słowiańskie znają w najlepsze). Ale to grunt bardzo ślizki; tu się Normanistom tyłokrotnie noga powinęła, że bezpieczniej nań nie wstępować.

I powtarzamy: w szczegółach mogą być wątpliwości; może nie trafnie wytłómaczono samą nazwę Rusi; możebny jest spór, czy Rurikowicze przybyli wprost ze Szwecyi, z Uplandu i przyległych ziem, czy też szczep Ruski od dawna już w sąsiedztwie Finnów i Słowian, naprzykład nad Ładogą, przemieszkiwał; czy to był szczep jednolity, czy raczej zbierana drużyna i t. d. Ale co niewątpliwe, to norweskie pochodzenie Rurykowiczów i ich Rusi.

Warto jednakże zaznaczyć, że to zetknięcie się Skandynawów i Słowian nie jedyne, że społecznie na całej linii Bałtyku (przezwanego z pewnością nie od litewskiego *baltus*, biały, lecz od Niemców) Skandynawowie i Słowianie, głównie Obodrycy, Pomorzanie, a za nimi Polanie w odwodzie, jak i Prusowie, się ścierali. Odgłos tych walk przechował się w chępliwych opowiadaniach Duńczyka, Saksona, o dawnych ludziach i dziejach. Tradycja pomieszała wprawdzie nazwy i fakta, a Sakso ją jeszcze lepiej pogmatwał, ale czytając pierwsze księgi jego dzieła, co krok słowiańskie napotykamy paralele. Czerpali z nich inni przed nami, naprzykład bajkę o litewskiej górze umarłych, Anafielasie, z Saksona zmyślili, choć się do tego zmyślenia nie przyznają; ale i po odrzuceniu podobnych wymysłów zostaje wiele ciekawego, nie wyzyskanego należycie, materiału. Wczesne opanowanie Bałtyku przez Niemców (od Lubeki i innych miast Hanzy) przerwało stosunki skandynawsko-słowiańskie, zasłoniło nam je zupełnie — dowodzą ich choćby częste spowinowacenia między Piastami a rodami królów szwedzkich i duńskich, dowodzi choćby taki Dunin polski nie od przyłądka tak nazwany.

Nie darmo też zaczyna mistrz Wincenty bajeczne dzieje Polski od uwięzienia króla duńskiego i sromoty, jaka Duńczyków od Polaków (raczej Pomorzan) spotkała; on tylko nazwisko króla fałszywie położył, fakt sam nie ulega wątpliwości; opowiada o nim szeroko Sakso.

Króla Sweina (tj. młodziana — nazwa Swena i w Polsce średnio-wiecznej istniała) uwięzili morscy piraci słowiańscy, od nadodrzańskiego Wołynia Danię napastujący; wykupił się Swein z niewoli, odważając się raz złotem a dwa razy srebrem; na szczęście, szczuple ciało jego zbyt nie ważyło. Ale, gdy go po raz drugi Pomorzanie schwyłali, nie starczyło mu skarbów, zastawił więc synów najszlachetniejszych rodów i potem ich ojcom lasy królewskie powyprzedawał. Za trzecią zaś razą — nadzwyczaj przebiegle wykradli go Pomorzanie z pośrodku własnej floty jego, nocą, i uprowadzili w łodzi — posprzedawał ziemice, a złożyły zań matrony duńskie wszelkie kosztowności; od tego czasu, w nagrodę za tę ofiarę, wolno im też spółdziedziczyć.

Tak opowiadała tradycja duńska o ulubieńcu swoim Sweinie; ten sam fakt — tylko mylnie o jakimś Kanucie — opowiada bez tych akcesoryi, choć z innym dodatkiem, Wincenty; jak głośnym musiał on niegdyś być na całej północy, jak wyśmiewano króla, wykupywanego niby niewolnika, i naród jego ofiarny.

Otóż tu schodzą się Sakso i Wincenty (piszący niemal współcześnie) w jednym i tym samym fakcie. U Nestora znowu Iskorosteń drzewski zdobywa Olga, wybierając od mieszczan gołębie, przywiązując im płonące nici siarczane do skrzydeł i zapalając strzechy i gołębniki, aż cały gród zgorzał; tak samo u Saksona król Hading zdobywa niezdobytą Dunę króla słowiańskiego, łapiąc jej ptaki i podwiązując im hubki zapalone. Jak przy wyborze króla za Lestka miejsce gonitw haczykami żelaznymi osadzają, podobnież broni się „Rus” przeciw Duńczykom, którzy drewniane chodaki wdziewać muszą.

Przenikanie się wzajemne obu żywiołów odnajdujemy na Pomorzu, Rugii, w Meklenburgu. Na Rugii nazwy miejscowe, nawet najpryncypalniejsze, jak owa święta Arkona, Jasmund i inne, duńskimi nam się, nie słowiańskimi, wydają; inne wysepki przy Rugii, choć miały znaczenie dla miejscowego kultu pogańskiego, tylko w duńskiej formie nazywają, na przykład Hildensö. Naciekawszem jednak, bo najmniej spodziewanem odkryciem było dla nas uroczysko, zwane w dokumencie granicznym „wanowe mogiły” — Wanowie bowiem, szereg bóstw, przeciwstawiani Azom, bóstwom niebiańskim od Odyna i Tora, należą do (zagadkowych nieco) postaci olimpu niemieckiego: skąd pamięć o nich na ziemi słowiańskiej? czy przechowana tradycyjnie, jak nazwa niejednej rzeki lub szczeptu niemieckiego (Odery, Sprewy, Hawoli i t. d., Rugów, Ślegów i t. d.)?

„Drang nach Osten” nie zrodził się dopiero w r. 1157, kiedy zaczęły się rozlewać fale przybyszów saskich, flamandzkich, fryzyskich, frankońskich na Starą Marchię za Elbą, dalej na inne Marchie, na Meklenburg i Pomorze, wreszcie na Szląsk i Polskę; ani go zapoczątkowały dopiero walki i wyprawy Henryków i Ottonów i ich marchionów, lub Karola Wielkiego i jego missów: on stanowi treść najdawniejszych dziejów niemieckich.

Z czasów, o których żadne źródła pisane wprost nie świadczą, staraliśmy się uchylić zasłonę: określiliśmy charaktery obu szczeptów i wzajemnych ich starć i stosunków. Przekonaliśmy się, jak zasadnicze były różnice; mimo dzikiej wojowniczości i skrzętnej ruchliwości Słowian: mimo wszelkich zalet duszy i ciała, mimo prze-

ważnej ich liczby, byli oni w walkach o byt wyposażeni gorzej od sąsiadów, celujących energią i organizacją, królami i pułkami, uzbrojeniem i taktyką, odkrywaliśmy ślady dawnych ich przewag. Wielki odtąd minęły, lecz nie zmieniły się typy etniczne: i dziś jeszcze dzielą oba szczepty te same różnice, chociaż w innych objawiają się formach.

A. BRÜCKNER.

---

# Szujski jako poeta.

---

„Halszka z Ostroga“, napisana w roku 1858, drukowana w 1859 grana była naprzód w przekładzie czeskim w Pradze, potem dopiero po polsku w Krakowie (1861). Dramatyczna kollizya jest w niej bardzo wdzięczna. Młode dziewczę, zaledwo dorastające, prawie dziecko, ma nieświadomy pociąg do towarzysza lat dziecinnych, Dymitra, ale ma zarazem instynkt, który ją ostrzega, że ten Dymitr nie jest taki, jakim być powinien. Chciała-by móż go kochać, ale teraz jeszcze nie może: jeżeli się odmieni, to poważne, głębsze serce odda mu się z ufnością i z radością. Halszka tego nie rozumuje, tylko to czuje. Kiedy matka twardo młodego kniazia odprawia, żal jej trochę, ale poddaje się bez oporu i walki. Na to przychodzi napaść i gwałt. Wasyl Ostrogski, stryj i opiekun, który nie chce, żeby bogatą dziedziczkę wziął koroniasz, Górka, znajduje się niespodzianie na zamku, zbrojno, i zapowiada, że natychmiast ma być ślub. Panna słyszy to z oburzeniem i wzgardą, matka z wściekłością. Obronić się nie może, ale przed

---

1) Patrz zeszyt styczniowy.

tym ślubem rozkazuje Halszce przysiędz, że tego narzuconego męża będzie nienawidziła zawsze, że nigdy ani przypuści do serca, ani litości, ani współczucia, choćby nad nim śmierć była...

Halszka przysięgła.

Po ślubie, na zamku Dymitra, dochowuje tej przysięgi. Wziął ją przemocą, i przemocą może z nią zrobić, co zechce: inaczej nie. Rycerski Dymitr poznał, co zrobił, żałuje, cierpi, ale szlachetnie wyrzeka się miłości i szczęścia; Halszka jest w jego domu wolną i panią siebie.

A tymczasem mściwa Beata zaniósła skargę przed króla: odbywa się sąd. Odachowski w obronie Wasyla i Dymitra, Czarnkowski w obronie księżnej, wywodzą sprawę w długich przemowach (z Górnickiego wiernie parafrazowanych). Wyrok zapada: Marcin Zborowski obiecuje go wykonać, jeżeli inaczej wykonanym nie będzie.

W Lubarze tymczasem Dymitr selnie ze zgryzoty i z miłości. Halszka zawsze zimna i dumna, trzyma się swojej przysięgi, ale w duszy przysięgę przeklina, bo go już kocha. Oburzała się na gwałtownika: smutnego, nieszczęśliwego pokochała. Przychodzi wieść o wyroku: trzeba ratować życie, uchodzą oboje do Czech.

W akcie czwartym Dymitr w Naumburgu chory bardzo z tych zgryzot; Halszka kocha go coraz więcej — ale przysięgła! Okazać mu tego nie może. Tylko kiedy śpi, wchodzi do jego pokoju i wpatruje się w ten obraz nieszczęścia. Od służby tylko słyszy Dymitr, że księżna nad nim czuwa, nad nim płacze, że go kocha. Szczęście zdaje się możliwem, kiedy staje w Naumburgu Zborowski. Halszka chce bronić, wstrzymywać, w tej chwili ostatniego niebezpieczeństwa wyznaje Dymitrowi swoją miłość, jemu ze szczęściem przybywa sił do obrony, ale po krótkiej walce pada.

W akcie piątym Halszka jest w Ostrogu, oddana matce, która powtórnie chce ją wydać za Górkę. Ale teraz Halszka ma swoją wolę, silniejszą, niezłomniejszą od matczynej. Nie do ołtarza jej iść, ale za pogrzebem zabitego, do Lubaru. Beata nie ustąpi, weźmie szturmem ten lichy zameczek, który się bronić nie może. Ale gdy się do niego wdzierała, córka w kaplicy wzięła ślub ze starcem, Siemionem Sluckim, i matka już jej nie przymusi. Od przemocy zasłoni ją w potrzebie sam król. Tym sposobem uwolniła się od Górki, została wierną Dymitrowi zmarłemu, któremu za życia szczęścia dać nie mogła, choć go kochała.

Sytuacja tragiczna jest, i sztuka uchodzi zwykle za najbardziej sceniczną ze wszystkich sztuk Szujskiego. Może tak jest: ale obok tego, kto wie, czy nie jest ona z nich i najzimniejszą. Te figury: Halszka w swojej stałości i miłości, Beata w swojej nienawiści i złości, Dy-

mitr w porywczosci, a później w skrusze i smutku, są sztywne, zimne, pomimo całej gwałtowności swoich uczuć (najmniej ze wszystkich Dymitr). Jaki powód? Może ten, że młody autor chciał być bardzo obiektywnym, bardzo spokojnym, swojej osobistości w to dzieło nie kłaść, i ten взгляд krępował go i mroził. Ale sądził-bym raczej, że sprawiła to natura przedmiotu. Kiedy przedmiot nie był bezpośrednio związany z losami Rzeczypospolitej, kiedy nie dawał sposobności i pola do pokazania, co się w niej działo, do szukania „przyczyny kary“ i do wydobywania z dziejów przystosowania, tam dusza Szujskiego nie była w swoim żywiole, a przez to i jego wyobraźnia, choć była czynną, zostawała obojętną. On nie płakał, nie truchlał, nie przeklinał z ludźmi, którzy na własne tylko losy płakali, o własne truchleli, za własne przeklinali. Horacy mądrze powiedział: *si vis me flere*. Szujskiego los Halszki wzruszał mało, dla tego ona nie wzrusza widza, czy słuchacza.

W wykonaniu zaś, w samym układzie dramatu, jest błąd jeden, wskazówka wielu podobnych, i wrodzonej jakiejś Szujskiego skłonności. W sytuacjach dramatycznych lubił on takie chwile naprężenia, w których ta sytuacja ma dochodzić do swego najsilniejszego i najbardziej tragicznego wyrazu. Czasem w nich przesadził, a przez to zepsuł i zniszczył efekt; czasem nie spostrzegł się, że to, co miało być punktem kulminacyjnym i głównym pierwiastkiem przejść dalszych, jest albo nieuzasadnione i z tą sytuacją niezgodne, albo niepotrzebne, i raczej obniżające wrażenie. Taką jest tu ta przysięga, złożona matce przez córkę. Bez niej i sztuka, i postać była-by bardziej zajmującą, tragiczniejszą. Halszka w napaści na zamek, w ślubie przymuszonym, miała dość powodu, by dla Dymitra być surową. w swojej naturze miała dość powodu, żeby się w tej sztywności zaciąć i zawziąć. Gdyby teraz, pod wpływem jego smutku i wdzięku, trwogi o jego życie, ta surowość miękła powoli, topniała, przechodziła w inne uczucie, gdyby to uczucie doszło do wyznania, i gdyby w tej chwili szczęścia przyszła śmierć, czy dramat nie był-by smutniejszy, a postacie piękniejsze, żywiej przemawiające do współczucia? Zamiast tego mamy przysięgę, która tej biednej Halszce zamyka usta, zamyka serce, wiązuje wolę, a która w słuchaczu, lub czytelniku nie wywołuje współczucia dla Halszki, bo ten czytelnik wie, że przysięga, wykonana w uniesieniu, ważną nie jest, że z każdej uwolnić się można, a cóż dopiero, kiedy chodzi o życie człowieka, i że Halszka, gdyby chciała, wyszła-by ze swojej tragicznej sytuacji najłatwiejszym i najprostszym sposobem: prośbą do władzy duchownej, może tylko do własnego spowiednika, o rozwiązanie z przysięgi.



W wielkiej liczbie historycznych dramatów, o których Szujski marzył i myślał, wielkie miejsce zajmował „Jan Kazimierz“. Ten nie wykonał się nigdy jako taki, ale rozbił się na parę mniejszych, wykonanych pomysłów. Z tego źródła wypłynął „Jerzy Lubomirski“, jeden ze słabszych między jego dramatami (przez nadmiar właśnie historycznej dokładności i faktów); z tego „Obrońca Częstochowy“, ładna, w gawędowym, prawie ludowym tonie pisana powieść, której bohaterem jest organista Brzuchański, i jego prawdziwie bohaterskie usługi, oddane obłąkonym, a przez Kordeckiego w „Gigantomachii“ zapisane. Do tego cyklu wreszcie należy „Radziejowski“, fragment nieszczyściem, rzecz nie bez widocznego wpływu Calderona, ale pisana z niepospolitą siłą i popędem, w wielkiem podniesieniu uczucia. Jest tylko akt drugi w obłąkonym Krakowie; trzeci w Częstochowie, którą Radziejowski chce wziąć podstępem, w nocy, ale przez Kordeckiego poznany i zgromiony, cofa się, i zaczyna wchodzić w siebie; czwarty w szedzkich obozach, gdzie Radziejowski zrywa z Karolem Gustawem i chce naprawiać zło, jakie zrobił, i w Tyszowcach.

## II.

Przeszło lat kilka. Pism z tych lat bardzo mało. Wkrótce po ożenieniu — ożenił się Szujski w r. 1861 — powstało kilka wierszy w których złudzenia młodości łączą się, dziwnie, z błyskami roztrąpności, i ze stałym, niezmiennym żądaniem statecznej woli i siły. Jest ciekawa ballada: „Obłąkani“. W Warszawie, u Bonifratrów, siedzi ich trzech. Jeden szlachcic zakuty, który tylko w swoje herby wierzy i w swoją starą karabełę. Drugi tylko w cyfry i rachuby. Trzeci, młody stolarczyk, buduje prom w kształcie krzyża, wiosłowac będą anieli, a ster weźmie Matka Boska w rękę. Kończy się ballada modlitwą: „Panie, chroń od szaleństwa pychy, i od szaleństwa rozumu, i od szaleństwa wiary!“; a jeżeli już jedno koniecznie być musi, to ostatnie najmniej zło, bo najszlachetniejsze.

Później już prawie nic. Jeden bardzo piękny przekład psalmu: „Super flumina“, i drugi z Izajasza.

Zresztą żadnego tworzenia. Historia tylko, dawniej zaczęta, koniecznie potrzebna, pisze się dalej dla tego, że potrzebna, i na nią siła znaleźć się musi. Co nie konieczne, co z wyobraźni, lub z własnego zamiłowania tylko, to leży odlogiem. Aż późno dopiero, bo w roku

1867 wychodzą w osobnym tomiku dramata. Dawniejsze po większej części, tylko teraz razem zebrane; jeden jest między niemi nowy, świeżo już napisany. W przedmowie mówi autor, że forma dramatyczna w poezji odpowiada dojrzałej świadomości siebie, wyrobionej woli, zupełnej męskości społeczeństwa. Tego stopnia i postępu spodziewa się on dla społeczeństwa swojego i nie wątpi, że poezya jego wtedy zdobędzie się na dramat chwalebny i wielki. Swój uważa za próbę tylko, za jeden krok na drodze ku dramatowi przyszlenu. Ale z tej skrótniej przedmowy znać, jak wysoko pojmuje dramat i jego przeznaczenie; jak wiele od tragicznego poety żąda — jak był-by szczęśliwy, gdyby mógł uwierzyć, że jego własny dramat jest tym, którego się pragnie i czeka. To był, głęboko w sercu tajony, szczyt jego marzeń i ambicyi dla siebie, jak uczucie, że do tej wysokości nie doszedł, musiało być — jeszcze głębiej ukrytem — jego bolesnem wyrzeczeniem się i rezygnacją. W ostatnich chwilach życia, kiedy wola nie panowała już nad uczuciem, a umysł tracił świadomość rzeczywistości, odzywało się to marzenie całego życia, to rozmiłowanie w dramacie...

W zbiorze z roku 1867 na pierwszym miejscu stoi „Jadwiga“. Pisana była w roku 1860, i następnie drukowana w lwowskim „Dzienniku literackim“; później znacznie zmieniona i poprawiona. Poprzedza ją długi wiersz, niby prolog, właściwie osobiste autora zwierzenie się z wielkiej jego miłości do tej postaci i do jej historycznej zasługi, świadectwo, że z czcią niemal religijną przybliżał się do tej postaci i ośmielał się ją kreślić. Wiersz piękny; nie przytacza się tu, bo długi, a tak związany, że wyjątków z niego oddzielać i dobywać trudno.

O dramacie samym mówi autor w innej (prozaicznej) przedmowie, że przypomina starą r a c i n o w s k ą formę. To ma znaczyć w jego myśli, że wraca do starego sposobu traktowania przedmiotu, że się nie wzdryga przed obszernem, długiem, dziś nie modnem, wypowiedzeniem uczuć i myśli, że trzyma się zdala od realizmu Szekspira, cóż dopiero od nowoczesnego. Ale, naszym zdaniem, nie u Racine'a i Francuzów, u Niemców raczej trzeba-by szukać podobieństwa, i może (bez wiedzy autora) wpływu. Czysty idealizm Schillera, jego dyalog w długich a uczuciowych przemowach, Ifigenii Göthego wzniosłe zakończenie przez pojednanie i zgodę, obu styl wspaniały i uroczysty w swojej prostocie: oto co raczej przypomina się czytelnikowi „Jadwigi“, jako jej możliwy wzór, choć nie jako jej osiągnięty stopień. Wzór dobrze obrany. Do tej postaci trzeba było idealnych tonów Schillera, do tego rozwiązania trzeba było wspaniałego majestatu Göthego.

Że Szujski ze wszystkich swoich dramatów o ten dbał najwięcej, że ze wszystkich swoich postaci najgoręcej pragnął żeby ta udała się zupełnie dobrze i dorównała temu ideałowi, jaki nosił i widział w swojej wyobraźni, to pewna. Rzecz widoczna — nie dziwna — że Jadwiga jest wielkiem marzeniem, wielką ambycją naszych poetów. Ilu ich już było, którzy zabierali się do dzieła nie bez nadziei, że uda im się stworzyć, wcielić w żywą postać ten ideał! Ale właśnie dlatego, że ona tak wysoka, tak piękna w wyobraźni każdego z nas nie poety, dlatego tak poetom do odtworzenia trudna. Trzeba oddać, przewyższyć to, co tysiące ludzi, setki tysięcy, noszą w sercu i wyobraźni. Trzeba stworzyć postać najbardziej idealną, najwznioślejszą, bo inaczej nikt nie uwierzy, że to Jadwiga, nikt jej za taką nie pozna i nie uzna: trzeba tę młodą dziewczynę postawić w walce z przymusem i gwałtem, a jednak tak zrobić, żeby gwałt i przymus nie był wstrętnym, owszem, żeby był szlachetnym i słusznym; trzeba wreszcie w duszy Jadwigi przeprowadzić i pokazać skalę i całą walkę uczuć, od miłości i nadziei szczęścia, przez rozpacz, przez opór, aż do dobrowolnej, zupełnej, błogiej nawet, zgody na wyrzeczenie się szczęścia. Trudno jest bardzo; i dla tego może, pomimo prób wielu, nie mamy takiej Jadwigi, na którą-byśmy rzekli: oto ta, ta jest taka, jak być powinna. Który z poetów był-by mógł taką stworzyć? Czy Słowacki? po niektórych żalośnych, rzewnych skargach Lilli Wenedy, po cichej a mężnej rezygnacyi, z jaką Wojewowodzina zamyka swoją miłość w swoim sercu, chciało-by się przypuszczać, że Słowackiemu Jadwiga może była-by się udała. Ale nie! Żalność i skarga, i wdzięk biednej Lilli, ma w sobie coś nerwowego, rozkliwionego, romantycznego, chwilami aż manierowanego; w godności i enocie Amelii niema tęgości i siły odporu, to jest w swojej rezygnacyi istota złamana. Jedno jak drugie nie przypada do Jadwigi. Aldona mogła-by jej niektórych swoich uczuć pożyczyć, a ona mogła-by pytać:

„Gdzie ma lecieć, po jakie rozkosze,  
Kto poznał Boga Wielkiego na niebie.“

a przez niego, dla niego, pokochała i spełniła powołanie wielkie na ziemi. Ale i to nie dosyć. Jadwiga musiała-by być smutna i rzeźwna, jak Lilla Weneda, a od niej prostsza; wzniosła jak Aldona, a od niej rzeczywistsza; mogła-by mieć niejaki podobieństwo z najidealniejszymi kreacjami Schillera, z królową z Don Carlosa naprzykład,

a od nich mieć słów mniej, fizyognomię wyraźniejszą... kto stworzy doskonałą Jadwigę, i kiedy?

Jadwiga Szujskiego ma godność, ma królewską powagę, ma siłę w obronie swoich uczuć i swego szczęścia, ma uczucie obowiązku i enotę w ich poświęceniu, ma więc wszystko, co w niej być powinno: tylko smutku, cierpienia, nieszczęścia nie dosyć. Wie się, że ona płacze, ale nad nią chciało-by się płakać więcej. Żądało-by się zwłaszcza, żeby walka, żeby chwila stanowcza jej, i zwycięstwa odbyła się w oczach widza, nie w opowiadaniu. Ta modlitwa przed krzyżem, w której Jadwiga po raz pierwszy zrozumiała, że poświęcić się powinna, i do poświęcenia znalazła odwagę, to najwznioślejsze, to stanowcze, to rozstrzygające, to powinno być w dramacie: a tego niema. Jadwiga, już uspokojona, opowiada Bodzancie, że walkę przeżyła i że się zwyciężyła. Braku tej dramatycznej chwili nie zastąpi, nie nagrodi ani słowny opór, jaki królowa stawia panom, ani jej błaganie i łzy, ani jej tajemnicze wyjście z zamku na ślub, wstrzymane spotkaniem panów, i wiadomą sceną u furty zamkowej, porwaniem i upuszczeniem toporu. Aż dotąd jest to dramat przyzwoity, dobry, któremu słusznie nic ważnego zarzucić nie można, ale zwyczajny. Pięknym, prawdziwie wzniosłym i prawdziwie dramatycznym staje się on dopiero w akcie czwartym, z przybyciem Jagielly.

Jeżeli od Jadwigi, uznając wszystko, co w niej jest, żądało-by się więcej, to ten przeszedł oczekiwanie i odpowiada najśmielszym żądaniom, a nie łatwo drugi jaki poeta stworzy tę postać lepiej, stworzy tak, jak Szujski. Jego charakterystycznym znamieniem, troską jego duszy, jest prosty instynkt sumienia i honoru, który sprawia, że w trudnym, a przedtem nieznanym sobie położeniu, on od razu wybiera i robi to, co najlepsze, najszlachetniejsze. Na tem tle dobroci i rycerskości dopiero rysują się i pogańskie zakorzenione pojęcia, i temperament porywczy, i pewna świadomość siebie jako księżęcia i pana, i nienawiść Krzyżaków, i rzetelne, instynktowe uczucie nowej wiary, i miłość wreszcie, ta miłość pokorna człowieka, który do wzajemności prawa sobie nie przyznaje, a wszystko, nawet siebie, dla ukochanej poświęcić jest zdolna. I ten, taki Jagiello, staje się teraz duszą i sprężyną akcji: nie Jadwiga, nie panowie polscy, ale on. Akcja ta staje się przez niego prawdziwie i wzniosłe dramatyczną.

Staął w Krakowie, nie wiedząc nic o Wilhelmie, o miłości Jadwigi. Ale w pierwszym na nią spojrzeniu poznał, że jest nieszczęśliwa, a tego nie chce, na to nie pozwoli. Bardzo piękne jest to pierwsze ich spotkanie. Jego przyprowadzają panowie jako przyszłego męża i króla; ona wychodzi już gotowa do swojej ofiary:

JAGIEŁŁO, WITOLD, BORYS, SKIRGIEŁŁO, BODZANTA, JAŚKO  
Z MELSZTYNA, DYMITR *i inni panowie polscy.*

JAGIEŁŁO.

Smutno w tych murach będzie Litwinowi,  
Jeżeli królem Lechitów zostanie,  
Wolał-bym Wilno moje na mieszkanie;  
Za dawnym księciem żal będzie królowi!  
Murów miastowych nie lubię. Syn borów,  
Wolę ja słuchać liści rozhovorów,  
Niż w ciszy murów usypiać zgnusniały,  
Jak jaki Krzyżak, albo mnich z za Niemna.  
A gdy na dworze dzień jaśnieje biały,  
Każda komora ciasna mnie i ciemna:  
Toż pozwolicie, że czasy wołumi  
Na łów pojedę do litewskiej ziemi,  
A woni lasów zachwycę potrochu,  
Bym miał czem wyżyć w murowanym lochu.

JAŚKO.

Nie myśl, mój księżę, aby król nasz który,  
Jak mnich klasztorny, nie wyrzał za mury:  
Jest gdzie pohulać w cztery świata strony  
Na karkach wrogów lechickiej korony.  
Będzie gdzie mieczem gospodarzyć, panie,  
Wam i potomkom krwawych wojen stanie,  
Na wieki długie, w królewskim urzędzie  
Grodziskiem obóz, namiot dachem będzie.

*(Wchodzi Jadwiga w gronie p. niem dworskich).*

JAGIEŁŁO.

Toć jest królowa?

## BODZANTA.

Pójdź, przesławny książę,  
 Niech ów wdzięk cudny, który niebo dało,  
 Duszę twą z duszą królowej powiąże

## JAGIELEO.

Na twarz mą dziką oko posmutniało  
 Królowej waszej, postać jej drży cała,  
 Niechętna widać mnie królowa biała...

## BODZANTA.

Królowo polska! oto niebios wola  
 Wiedzie ku tobie małżonka i króla.  
 Szerokiej Litwy władzcę, poganina:  
 Daj Polsce pana, kościołowi syna.

## DYMISTR.

Z piersi tysięcy głos leci błagalny:  
 Daj Polsce, światu dzień ten tryumfalny,  
 Aniołom wielkie daj wesele w niebie,  
 W imię Chrystusa Dymitr prosi ciebie.

## JAGIELEO.

Panowie Lachy! Na Olgierda brodę!  
 O śmierć to dziewczę przyprawicie młodę!  
 Patrzcie, jak chyła się pod waszem słowem,  
 By brzoza wichrem przyparta zimowym,  
 By kwiat wiosenny pod zimowem technieniem  
 Blednie, na sługi słania się ramieniem - -  
 Biedna dziewica...

JAŚKO (*cicho do Jagielly*).

Widać, książę panie,  
 Że nie po myśli wam nasze swatanie,  
 I nie po myśli wam ręka królowej;  
 Wróćcie na Litwę.

## JAGIELLEO.

Lagodnemi słowy  
 Chciał-bym zagadać do Was: łagodnemi,  
 Jakich nie szukać w naszej dzikiej ziemi;  
 Toć jeśli czasem dziko się ozowię,  
 To nie lękajcie się, dziewico miła!  
 Dzikosć nie w sercu mojem, jeno w mowie.  
 Nie myśl mnie własna z Litwy wywabiła,  
 Ni wola własna. a gdybym był wiedział,  
 Ile Wam trwogi twarz moja sprawiła,  
 Tobym był cicho w mojem Wilnie siedział.  
 Jakem Olgierdów syn, co wszęj wart cześci,  
 Nie chce nikomu sprawiać ja boleści!  
 Alem tu przyszedł za Lachów namową,  
 A moich własnych Litwinów poradą,  
 By się połączyć z potężną królową,  
 I krzyżackiego zwierza głowę bladą  
 Ugniść, z walecznym ludem sprzymierzony;  
 Dlatego pragnął chrześcijańskiej żony.  
 Nieświadom Waszej boleści i sromu,  
 Śmiejąc się z Waszej bojaźni i trwogi,  
 Żeście za zwierza leśnego mnie mieli,  
 Jechałem z mego książęcego domu,  
 I opuściłem me litewskie bogi.  
 Lecz teraz, widząc, jakieście zadrżeli  
 Przed mem obliczem dzikiem i straszliwym,  
 Jak biedna łania, co się w krzakach chowa:  
 To ja odejdę, bom w oku trwożliwym  
 Lepiej wyczytał, co mnie zarzućacie,  
 Niż w wszystkich mowach Krywego Krakowa.  
 I mówię szczerze, że Wy słusność macie,  
 Że ja nie dla Was, człek dziki i srogi,

Zbójca Kiejstuta, krwi Teutonów głodny;  
 Bo mąż Wasz musi być człowiek łagodny,  
 Aby Wam przykrej nie napędził trwogi.  
 Więc wróć do dom, do Litwy książącej,  
 Lecz Was już nigdy nie zapomnę więcej.  
 Zamknę się w zamku wileńskiego mury,  
 I będę dumal, jak puszczyk ponury,  
 O Waszej cudnej postaci i twarzy;  
 Lub będę szalał z hufcami bojarzy,  
 I krew pił ciepłą, póki śmierci chwila  
 Mnie nie pogrąży w ciemnościach Pokilla.  
 Bo kto Was ujrzal, a kto nie posiędzie,  
 Temu ponuro musi być na świecie:  
 Więc i Jagielle źle na świecie będzie.

#### JĄSKO.

Oszalał książę litewski jak dziecię.

#### DYMITR.

Czekać nam jeno pańskiego wyroku:  
 Że będzie łaskaw, czytam w kniazia oku.

#### JADWIGA.

Książę litewski! dziękuje Wam szczerze,  
 Za dobre słowo. Kiedy ci rycerze  
 Nie mieli serca dla bólu dziewczęcia,  
 Serce u pogan znalazło się księcia!  
 Zostańcie kniazium! Pan niebios rozstrzyga  
 Losów mych ciężkich kłęb microzwikłany:  
 Szlachetność wasza nie zgoi mej rany,  
 Bo wierna swoim przysięgom Jadwiga  
 Nie może przyjąć litości pogańskiej,  
 Póki po woli nie stanie się Pańskiej.

#### JAGIELLO.

Mówiłaś do mnie. Dźwięczne twoje słowo,  
 Jak twoja postać nadobna, królowo!



Mówiłaś do mnie przyjaźnie, nietrwożnie.  
 Gdy patrzę na cię, zda mi się, że trzeba  
 Klęczeć przed tobą, jak przed świętą nieba,  
 Przed którą klęczą Chrześciance pobożnie...  
 Bo blask tej świętej w waszych ócz błękiecie.

## BODZANTA.

Księżę litewski, milczcie! Wy bluźnicie,  
 To grzeszna, ziemska, cielesna istota!

## JAGIEŁŁO.

Kłamięcie Krywe! Dlaczegoż ta złota  
 Brama niebiosów się przez nią otwiera:  
 W niebo twarz patrzy, gdy na nią spoziera?  
 Ona jak słowo wasze, jeno żywe  
 I zrozumiałe, a wy, wielki Krywe,  
 Tyle mówicie, a ja nie rozumiem.  
 Po niej waszego Boga poznać umiem  
 I waszą cnotę, i wiem, wiem dlaczego  
 Smutno mi wieczór, żem zabił krewnego —  
 I do Witowda nie mam więcej sromu,  
 Alebym w Wilnie gościł go w mym domu,  
 Kochał i miodem mym kowieńskim raczył,  
 Ażby mi ojca srogą śmierć przebaczył.  
 Witowdzie, bracie!

## WITOLD.

Ho! nie powiedziałem,  
 On-to oszalał — nie ja oszalałem;  
 W czarownych ziołach to dziewcze kąpane,  
 W majowej rosie — na młodziku ano...  
 Że serca dzikie jako wosk topnieją,  
 A gniewy moje w duszy łagodnieją!..  
 Trudnoć mi wyrzec przebaczenia słowo,  
 Aleć go daję, wbrew minionym dziejom,  
 Jeno daj Litwie tę piękną królową!

## DYMTR.

Chwała niebiosom! Cóż to! Starca oczy  
 Jakoś nie patrzą dobrze! Iza je mroczy —

## JAGIEŁKO.

Przedziwna pani! słowo twe zdziałało,  
 Czego mnie nigdy w snach się nie zachciało.  
 I widzę teraz, czemu ty mej duszy  
 Taka cudowna i taka nadobna:  
 Tyś do mej matki Julianny podobna.  
 Na prochy matki dziś śnieg biały prószy,  
 Wysokie osny szumią przy jej grobie:  
 Lecz gdym był dzieckiem, to mi u jej łona  
 Tak było dziwnie, jak dzisiaj przy tobie.  
 Bo moja matka była z Chrześcian grona.  
 Codzieln mnie wieczór pacierza uczyła  
 O waszym Bogu i świętych mówiła,  
 Aż sama święta do nieba wzleciała,  
 Jak wy bolesna, jak wy śnieżnobiała.  
 Jam płakał długo i słów jej wspomnienie  
 Długo mi w duszy młodzieńczej zostało,  
 Ażem zapomniał, że miał matkę białą.  
 Hulałem z braćmi przez Litwy przestrzenie,  
 Jak dziki orzeł, jak grom Perkunowy,  
 Na uczty jeździł, na wojny, na łowy,  
 I takim srogim stał się, że was trwożę;  
 Lecz chociaż pogan, widzę znaki Boże  
 Na waszem czole, jak na matki czole,  
 Tę samą smętność i te same bole,  
 I żywo stoi mi matka przed duszą,  
 Na której prochy teraz śniegi proszą...  
 Więc za nic w świecie nie chcę was posmucić...  
 Wrócę na Litwę, gdy każecie wrócić.

A jak w nim na widok Jadwigi mięknie i przemienia się pogańska dusza, tak w niej na te jego słowa budzi się otucha, pociecha, wdzięczność. Już nie jest sama: ma obrońcę, ma takiego, który ją odgadł i żałuje. Ofiara będzie mniej straszną: złagodzi ją zrozumie-

nie się, ufność, przyjaźń. Rozmowę przerywa Wilhelm gotów w ostatniej chwili siłą praw swoich bronić. Jagiełło z nim w sporze okazuje się od niego wyższym, szlachetniejszym, prawdziwszym rycerzem.

Sprawa małżeństwa niepewna jeszcze; w akcie piątym, przed samym swoim chrztem, Jagiełło, wbrew prośbom i groźbom panów, chce mówić z królową. „Przemocy nie chcę, a gwałtem się brzydzę“. On wróci na Litwę, ale pierwej Wilhelma wprowadzi na zamek. A gdy Jadwiga nie chce i tłumaczy względy, którym ulega, on wynajduje nowy sposób. Sam przyjmie chrzest, bo już mu tak sumienie każe, i koronę polską weźmie, gdy potrzeba. Ale ona niech się nie poświęca, niech wraca do swego kraju szczęśliwa, z tym, którego kocha.

Rozstrzyga sprawę Jadwiga. Między przywołanym Wilhelmem, a wracającym od chrztu Jagiełłą, ona nie zmuszona, dobrowolnie wybiera, i jednemu każe zrzec się swojej ręki, drugiemu ją oddaje spokojna, błoga, uszczęśliwiona szczęściem innym, ale prawdziwym. Nawet Wilhelm się poddaje, schyla głowę przed taką powagą i cnotą.

## SCENA 2.

JAGIEŁŁO, JAŚKO Z MELSZTYNA i DYMITER Z GORAJA.

JAGIEŁŁO.

Panowie Lachy twardo królów dzierzą,  
Na Perkunasa! Lecz nic tu nie nada:  
Zanim się chrzestną oblokę odzieżą,  
Z królową waszą mówić mi wypada!

JADWIGA (*n. s.*)

Boże! ty kroki kierujesz pogana.

JAŚKO.

Ale tu rada królowej przydana  
Kieruje wszystkim; z nią mówić co niema,

Zwyczajnie młoda i sarny oczyma  
Na świat spogląda.

JAGIEŁŁO.

Poskąpcie języka.  
Na czysto lubię wszelkie robić sprawy,  
Waszmość posłuchaj, jeżeliś ciekawy.

JĄSKO.

Więc o cóż chodzi? (*n. s.*) On szuka koszyka.

JAGIEŁŁO.

Kiedys się Waszmość żenił z swoją żoną,  
Gadałeś z ojcem, mówiłeś z rodziną,  
Ale i z pannąś musiał mówić pono.  
Więc i ja muszę, muszę na Nijole,  
Tembardziej muszę, że coś niewesołe  
Ma lico, w sercu widno ma frasunek;  
A jeśli Waszmość, co odmawiasz codziennie  
Pacierz na złotych paciorkach koronek,  
Mało uważasz na tej pani duszę,  
To ja, poganin i obcy przychodzień,  
Piękną niewiaścę tę wypytać muszę.

JĄSKO.

Chce, czyli nie chce, niewiele to znaczy...

JAGIEŁŁO.

Na Perkunasa! mów Waszmość inaczej,  
Bo nie uwierzę, że masz duszę człeka...  
Niewiele znaczy? piękna mi opieka!  
To znaczy wszystko... idź Waść...

DYMISTR *(który rozmawiał z Jadwigą)*

Chodźmy, bracie,  
Nie bój się... Smaku mało w gębie macie...

*(Dymitr i Jaśko odchodzą).*

SCENA 3.

JAGIEŁŁO, JADWIGA.

JAGIEŁŁO.

Ona...

JADWIGA.

Słyszalam, dziękuje, i chylę  
Czoło przed wami.

JAGIEŁŁO.

Rzecz prosta, za chwilę  
Chrzta wodą Krywe ma mi oblać głowę,  
I mam rozpocząć życie, życie nowe,  
Życie Chrześcianina, króla...

JADWIGA.

Mego pana.

JAGIEŁŁO.

Waszego pana! Widzi Perkun w niebie,  
Aniołów waszych drużyna świetlana

Widzi, że wszystko: blask berła, korona,  
 Nic mi przy tobie i nic mi bez ciebie...  
 Nie! nie! nie! wy mnie, jak anioł skrzydlaty,  
 Co mnie porywa w jakieś złote światy,  
 I do białego aż zachodzi Chrysta,  
 Wy—matki mojej siostrze przezroczyście!

JADWIGA.

Jam wasza!

JAGIEŁŁO.

Moja!

JADWIGA.

Wasza!

JAGIEŁŁO (*wpatrzynwszy się w oczy Jadwigi*),

Wy nie moja.

JADWIGA.

Oto ma ręka.

JAGIEŁŁO.

Widzę rękę twoją,  
 Białą jak śniegi na Litwie ojczystej,  
 A pod tym śniegiem płyną krwi przezczyste  
 Waszej strumienie, niby purpurowe  
 Chmury, co słońcu kładą się pod głowę.  
 Piękna to ręka, jej każdy paluszek,  
 Jaby ochraniał przed żądkiem muszek,

Przed tchnieniem mrozu kryłbym tu przy łonie;  
 A kiedy słońce w skwar letni rozplonie,  
 Tobym ją słonił, choć liściem paproci,  
 Aby ją schronić przed słońcem, co złości;  
 Ale nie dla mnie... ta rączyna biała...  
 Drżą... drżą... jak listek brzeziny na wietrze,  
 Te białe palce, co od listków letsze,  
 Drżą... bo od serca płyną w nie strumienie..  
 A w sercu waszem jest wielkie cierpienie.  
 Bywajcie zdrowi... nie winien Jagiełło,  
 Że go w ohydne to wplątano dzieło,  
 Że dlań tej rączce białej drzeń kazano...  
 Nie winien... polskie pany winne ano,  
 Ale ich ciężka ma zemsta dosięże...  
 Wbrew woli pani dzikie wołać męże!  
 Ha! gdzie ten Wilhelm, którego kochacie?  
 On z wami siedzie tu na majestacie,  
 Ja go wprowadzę...  
 Drżycie? całą drżycie?  
 Biada! kto zatrął młode wasze życie...

*(Cluce odejść).*

#### JADWIGA.

Książę litewski, stójcie, wy bluźnicie!  
 Czy dla mnie jednej wy tutaj jechali?  
 Ojczystą Litwę srogi Krzyzak pali,  
 Ojczysta Litwa jechać wam kazala,  
 Ojczystej Litwy ręka śnieżnobiała,  
 Wam do Krakowa wyznaczyła drogę,  
 Jak Polska naszym do Litwy wołała...  
 Mnie Polska każe, wzbraniać się nie mogę;  
 Wam każe Litwa, wasza jest ta ręka...

#### JAGIEŁŁO.

Tyś lutnią widać, gdzie gromka piosenka  
 Obok tęskliwej drzemie w strun obszarze.  
 Ale czy obu ciż sami harfciarze

Cię nauczyli? pierwsza z duszy płynie:  
Drugą wraz z sercem wyrwano dziewczynie.

## JADWIGA.

Nie! ona z góry, ona z niebios spływał  
Mnie Bóg mój każe, ten, co się odzywa  
Do ciebie, księżę, abys świętych chrzestem  
Lud twój ochronił od wiecznej zagłady,  
Ten, co na ciebie woła z krzyża błądy:  
Bądź ojcem Polski, jak ja matką jestem.

## JAGIEŁKO.

Wam każe Bóg wasz? Więc to Bóg okrutny,  
Jeśli wam taki los przeznacza smutny,  
Jeśli miłego opuszczać wam każe...  
Stworzył was piękną, że człowiek na twarzę  
Padłby przed wami, i niszczące ramię,  
Wznosi jak wicher, który lilie łamie...  
Więc woli jego wbrew iść się odważę...  
Żegnajcie! Litwa bez chrtu się utrzyma,  
Znam Boga Chrześcian, sojuszu z nim niema  
Poznawszy, w straszne wejść z strasznym boje,  
Z pogańską duszą krzyżowi dostoję:  
Bo bardziej kocham, mocniej nienawidzę,  
Przemocy nie chcę, a gwałtem się brzydę.

## JADWIGA (n. s.)

Boże, ty żądasz... Jadwiga gotowa...  
Księżę, wy gromkie powstrzymajcie słowa,  
Księżę, jam wasza, wasza całą duszą,  
Bóg mnie nie zmusza, ludzie mnie nie zmuszą,  
Wolna, z namysłem rękę wam oddaję.  
Powiem wam wszystko, nie wam nie utaję:  
Kochałam jego i w tej jeszcze chwili  
Miłość ku niemu rzewnie w duszy kwili...



## JAGIEŁŁO.

Ha!

## JADWIGA.

Lecz gdy Pan Bóg do duszy mej puka,  
Kiedy zbawienia Polska u mnie szuka  
Gdy ksiązę Litwy chrzest ma przyjąć święty,  
Kiedy pół świata ujmie krzyż rozpięty:  
Jadwiga grzeszna, po długim wahanu,  
Waszą jest, waszą, bożemu postaniu  
Wierną, powolną Polski swojej sługą,  
I wstyd ją tylko, że drżała tak długo.  
Że Bogu, Polsce, oporem stawała...

## JAGIEŁŁO.

Wstyd Was? i przed czem, moja pani biała,  
Święta! w męczeńskie przyodziana blaski?..  
Ha wiem, co Bóg wasz, co dar jego łaski!  
Wiem, wiem, bluźniłem. Niechaj się nie gniewa...  
On nie gromowy Bóg, on w duszę wpływa,  
Jak deszcz wiosenny w zimne ziemi łono,  
Że wstaje posiew kwietno i zielono...  
Wiem, wiem; chrztu pragnę... chcę być Chrześcianinem,  
Chrystusa sługą—być kościoła synem...  
A Wy, ptaszyno, boleścią zraniona,  
Idźcie odpocząc w Wilhelma ramiona...  
Tak... tak... tak dobrze... Lachów wołać trzeba,  
Panowie! czas nam! Dziękci, wielkie nieba!  
Że jakoś czysto wyjdziemy z tej sprawy...

## JADWIGA.

Ksiązę!

## SCENA 4.

CIZ SAMI, JAŚKO i DYMITR.

JAŚKO.

Bodzanta w świątyni was czeka.

JAGIEŁŁO.

Chodźmy!

*(Do Jadwigi).*

Bóg z tobą! Boska cię opieka  
 Strzeże dziewico! a bądź mi szczęśliwa!

JAŚKO.

Jakiemż to słowem ten wilk się odzywa?..

DYMITR.

Bóg tutaj włada, nam czekać w pokorze.

JAGIEŁŁO.

Chodźmy, Lachowie!

JAŚKO.

Jakoś sobą trwożę,  
 Tu tajemnica jakaś się ukrywa.

JADWIGA.

Witam—niech przyjdzie więzień Dymitrowy.  
Chcę z nim pomówić. Za chwilę królowej  
Stanowcze słowo rozstrzygnie tę sprawę.

JAŚKO.

Lecz wolę Polski wypełni łaskawe  
Słowo królowej?

JADWIGA.

Będzie dopełniona.

JAŚKO.

I Ziemia Piastów z Litwą połączona?

JADWIGA.

Będzie!

JAŚKO.

Więc chodźmy, księżęcy nasz panie!  
Chwała wiecznego połączenia bije.  
Niechaj chrzest święty zleje pogan czoła,  
Byśmy zawołać mogli: król niech żyje!

*(Jagiello i Jaśko odchodzą).*

## SCENA 8.

*Wchodzi* BODZANTA, JAŚKO, *senatorowie prowadząc* JAGIEŁŁO,  
WILHELM, BORYS, SKIRGIEŁŁO.

BODZANTA.

Spełniony obrzęd, królowo!  
Wiara Chrystusa nad pogańską głową,  
Władysław święty imię swoje nadał  
Temu, co sławy będzie berłem wadał.

JAŚKO.

Czas nam o drugim pomyśleć obrzędzie.  
Wiemy, że odtąd Chrześcianinem będzie  
Pogański Litwin, naszym w Bogu bratem.  
Rodziców trzeba wielkiej ludów parze.  
Ojca i matkę prowadzić nam zatem  
Przed wiekopomnej miłości ołtarze.

*(Jagiello i Wilhelm występują z dwóch stron).*

JAGIEŁŁO.

Panowie Lachy!

WILHELM.

Lehiccy panowie!

JADWIGA.

Książęta! pany! mnie pierwszeństwo w mowie.  
Książęta! pany! modłę się w pokorze,

By, co wyrzeknę, słowo było Boże!  
 O słabą dłoń tę, która berło dzierży,  
 Dwóch się starało książąt i rycerzy:  
 Poganin jeden, Chrześciance drugi —  
 I Pan Bóg zdarzył, że w obydwu łonie  
 Miłość ku pani ziemi waszej plonie.

Przed małą chwilą, nim Chrystusa slugi  
 Tę skroń szlachetną w blask chrztu przyodziały,  
 Książę litewski w dłoń tę oddał cały  
 Los mego życia; chciał, bym połączona  
 Z księciem Wilhelmem, z pęt mych uwolniona,  
 Miłości żyła i szczęściu własnemu,  
 Wolna od zgryzot i burzy sumienia:  
 I oto czołu pogana smętnemu  
 Blask świeci wiary jasnego promienia.

#### JAGIEŁŁO.

Chciałem, na Chrysta! chcę! Lechickie pany!  
 Gwałt jeno srogi tej pani zadany...  
 Korzystać z gwałtu nie Jagiełły dzieło.  
 Sam Bóg chciał widać, by w oku dziewicy  
 Poganinowi niebo zabłysnęło,  
 Aby w serdecznej do nieba tęsknicy  
 Płynął mu żywot, a ból serca dziki  
 W śpiew się zamienił, w śpiew, jakim słowiki  
 W przedranu nuca, a niósł go skrzydłami  
 Tam, gdzieś daleko... gdzie między chórami  
 Kiedyś ją jeszcze aniołów zobaczę...

#### JAŚKO.

Placzecie książę?

#### JAGIEŁŁO.

Nie! nie! nie! nie płaczę...  
 Z srebrnego rogu spełnię zdrowie pary.

Ona szczęśliwa, a jam już jej wiary!  
 W niebie chrześcijańskim spotkam ją po zgonie...  
 Bogu naszemu świętemu w koronie  
 Skłonię się moją lechią koroną,  
 Że mi pozwoli patrzeć w ulubioną...  
 Weźcie ją, książę...

#### JADWIGA.

Niech skończy królowa.  
 Książę Wilhelmie! wasza złota głowa  
 W wiary się świętej świetle wychowała,  
 Wyście przed chwilą szlachetne ramiona  
 Otwarli ku mnie, rzekli: Utrudzona  
 Cierpieniem życia, znękana, zboląła,  
 Chodź! dam ci szczęście i spokój, Korona  
 Gnieść ci nie będzie skroni twojej bladej:  
 Czyż mi usłuchać słowa waszej rady?  
 Pan chrześcijański w chrześcijańskim świecie  
 Znajdziecie miłość i żonę znajdziecie,  
 Wy świat z pełnego pijecie kielicha,  
 Tysiące środków ból wasz uspokoi.  
 Jemu przeze mnie się niebo uśmiecha—  
 Wy niebo Chrześcian we krwi nacie swojej!  
 Was na zniesienie utrapienia starczy,  
 Z młodu Bożego nakarmionyś chleba —  
 Jego, gdy sroga tęsknota obarczy,  
 Może się zbłąkać w pielgrzymce do nieba.  
 Świeżemu słudze chrześcijańskiej wiary  
 Trzeba miłości—nas stać na ofiary.

*(Dzwon słyhać).*

Koronacyjny już się dzwon odzywa,  
 Chodź, książę Litwy, w wielką królów drogę...  
 Jam sługa niebios, więc w Bogu szczęśliwa,  
 Że, słaba, dziełu wielkiemu pomogę,  
 Że idę spełniać przeznaczenie Pana...

#### WILHELM.

Gnijcie się w stawach, wy, harde kolana!  
 Dumnym, zem w życiu ukochał anioła...

Panowie Lachy! nienawiść narodów  
Niknie we wielkich tryumfach kościoła,  
Do nienawiści nie brakło powodów.  
Dziś korną modłą zakończyć nam sprawę,  
Bo przyjaźń nieba zbliżyły łaskawe.

## JAGIEŁŁO.

Przyjaźń!? A po cóż na przestworze ziemi  
Ma być nienawiść? Oczyma jasnymi  
Bóg chrześcijański na ziemię spoziera,  
Ojcowskiem sercem obejmuje dzieci,  
I zmartwychwstaje wszystko, co umiera,  
I świeci w niebie, co na ziemi świeci.  
I spomni świat ten, jak ta pani biała  
Mnie, księżciu pogan, rękę swą oddała!

ST. TARNOWSKI.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# Obraz rozwoju przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem.<sup>1)</sup>

Olbryzmie znaczenie statystyki wobec nauk gospodarczo-państwowych, tembardziej zaś wobec praktycznych celów rządu, orientowania się w życiu i potrzebach ekonomicznych kraju, lub państwa, jest

---

1) ŹRÓDŁA: 1) *Feliks Miaskowski*: „Rzut oka na wystawę plodów przemysłu krajowego 1845 roku“ (w „Bibliotece Warszawskiej“ 1845 roku). 2) *Ludwik Wolski*: „Wiadomości statystyczne o Królestwie Polskiem“ w Kalendarzu Obserwatorium Astronomicznego z roku 1857 i 1859. 3) *Bociarski Dominik*: rozprawa o przemyśle fabrycznym Królestwa Polskiego w „Bibliotece Warszawskiej“, kwiecień, 1873 roku. 4) *Załęski Witold*: „Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego“ 1874 r. (?). 5) *Szymon Askenazy*: „Z działalności ministra Lubeckiego“. 6) *Janżull*: „Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem“. 7) *Światłowski*: „Robotnik fabryczny“ (po rosyjsku). 8) *Nikolaj-on*: „Oczerki naszewe poreformiennawo choziajstwa“. 9) *Zakrzewski*



rzeczą uznaną powszechnie, i wszędzie też statystyka jest otaczana najtroskliwszą opieką ze strony społeczeństwa, pragnącego posiadać świadomość swego położenia, rozwoju i potrzeb w powyższych kierunkach. Tymczasem prawie wszyscy ludzie, pracujący u nas na polu statystyki, narzekają na ogromny brak wiarogodnych, lub jakichbądź wogóle, danych statystycznych. W samej rzeczy, statystyka nie tylko przemysłu naszego, lecz zarówno i rolnictwa, handlu, oświaty, zaludnienia i wielu innych stron życia, przedstawia z wielu względów dużo do życzenia. W Cesarstwie wielkie łożą zasługi na tem polu instytucje samorządu „ziemskiego“ i „miejskiego“, skrzętnie gromadzące dane, tyżące się życia ekonomicznego, oświaty, zdrowia publicznego i t. d. U nas, wobec braku tych instytucyi autonomicznych, cała, nader odpowiedzialna, praca nad zbieraniem danych statystycznych, powierzona jest ludziom, wprost zawałonym inną obowiązkową robotą, lub zupełnie ku temu nieodpowiednym. Tak, zbieranie danych statystycznych co do stosunków rolnych spoczywa na głowie pisarza gminnego, a grupowanie ich — na głowie niższych urzędników powiatowych i gubernialnych; w miastach znaczną część statystyki prowa-

*Adam*: „Przemysł włościański“. 10) *J. Stecki*: „Zasady ogólne ekonomii społecznej“. 11) „Siły wytwórcze Rossvi“ (po rosyjsku: „Proizvoditeliynja siły Rossii“), wydane przez Ministerjum Skarbu z powodu wystawy 1896 roku w Niżnim Nowogrodzie. 12) Sprawozdanie z udziału państwa rosyjskiego na wystawie w Chicago, pod redakcją profesora Mendelejewa. 13) „Wsia Rossia“, wydawnictwo handlowe Suworina, 1897 (?). 14) „Złota księga przemysłu fabrycznego, handlu i t. d. w Królestwie Polskiem“, 1898. Artykuły: Cukrownictwo (Rutkowski T.), Rys statystyczno-historeczny fabryk, górnictwa i rolnictwa w Królestwie Polskiem przez Witolda Załęskiego; Przemysł górniczy, tkacki i t. d. 15) *Rosa Luxemburg*: „Die Industrielle Entwicklung Polens“ (1898 r.). 16) *St. A. Kempner*: „Syndykaty przemysłowe“, („Biblioteka Warszawska“, 1898 r., luty, marzec). 17) *Hobson J.*: „Rozwój kapitalizmu współczesnego“. 18) „Wiestnik Finansow“, 1895, 1896 i 1897 rok. 19) Artykuły, rozprawy, korespondencye, kronika ekonomiczna, informacje, streszczenia i t. p. w „Wiestniku Finansow“, „Torg.-Prom. Gaz.“, „Przełgądzie Technicznym“ (zwlaszcza górnictwo i hutnictwo), „Ekonomiście“ (1866 — 1874), „Bibliotece Warszawskiej“, „Prawdzie“, „Głosie“, „Kraju“, „Kuryerze Warszawskim“, „Wieku“, „Słowie“, „Gazecie Handlowej“, „Niwie“ (1878 r.), „Dzienniku Łódzkim“ (1887 r.), „Tygodniku Piotrkowskim“, „Przyrodzie i Przemysle“, „Słowniku Geograficznym“, „Encyklopedyi Handlowej“, „Encyklopedyi Powszechniej“ (L. Wolski), „Encyklopedyi Rolniczo-Przemysłowej“, „Encyklopedyi rolniczej“ i t. p.

dzą biura policyjne, statystyka zaś przemysłu wielkiego, spoczywająca na barkach inspektorów fabrycznych, również, jak to przyznają sami inspektorowie <sup>1)</sup>, jest ogromnie niedostateczną, tem bardziej, iż przy innych obowiązkowych zajęciach, inspektorom brak czasu na bliższe sprawdzanie danych. Nadto, co się tyczy przemysłu wielkiego, statystyka urzędowa w szeregu lat prowadzona była według niejednakowych zasad. Dopiero w roku 1894 zmieniony został system zbierania danych o tyle, iż wszelkie czynności statystyki przemysłowej odebrano policyi i powierzono inspektorom fabrycznym; jednocześnie ustalono zasadę odróżniania większych zakładów przemysłowych od drobnych. Przedtem zasada ta była zupełnie nieokreśloną, a więc dowolną, odtąd zaś za większe zakłady przemysłowe (fabryki) uważane są te, które zatrudniają nie mniej, jak szesnastu robotników, lub używają motoru parowego, elektrycznego, gazowego i t. p. Wobec takiego stanu dotychczasowego statystyki przemysłowej, oraz trudności zbierania danych na własną rękę, prywatnie, drogą ankiet i t. p., nie ma się co dziwić, iż ci nieliczni statystycy, którzy zajmowali się badaniem rozwoju, lub tylko gromadzeniem danych o rozwoju przemysłu u nas, zmuszeni byli nieraz, widząc rażące sprzeczności między życiem, a danymi statystycznymi, dane te odpowiednio modyfikować, dopełniać, lub zmniejszać, co do statystyki przemysłowej wprowadziło sporo pogmatwań, osłabiając zarazem wiarę w prawdziwość cyfr poszczególnych.

Już prof. Załęski, dając w swej „Statystyce porównawczej Królestwa Polskiego“ statystykę przemysłu naszego z lat 1871, 1872 i 1873, wskazał na „zwyczaj przemysłowców we wszystkich krajach ukrywania rzeczywistej wysokości kapitału obrotowego, wysokości produkeyi i ilości pracujących“. W obawie podwyższenia podatków, czy też wprost przez wstręt do zbytnej jawności, przemysłowcy podają cyfry mniejsze od rzeczywistych. Prof. Załęski powoływał się na szereg odpowiednich przykładów; wobec tego rodzaju faktów, widział się on zmuszonym podnieść cyfrę wartości produkeyi i ilości robotników o  $\frac{1}{4}$  we wszystkich gałęziach przemysłu i w ogólnej summie produkeyi, dzięki czemu, dane prof. Załęskiego dla 1873 roku różnią się ogromnie od danych naprzykład Bociarskiego <sup>2)</sup> dla roku 1870, jako „niepodwyższonych“, lecz opartych wprost na źródłach urzędowych.

1) Światłowski: „Fabrycznyj raboczyj“.

2) „Biblioteka Warszawska“, 1873.

Ze czynniki, skłaniające przemysłowców do zmniejszania odpowiednich cyfr, dziś bynajmniej działać nie ustały, mamy na to sporo dowodów. Tak na przykład, korespondencye z Żyrardowa podają ilość robotników na 12,000, zarząd określa ją od lat kilku stałe na 8,500. Korespondencye z Dąbrowy Górniczej i świadectwo osób, znających stosunki miejscowe, cyfrę robotników Huty Bankowej podają na 4,000—4,500, a dane urzędowe określają ją na 2,800. Kto zwiedzał fabryki warszawskie, mógł się naocznie przekonać, do jakiego stopnia różnią się urzędowe dane statystyczne, oparte na informacjach przemysłowców, od rzeczywistych. Te ostatnie wyższe są często o  $\frac{1}{2}$  lub  $\frac{1}{2}$  od pierwszych, a niekiedy przewyższają je w dwójnasób. Stąd też obok danych urzędowych, dotyczących wartości produkcji i ilości robotników, podawać będziemy metodą profesora Załęskiego— dane te powiększone o  $\frac{1}{4}$ , co, zdaniem naszym, będzie malowało obraz, bliższy rzeczywistości.

W materyale też, z którego korzystaliśmy dla zobrazowania rozwoju przemysłu wielkiego u nas, cyfry znajdują się najróżnorodniejsze. Czasami jasnym jest, że niektóre z nich zawierają jakiś błąd rażący, wyobrażają nieprawdopodobne stosunki, zwłaszcza w porównaniu z sąsiednimi latami i pozycjami; wobec jednak braku danych wiarogodnych, każda taka cyfra ma wartość niemal „na wagę złota”. Wiele danych znajduje się może w ukryciu przed okiem ludzkim, dostępu jednak do nich niema; więcej atoli jest stosunków takich, które się nigdy odtworzyć, ani odmalować nie dadzą, gdyż bezpowrotnie należą do mezaregistrowanej przeszłości.

Pomimo to jednak, pomimo rażących błędów w szczegółach i niepełnej nieraz pewności co do ogólnych wyników, jakie malują owe dane, jaskrawo, jak obaczymy niżej, bije w oczy pewien stały kierunek, pewna żywiołowa dążność, wspólny wszystkim tym danym kierunek rozwojowy według praw, rządzących gospodarką kapitalistyczną. Całość, jaką stwarzają te dane, stwierdza, że rozwój przemysłu wielkiego u nas posiada wszystkie te znamiona, jakie cechowały rozwój przemysłu na Zachodzie, w krajach, bardziej posuniętych pod względem przemysłowym. Drobne przedsiębiorstwa, rzemiosła i praca domowa (z wyjątkiem pewnych określonych gałęzi), życie wsi i prowincyi—coraz bardziej stają w zależności od „fabryki”, która, sprowadzając doniosłe zmiany w układzie stosunków wytwórczych i sił społecznych, w stosunkowym podziale i rozkładzie ludności, i wysuwając na widownię czynniki życia społecznego, dotychczas mające znaczenie podrzędne, lub zostające w ukryciu, zaczyna kłaść swe piętno na życiu ekonomicznem, prawnem, politycznem, umysłowem, uczuciach.

Mówiąc o głównych cechach charakterystycznych w rozwoju przemysłu wielkiego u nas, oraz zjawiskach, towarzyszących mu i wywołanych przezeń, mamy na myśli te typowe zjawiska, jakie towarzyszą rozwojowi ekonomicznemu we wszystkich krajach, opanowanych, lub opanowywanych przez kapitalizm. Za takie zjawiska i cechy charakterystyczne uważać należy wzrost wytwórczości przemysłowej kraju i rosnącą jego szybkość, zanikanie drobnych zakładów przemysłowych i rozwój wielkich przedsiębiorstw, rozwój maszyn i udoskonalanie narzędzi pracy, wzrost wydajności pracy, wzrost liczebny i stosunkowy ludności, zatrudnionej w przemyśle, wzrost miast wielkich i zaludnienia okręgów przemysłowych kosztem emigracji ludności z okręgów wiejskich, wzrost płacy robotniczej, objawy centralizacji i zrzeszenia w sferze kapitału i pracy (towarzystwa akcyjne, syndykaty, kartele i t. p.), szukanie i opanowywanie coraz nowych rynków zbytu.

W niniejszym szkicu poprzestaniemy głównie na wnioskach, dotyczących wzrostu wytwórczości przemysłowej kraju, ogólnej i w poszczególnych gałęziach, oraz wzrostu jednostki przemysłowej — poszczególnego przedsiębiorstwa, — malujących pod tym względem tempo i rozmiary centralizacji przemysłowej. Postaramy się też, dla stworzenia obrazu porównawczego, przytaczać w miarę możliwości analogiczne dane dla Cesarstwa i zagranicy.

Klasyfikując przemysł według gałęzi produkcji, będziemy się trzymali podziału, przyjętego przez D. Bociarskiego dla roku 1870 <sup>1)</sup>, Podobnego podziału trzymali się: Wolski dla 1857 i 1859 roku <sup>2)</sup> i Załęski dla 1871, 1872 i 1873 <sup>3)</sup>; według tejże klasyfikacji Bociarskiego przedstawił Korzon stan przemysłu fabrycznego za Stanisława Augusta w „Dziejach wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta“.

Jest to podział następujący:

- I. Przemysł tkacki:
  - a) Bawełniany, b) Wełniany, c) Płócienny, d) Jedwabny.
- II. Przemysł, przerabiający płody roślinne:
  - a) Przemysł cukrowniczy, b) Gorzelnictwo, c) Młyny, d) Przemysł papierowy, e) drzewny i t. d.
- III. Przemysł, przerabiający płody zwierzęce:
 

(Garbarnie, białoskórnie, fabryki świec, kleju i t. d.).
- IV. Przemysł chemiczny.

<sup>1)</sup> „Biblioteka Warszawska“, kwiecień, 1873.

<sup>2)</sup> Ludwik Wolski: „Wiadomości statystyczne o Królestwie Polskiem“, w Kalendarzu Obserwatorium Astronomicznego z roku 1857 i 1859.

<sup>3)</sup> W. Załęski: „Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego“.

## V. Przemysł, przerabiający płody kruszcowe i ziemne:

- a) Górnictwo i hutnictwo, b) Przemysł metalowy, oparty na górnictwie i hutnictwie, c) Wapniarnie i cegielnie, d) fabryki szkła, fajansu i t. d.

\*

\*

\*

Najbardziej typowym przedstawicielem przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem jest tkactwo, obok przemysłu górniczego (żelaznego i węglowego), i opartego na nim metalowego przetwórczego, które zresztą co do swych rozmiarów znacznie ulegają przemysłowi tkackiemu. Rozwinęły się u nas głównie trzy gałęzie przemysłu tkackiego: przemysł bawełniany, wełniany i płócienny; jedwabny stanowi nieznaczną gałąź produkcji. Rozpatrzmy je po kolei, zaczynając od przemysłu bawełnianego.

## I.

## T k a c t w o.

## a) Przemysł bawełniany.

Pierwsze miejsce wśród gałęzi przemysłu tkackiego pod względem wartości produkcji i ilości zatrudnionych robotników zajmował do ostatnich niemal czasów przemysł bawełniany, wyprzedzony w ostatnich latach przez przemysł wełniany. Jakkolwiek pierwiej zwrócono uwagę na zaszczerpienie przemysłu wełnianego, niż bawełnianego, i ten jednak już bardzo wcześnie zaczyna grać najwydatniejszą niemal rolę w usiłowaniach nad zaszczerpieniem życia przemysłowego i wkrótce zajmuje miejsce najwyższe co do wartości swej produkcji.

Czas powstania u nas przemysłu bawełnianego przypada na lata 1820—1830. W 1822 roku istniał w Królestwie Polskiem tylko jeden zakład do robót bawełnianych w Marymoncie pod Warszawą; liczył 40 warsztatów ręcznych z 68 robotnikami. Następnie wraz z napływem cudzoziemskich fabrykantów zakłady bawełniane szybko się rozwijały, chociaż nie było większych machin przędzalnianych. W 1829 roku czynnie zajęto się zaprowadzeniem przędzalni na wielką skalę i mechanicznych warsztatów tkackich, i zamiary te częściowo doprowadzono do skutku. Wypadki w 1831 roku wstrząsnęły temi owocami usiłowań rządu kongresowego i osób prywatnych. Drobniejsze fabryki poupadały, znaczniejsze ograniczyły produkcję. Znaczna liczba ludności fabrycznej, złożonej po większej części z cudzoziemców, przeniosła się, wobec zaostrzonych stosunków z Cesarstwem, do gubernii północno-zachodnich, i tam zakładała nowe fabryki (Białystok i inne). Jednak przemysł wełniany więcej ucierpiał na zaostrzonych warunkach rynkowych, gdy bawełniany zyskał wkrótce nowy bodziec rozwoju, wielu bowiem fabrykantów sukna, nie znajdując odbytu na swe wyroby, przeistoczyło swe zakłady na bawełniane. W roku 1840 wartość produkcji bawełnianej wynosi przeszło 2 i pół miliona rubli, w 1850 roku — 2.7 miliona rubli, poczem, po zniesieniu granicy celnej z Cesarstwem, w 1850 roku, przemysł ten szybko się rozwija, wykazując w 1855 roku 3.35 miliona rubli wartości, a w 1860 — 8.1 miliona rubli. Wypadki w 1863 roku wpływają znów na znaczne obniżenie produkcji: wartość jej w 1864 roku wynosi 4.2 miliona rubli; później podnosi się stale (w 1866 roku 6,1 miliona, w 1870 — 10.2 milionów rubli).

Właściwie jednak rozwój przemysłu bawełnianego na wielką skalę datuje się od 1870 r. pod wpływem przeprowadzania sieci kolei żelaznych w Królestwie i Cesarstwie, i podwyższenia ceł wwozowych od wyrobów bawełnianych zagranicznych w 1877 roku. W 1873 roku wartość produkcji bawełnianej wynosi (według Załęskiego) 15.1 miliona rubli, w 1880 roku 30.9 miliona rubli, w 1884 roku 41 milionów rubli, w 1891 — 47.6 miliona rubli, wreszcie w 1895 roku, według danych urzędowych, 59 i pół milion rubli, — stosując metodę prof. Załęskiego, podwyższania o  $\frac{1}{4}$  — 74 miliony rubli. Summa ta prawie w całości przypada na gubernię Piotrkowską, gdyż produkcya bawełniana gubernii Warszawskiej i Kaliskiej jest bardzo nieznaczna (115 tysięcy rubli i 480 tysięcy rubli). Za centrum tej gałęzi przemysłu uważać należy Łódź, na którą już w 1873 roku z ogólnej wartości produkcji 12.2 miliona rubli przypadało 10.7 miliona rubli, a w 1885 roku z 38 milionów rubli — 26 milionów rubli. Dziś wytwórczość bawełniana Łodzi wynosi 50 — 60 milionów rubli. Prócz Łodzi,

fabryki bawełniane w znacznej ilości koncentrują się w powiecie Łódzkim, Zgierzu, Pabianicach, dalej w Sosnowicach, Ozorkowie, Częstochowie, Zawierciu i t. d.

Blżej uwydatni nam rozwój przemysłu bawełnianego następująca tablica (I), grupująca dane o wartości produkcji w szeregu lat, ilości robotników, stosunku ilości fabryk i robotników do wartości produkcji (to jest, ile rubli wartości produkcji przypada na jedną fabrykę i na jednego robotnika), oraz stosunku pomiędzy ilością robotników i ilością fabryk i zakładów przemysłowych (ilu robotników na jedną fabrykę?).

T a b l i c a I.

Rok	Wartość produkt. w tysią- cach rb	Ilość za- kładów	Ilość ro- botni- ków	Ile rubli na jedną fabrykę	Ile rubli na jed- nego ro- botnika	Ilu ro- botników na jedną fabrykę
1840	2,532	—	—	—	—	—
1845	2,065	—	—	—	—	—
1857	4,682	157 <sup>1)</sup>	14,387 <sup>2)</sup>	1,801	325	5.5 <sup>2)</sup>
1860	8,091	208 <sup>1)</sup>	17,044 <sup>2)</sup>	1,990	474	4.2 <sup>2)</sup>
1864	4,183	125 <sup>1)</sup>	11,867 <sup>2)</sup>	1,992	351	5.6 <sup>2)</sup>
1866	6,099	—	—	—	400	—
1870	10,223	393	13,605	26,012	751	34
1873	12,215	—	18,574	—	—	—
„+ <sup>1</sup> / <sub>4</sub> ”	15,268	—	23,218	—	—	—
1880	30,856	—	19,576	—	—	—
1884	41,075 <sup>3)</sup>	240	22,858 <sup>3)</sup>	171,146	1,797	95
1891	47,600	163	26,307	292,024	1,810	161
1895	59,426	75	34,223	792,347	1,737	456
„+ <sup>1</sup> / <sub>4</sub> ”	74,283	„	42,779	990,433	„	570

<sup>1)</sup> Nie licząc zakładów pomniejszych i warsztatów; według Wolskiego.

<sup>2)</sup> Wraz z robotnikami zakładów pomniejszych i „tkaczami pojedynczymi“; według L. Wolskiego.

<sup>3)</sup> „Dziennik Łódzki“ podawał wartość produkcji bawełnianej dla gubernii Piotrkowskiej w roku 1883, 1884 i 1885 na 39, 41 i 38 milionów rubli, a ilość robotników na 31 tysięcy, 31 tysięcy i 35 tysięcy. Podane w tablicy ilości dla 1884 i 1891 roku trzymają się danych urzędowych „niepodwyższonych“.

Jak widzimy z powyższej tablicy, przemysł bawełniany rozwinął się na wielką skalę dopiero po 1870 roku. Gdy przedtem wartość produkcji wahała się pomiędzy 1840 — 1857 r. od 2 — 4 mil. rubli rocznie, a później między 4, 6 i 8 mil. rubli, od r. 1870 zaczyna niezmiernie szybko się podnosić, w ciągu lat siedmiu (1873 — 1880) wzrastając przeszło w dwójnasób, a między 1873—1895 rokiem pięciokrotnie (z 15 do 74 milionów rubli). Ogółem zaś w ciągu lat pięćdziesięciu (1845 — 1895 r.) powiększyła się 36 razy.

Znacznie również, zwłaszcza w ostatniem dwudziestopięcioleciu, wzrosła ilość robotników. Gdy przed 1870 rokiem wahała się, wliczając robotników w zakładach pomniejszych i pojedynczych tkaczy, pomiędzy 11 — 14 tysiącami osób, w roku 1873 przeniosła 20 tysięcy. Odtąd wzrastała stale, wynosząc — już bez „tkaczy pomniejszych“ — w roku 1884 — 23 tysiące, w 1891 roku — 26 tysięcy (podwyższając o  $\frac{1}{4}$  — 32.5 tysiąca), w 1895 roku — 43 tysiące, czyli pomiędzy 1873 a 1895 rokiem prawie się podwoiła.

W danych z lat ostatnich mamy do czynienia z cyfrą właściwych robotników fabrycznych, pierwiej bowiem dodawano wszędzie tkaczy „pojedynczych“ i „pomniejszych“. I dziś jednak istnieją oni w dal-szym ciągu, stanowiąc ilościowo trudno dający się obliczyć zastęp (w każdym razie dochodzący, lub może nawet przynoszący 10 tysięcy osób), i będąc przedstawicielami tak zwanego przemysłu domowego. Przemysł ten, utrzymujący się jeszcze w okolicach Łodzi, Pabianic, Zgierza, Ozorkowa, Zduńskiej Woli, pozostaje w zależności od fabryk, będąc raczej domową formą produkcji kapitalistycznej. Drobnny tkacz tego rodzaju, tak zwany lonweber, pracujący na domowym ręcznym warsztacie, nie pracuje dla siebie, lecz na rzecz fabryki, czyniącej zamówienia w czasie zwiększonego popytu, na rzecz wreszcie pośredników, odgrywających tu przeważną rolę (fabrykanci bez fabryk). Przemysł ten, jakkolwiek ciężką toczy walkę z fabrycznym, utrzymuje się, dzięki pewnym pobocznym okolicznościom, które w Anglii naprzykład długo pozwalały bez przeszkody utrzymywać się tak zwanemu *sweating system*owi (system wyciskania soków) w drobnych pracowniach rzemieślniczych (krawieckich, gotowych ubrań, szewskich i t. p.). Otóż przemysł ten z każdej poszczególnej rodziny „pojedynczego“ tkacza tworzy jak gdyby naturalny kontyngens robotników dla zakładu, zatrudniając, wedle możliwości, wszystkich członków rodziny, gdyż nawet drobne dzieci. Poza członkami rodziny często dobierani są jeszcze obcy robotnicy po dwu, lub kilku. Nie dociera tu inspekcya fabryczna, a więc praca ciągnie się wedle potrzeby po kilkanaście, 16, 18 i więcej godzin na dobę; niema



ograniczeń co do pracy dziennej i nocnej, pracy dzieci i kobiet, warunków higienicznych i t. d. Warsztaty takie, pozostając najzupełniej na łasce pośredników, którzy robią zamówienia i następnie zbywają wyroby hurtownikom i fabrykom, korzystają również z kredytu, niekiedy nawet dającego możność nabycia warsztatu, a okupionego lichwiarskim zyskiem pośrednika. Dzięki tym właśnie okolicznościom, ta forma przemysłu utrzymuje się jeszcze dotychczas, zwłaszcza w powiatach Łódzkim i Łaskim. Należy od niej odróżniać przemysł domowy włociański, istniejący w nieznacznych względnie rozmiarach w różnych punktach kraju.

Wracając do powyższej tablicy, ilustrującej rozwój przemysłu bawełnianego, zwrócić należy uwagę na znaczne zmniejszanie się, zwłaszcza w ostatnich dwudziestu pięciu latach, ilości zakładów przemysłowych. Gdy w 1870 roku wynosiła ona 393 zakłady, w 1884 roku—240, w 1891—163, a w 1895 roku—75. Świadczy to o szybko dokonywającym się, wraz z rozwojem przemysłu wielkiego, procesie „wchłaniania“ drobnych i średnich przedsiębiorstw przez wielkie.

Na rozmiary koncentracji wielko-przemysłowej wskazują jeszcze dane, dotyczące stosunku wartości produkcji do ilości fabryk, i stosunku ilości robotników do ilości fabryk.

Tak więc, gdy w 1857 roku jedna „fabryka“ wytwarzała za 1801 rubli, w 1870 roku średnia roczna produkcja fabryki, jako jednostki przemysłowej, wykazuje 26 tysięcy rubli, w 1884 roku już 171 tysięcy rubli, w 1891 roku—292 tysiące rubli, a w 1895 roku—990 tysięcy rubli! Przeciętnie więc na jedną fabrykę bawełnianą wypada jeden milion rubli rocznej produkcji <sup>1)</sup>.

Co do ilości robotników, przypadającej na jeden zakład fabryczny, wzrastała ona, jak następuje: w 1857—1864 roku na jedną fabrykę wypadało 5.5 robotników, w 1870 roku—34, w 1884 roku—95, w 1891 roku—161, w 1895 roku—570.

Z danych, wykazujących, jaka wartość produkcji przypadła na jednego robotnika, możemy pośrednią drogą, i to do pewnego stopnia, zmierzyć wzrost przeciętnej wydajności pracy pojedynczego robotnika. Mierząc tą drogą wydajność robotnika, popełniamy kilka błędów, nie bierzemy bowiem pod uwagę wahań się cen w różnych czasach, które mogło być bardzo znaczne, zmian w registracyi i t. d. Jeden robotnik w 1857 roku wytwarzał przeciętnie za 325 rubli, w 1860 roku za 474 ruble, w 1870 roku za 751 rubli, w 1884 roku 1,797 rubli,

<sup>1)</sup> Dziś, w roku 1899, prawdopodobnie już znacznie więcej.

w 1891 roku — za 1810 rubli, a w 1895 roku — za 1,737 rubli. W ten sposób wydajność pracy robotnika wzrosła w ciągu lat dwudziestu pięciu (1870 — 1895), blisko dwa i pół raza, a pomiędzy 1866 — 1895 rokiem — prawie cztery i pół raza.

Dla wykazania wzrostu płacy roboczej w przemyśle bawełnianym posiadamy dane bardzo nieliczne i niepewne. Tak w roku 1867/8 płaca ta wynosić mogła 110 — 120 rubli rocznie, w 1888 roku zaś <sup>1)</sup> przeciętna płaca (biorąc pod uwagę robotników mężczyzn i kobiety) wynosiła 175 rubli, czyli podniosła się w ciągu lat dwudziestu półtora raza. W tymże czasie (1866 — 1888) wydajność pracy podniosła się cztery i pół raza; stosunek zaś płacy zarobnej robotnika do jego przeciętnej wytwórczości dał się obliczyć w 1867/8, jak 1 : 6, a w roku 1887/8 już jak 1 : 11.

Zobaczmy, jakie miejsce zajmuje przemysł bawełniany Królestwa Polskiego w stosunku do przemysłu bawełnianego Cesarstwa i innych krajów. W 1870 roku wartość produkcji bawełnianej Królestwa stanowiła  $\frac{1}{14}$  produkcji Cesarstwa, a ilość robotników  $\frac{1}{11}$  <sup>2)</sup> (dane niebardzo pewne). W 1884 roku widzimy ogromną różnicę. Wartość produkcji bawełnianej w Cesarstwie wynosi 168 milionów rubli przy 197 tysiącach robotników, produkcya więc Królestwa Polskiego stanowi blisko czwartą część produkcji Cesarstwa, a ilość robotników  $\frac{1}{9}$ . Według katalogu wystawy w Niżnim Nowogrodzie z roku 1896 wartość produkcji bawełnianej w całym państwie wynosiła 302 miliony rubli, a więc produkcya Królestwa Polskiego (74 miliony) stanowiłaby nieco mniej, niż czwartą część produkcji całego państwa, a mniej, niż trzecią część — Cesarstwa. Zdaje się to wskazywać na fakt (o ile prawdziwe są wszystkie dane), że w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu przemysł w Królestwie rozwijał się prędzej, niż w Cesarstwie.

O stanowisku produkcji bawełnianej Królestwa Polskiego wobec krajów Zachodu możemy wnioskować z dyagramy Hobsona <sup>3)</sup>, przedstawiającej rozwój przemysłu bawełnianego w 1888 roku w głównych krajach przemysłowych według spotrzebowania bawełny surowej.

<sup>1)</sup> Według Światłowskiego.

<sup>2)</sup> Wartość produkcji bawełnianej w Cesarstwie wynosiła według Niebolsina 142 miliony rubli, przy 144 tysiącach robotników.

<sup>3)</sup> Hobson: „Rozwój kapitalizmu współczesnego“.

Odpowiedne dane przedstawiają się, jak następuje :

Anglia . . . . .	1,530	milionów	funtów
Stany Zjednoczone . .	1,015	"	"
Francya . . . . .	410	"	"
Niemcy . . . . .	378	"	"
Rossya . . . . .	369	"	"
Indye . . . . .	283	"	"
Austria . . . . .	235	"	"
Włochy . . . . .	152	"	"
Hiszpania . . . . .	105	"	"
Szwajcarya . . . . .	52	"	"
Belgia . . . . .	52	"	"
Szwecya . . . . .	28	"	"
Hollandya . . . . .	24	"	"

Ilość spotrzebowanej w tym czasie bawełny w Królestwie Polskiem da się obliczyć na 90—100 milionów funtów. W ten sposób wytwórczość bawełniana Królestwa Polskiego stanowiła-by  $\frac{1}{16}$  wytwórczości Anglii,  $\frac{1}{11}$  Stanów Zjednoczonych,  $\frac{1}{4}$  Francyi lub Niemiec,  $\frac{1}{3}$  gubernii Cesarstwa i t. d. Stosunek ten po 1888 roku, zdaje się, nietylko nie pogorszył się, lecz prawdopodobnie podniósł się wobec znacznego u nas ożywienia przemysłu tkackiego w latach ostatnich.

### b) Przemysł wełniany.

Co do czasu swego powstania, przemysł wełniany wczesniejszym był w Królestwie od bawełnianego, pierwsze bowiem usiłowania nad obudzeniem przemysłu zwrócone były ku zaszczerpieniu i rozwojowi sukiennictwa, jako znajdującego produkt surowy w kraju, i związa-

nego pośrednio z rolnictwem. Duże zasługi położył na tem polu ks. Lubecki. Podczas gdy w roku 1812 wyrobem sukien zajmowało się nie więcej nad 100 warsztatów tkackich, w 1829 roku, dzięki działalności Lubeckiego, istniało 6 tysięcy warsztatów, wyrabiających 7 milionów łokci sukna, wartości 42 milionów złp. (około 6 milionów rubli). Sukno znajdowało łatwy zbył w Cesarstwie, a nawet szło do Azji. Wypadki w 1831/32 roku i zaostrenie granicy celnej z Cesarstwem wpłynęły na przemysł sukienniczy rujnująco. Wiele fabryk, zwłaszcza drobnych, zwinęto, większe, przy pomocy Banku Polskiego, zdołały przetrwać kryzys, spora zaś część fabrykantów przerobiła swe warsztaty i zastosowała je do wyrobów bawełnianych. Wartość produkcji, wynosząca w 1823 roku 3 i pół miliona rubli, a w 1829 roku blisko 6 milionów rubli, spada w 1832 roku do 1,917,000 rubli, poczem aż do 1873 roku nie może się podźwignąć, wahając się wciąż pomiędzy 2, 3 a 4 milionami rubli i zatrudniając kilka tysięcy robotników.

Nader szybki, daleko nawet szybszy od bawełnianego, rozrost przemysłu wełnianego rozpoczyna się po 1873 roku, kiedy wykazywał on 6 milionów rubli wartości produkcji i 5,605 robotników. W 1880 roku wartość produkcji wynosi 23 miliony rubli, w 1884 roku 29 milionów rubli, a w 1885 roku, wskutek ówczesnego krachu, spada do 18 i pół miliona rubli. W 1887 roku przenosi już 29 milionów rubli (przy 16 tysiącach robotników), w roku zaś 1895 wykazuje 83 miliony rubli przy 45 tysiącach robotników, zajmując w ten sposób pierwsze miejsce wśród innych gałęzi przemysłu Królestwa.

Według gubernii, wytwórczość wełniana rozkłada się jak następuje: gubernia Piotrkowska (75 milionów wartości produkcji, 40 tysięcy robotników, 246 zakładów fabrycznych); Warszawska (4.3 miliona rubli, 3 tysiące robotników, 7 zakładów); Kaliska (3.6 miliona rubli, 2,250 robotników, 26 fabryk), dalej idą gubernie: Łomżyńska, Suwalska, Lubelska i Radomska.

Za centrum przemysłu wełnianego uważać należy Łódź, gdzie jednak góruje produkcya bawełniana (wartość produkcji wełnianej w Łodzi wynosiła w 1895 roku 30 milionów rubli, fabryk było 118), oraz Tomaszów. Prócz tego główne punkty, gdzie skupia się przemysł wełniany, są to: Zgierz, Łęczycza, Ozorków i inne.

Bliżej uwydatni rozwój przemysłu wełnianego następująca tablica (II).

T a b l i c a 11.

Rok	Wartość produkt. w tysią- cach rubl.	Ilość za- kładów	Ilość ro- botników	Ile rubli na jedną fabrykę	Ile rubli na jedne- go robot- nika	Ilość ro- botników na jedną fa- brykę
1840	2,632	—	—	—	—	—
1857	2,977	119 <sup>1)</sup>	8,257	—	361	—
1860	4,354	—	—	—	—	—
1864	5,490	64 <sup>1)</sup>	8,274	—	663	—
1870	3,935	100	4,152	—	947	—
1873	5,967	267	5,605	22,346	1,073	21
1880	23,286	506	13,033	45,031	1,791	26
1884	29,356	362	15,965	81,544	1,835	44
1887	29,400	425	15,978	69,153	1,837	38
1890	35,500(?)	—	—	—	—	—
1895	66,500	309	36,000	215,210	1,847	116
+ 1/4	83,000	"	45,000	269,012	"	145

Tak więc, gdy do 1873 roku wytwórczość wełniana nie przekraczała kilku milionów rubli, od tego czasu zaczyna szybko wzrastać, wykazując w ciągu lat 14 (1873—1887) zwiększenie wartości produkcji pięć razy (z 6 milionów rubli na 29 i pół miliona rubli), a w ciągu następnych lat 8 (1887—1895) znów zwiększenie trzykrotne; ogółem zaś, w ciągu lat dwudziestu kilku, wartość produkcji wzrosła czternaście razy. Liczba robotników w tym czasie wzrosła z 5,605 (1873 roku) do 45,000 (1895 roku) czyli osiem razy.

Ilość zakładów fabrycznych zmniejszała się daleko wolniej, niż w przemyśle bawełnianym (z 506 w roku 1880 do 309 w 1895 roku). O wolniejszych postępach koncentracji, niż w przemyśle bawełnianym, świadczą również dane o produktywności pojedynczej fabryki i o ilości stosunkowej robotników. Tak w 1873 roku jedna fabryka wytwarzała za 22 tysiące rubli przy 21 robotnikach, w 1880 roku za 45 tysięcy rubli przy 26 robotnikach, a w 1895 roku—269 tysięcy rubli przy 145 robotnikach. W przemyśle bawełnianym wypada 1 milion rubli i 570 robotników.

Wydatność pracy pojedynczego robotnika wzrosła z 361 rubli w 1857 roku, 663 rubli w 1864 roku, 947 rubli w 1870 roku, 1,073 ru-

<sup>1)</sup> Prócz tego pomniejsze rękodzielnie i pojedynczy tkacze.

bli w 1873 roku do 1835 rubli w roku 1887 i 1,847 rubli w 1895 roku, czyli w ciągu dwudziestu pięciu lat (1870 — 1895) prawie się podwoiła.

Przeciętna płaca zarobna w latach 1867/68 wynosiła 116 rubli (maximum 134 ruble, minimum 26 rubli 66 kopiejek (?)); w 1888 roku od 145 $\frac{1}{2}$  rubli (w przedzalniach wełny) do 206 rubli (w tkalniach wełny). W tym więc czasie wzrosła 1.3 do 1.8 raza, gdy wydajność pracy pomiędzy 1864 a 1887 rokiem — 2.8 raza. Stosunek płacy zarobnej do wytwórczości pojedynczego robotnika dał się około 1867 roku określić, jak 1 : 5.7, w 1887/8 roku jak 1 : 13 (max.), lub 1 : 9 (min.).

W stosunku do Cesarstwa, wytwórczość wełniana Królestwa Polskiego stanowiła w 1870 roku  $\frac{1}{10}$  (6 i pół miliona rubli wobec 66 i pół miliona rubli), a liczba robotników  $\frac{1}{27}$  (4 tysiące wobec 110 tysięcy robotników); w 1880 roku wartość produkcji  $\frac{1}{4}$  (23 miliony rubli wobec 85 milionów rubli), liczba robotników około  $\frac{1}{7}$  (13 tysięcy wobec 97 tysięcy). W 1884 roku wartość produkcji więcej, niż  $\frac{1}{3}$  (29 milionów rubli wobec 76 milionów rubli), ilość robotników około  $\frac{1}{5}$  (16 tysięcy wobec 78 tysięcy). Dziś przemysł wełniany Królestwa Polskiego wynosi prawdopodobnie  $\frac{1}{3}$  —  $\frac{1}{2}$  wytwórczości wełnianej Cesarstwa, a  $\frac{1}{4}$  —  $\frac{1}{3}$  produkcji całego państwa. Dane te wskazują na fakt, że zarówno przemysł wełniany, jak i bawełniany Królestwa Polskiego, wzrastały w ostatnich dwudziestu kilku latach szybciej od odpowiednich gałęzi w Cesarstwie.

W braku dokładnych danych, trudno bliżej określić stosunek produkcji wełnianej Królestwa Polskiego do krajów Zachodu. Wiemy tylko, że spożycie wełny surowej do celów przemysłowych we Francji wynosi dziś 250 tysięcy tonn, w Anglii 210 tysięcy tonn, w Niemczech 182 tysiące tonn, w Stanach zjednoczonych 170 tysięcy tonn, w Rosyji 80 tysięcy tonn. Obliczając według powyższego stosunku do Cesarstwa, na Królestwo Polskie wypadnie 30 tysięcy tonn spożywanej wełny.

### c) Przemysł płócienny.

Przemysł płócienny u nas kwitł już oddawna na stopie produkcji rękodzielniczej, uprawiany przed kilkudziesięciu laty przez kilka do kilkunastu tysięcy drobnych „fabryk” i „pojedynczych” płócienników, oraz sto kilkadziesiąt tysięcy krosien włościańskich. Było to w szerokich rozmiarach prowadzone płóciennictwo drobne, domowe,

obliczone na bezpośrednie spożycie. Dopiero od powstania zakładu żyrardowskiego stanął odrazu na stopie większej, a wraz z rozwojem fabryki żyrardowskiej poczęło się i masowe przez nią „wchłanianie“ owych drobnych fabryk i zakładów, i ruina „pojedynczych“ płócienników.

W chwili, gdy się najgorliwiej krzątano nad obudzeniem przemysłu, sprowadził się do Polski wynalazca mechanicznego przedzenia lnu, Filip de Girard, i wszedłszy w umowę z rządem, założył pierwszą przędzalnię mechaniczną, w Marymoncie pod Warszawą. Zakład ten w 1833 r. został przeniesiony do nowej osady w pow. Łowickim, nazwanej Żyrardowem, Girard jednak, wobec niepowodzeń, przelał wszystkie swe prawa i zobowiązania względem rządu na spółkę: Karol Scholtz i Sp. W tymże roku (1833), powstała przy zakładzie tkalnia z blichem i z wszelkimi pomocniczymi urządzeniami. W 1845 roku posiadał on jedną maszynę parową o sile 48 koni, dając około 120 tysięcy sztuk przędzy, wartości 60 tysięcy rubli (przy 300 robotnikach). Wsparty w samym zawiązku pomocą rządu w maszynach, materiałach i pieniądzech, i zasilany ciągle pożyczkami z Banku Polskiego (do 1830 roku 450 tysięcy rubli), zakład żyrardowski zaczął się jednak chwiać. Ratując go od upadku, Bank Polski nabył w roku 1847 całą fabrykę i prowadził ją przez lat dziewięć—do roku 1856, w którym sprzedał ją dzisiejszym jej właścicielom (Hiele i Dietrich), ułatwiając im kupno i udzielając pożyczki. Od tej chwili dopiero zaczęła się epoka szybkiego rozwoju produkcji płóciennej. W 1865 roku Żyrardów miał już 950 robotników i dał 390 tysięcy wartości produkcji. Prócz Żyrardowa było w tym roku jeszcze sześć znacznie mniejszych zakładów i 2,225 pomniejszych rękodzielni i pojedynczych rzemieślników. Wartość ogólna (wraz z płótnami włociańskimi) wynosiła 704 tysiące rubli. W 1867 roku Żyrardów ma 1,770 robotników (980 tysięcy rubli wartości produkcji). Wkrótce zakłady pomniejsze i pojedynczy płóciennicy zaczynają zanikać, a obok rozrastającego się Żyrardowa powstaje kilkanaście średnich zakładów przemysłowych. I te jednak nie mogą wytrzymać konkurencji, i liczba ich z 21 w roku 1870 topnieje do 5 w roku 1895. W 1886 roku Żyrardów produkuje już za 5 milionów rubli, zatrudniając około 8,000 robotników. Dziś Żyrardów z ogólnej summy wartości produkcji, wynoszącej z górą 9 milionów rubli, wytwarza, wraz z dwiema mniejszymi fabrykami, należącymi do tej samej firmy (Jaktorów i Bleszno) za 8—9 milionów rubli, zatrudniając około 12 tysięcy robotników. Świadczy to o tem, do jakiego stopnia udało się fabrykom żyrardowskim zmonopolizować cały niemal dział przemysłu płóciennego w Królestwie.

Rozejrzyjmy się w tablicy (III), ilustrującej rozwój przemysłu płóciennego:

Tablica III.

Rok	Wartość produkcyi w tysiącach rubli	Ilość zakładów	Ilość robotników	Ile rubli na 1 fabrykę	Ile rb. na 1 robotnik.	Ilu robot. na 1 fabr.
1845	60 (Żyrardów)	2	300 (Żyr.)	—	200	—
1870	1,252	21	2,435	59,619	514	116
1873	1,884	13	3,882	144,923	486	298
1884	3,743	19	7,810	197,009	480	411
1886	przeszło 5,000	—	8,000	—	625	—
1890	6,500	—	—	—	—	—
1895	7,348	5	9,771	1,469,000	752	1,954
„ + <sup>1</sup> / <sub>4</sub>	9,200	„	12,214	1,840,000	„	2,442

Jak widać z tablicy powyższej, wartość produkcyi w ciągu lat 25 (1870—1895 r.), wzrosła  $7\frac{1}{2}$  raza (z 1,250 tysięcy rb. do 9,200,000 rb.). W tymże czasie liczba robotników zwiększyła się 5 razy. Natomiast zmniejszyła się ilość zakładów z 21 w r. 1870 do 5 w r. 1895. Dal- szem świadectwem procesu centralizacyi w przemyśle płóciennym są dane, wykazujące przeciętną wartość produkcyi i ilość robotników, wypadających na 1 fabrykę. Tak w 1870 r. wypadalo na 1 fabrykę 60 tys. rb. prod. i 116 rob., w 1884 blisko 200 tys. rb. i 411 rob., w 1895 1,840,000 rb. i 2,442 rob.

W 1870 r. na 1 robotnika wypadalo 514 rb., w 1895 r. 752 ruble a więc wydajność (względna, jak wyżej) pracy robotników wzrosła w tym czasie  $1\frac{1}{2}$  raza (o 50%), zaś w ciągu lat 50 (od 1845 r.)—4 razy (z 200 rb. do 752 rb.).

Płaca zarobna ze 128 rb. średnio w r. 1867/8 wzrosła do 164 rb. średnio w roku 1888, czyli o 28%.

W porównaniu z produkcją Cesarstwa przemysł płócienny Królestwa zajmuje miejsce wydatne. Żyrardów jest największym, co do rozmiarów, w całym państwie zakładem w tej gałęzi, jak zakłady Scheiblerowskie w przemyśle bawełnianym. Największe fabryki płócienne Cesarstwa (w Kostromie i Jarosławiu) wykazują 2— $2\frac{1}{4}$  mil. rb. wartości prod.

W 1884 r. wartość produkcyi płóciennej w Cesarstwie wynosiła około 14 mil. rb. przy 34,000 robotników, w Królestwie Polskiem



4 mil. rb. i 8,000 robotników, stanowiąc  $\frac{2}{7}$  i  $\frac{1}{4}$  w porównaniu z Cesarstwem. W 1892 wartość produkcji w całym państwie wynosiła 25 mil. przy 45,000 robotników, skąd 7--8 mil. rb. i 10,000 robotników w Królestwie Polskiem, 17 a mil. i 35,000 robotników w Cesarstwie, czyli Królestwo Polskie wytwarzało około  $\frac{2}{5}$  do  $\frac{1}{2}$  wartości produkcji w Cesarstwie przy  $\frac{2}{7}$  ilości robotników. Porównanie z roku 1884 świadczy o nieco szybszych postępach tej gałęzi w Królestwie.

### D) Przemysł jedwabny.

Gałęź ta przemysłu, pomimo usiłowań ku jej podniesieniu, gra rolę bardzo podrzędną. W 1845 był on u nas dopiero w kolebce, w kolebce też pozostawał długie jeszcze lata, dziś zaś, w chwili najwyższego swego rozwoju, przekroczył ledwo  $\frac{1}{2}$  mil. rb. wartości. Szybszy jego rozwój rozpoczął się około 1880 r. Na gubernię Warszawską wypada 400,000 rb. wartości produkcji, 2 fabryki i 500 robotników; na Piotrkowską z górą 200,000 rb., 4 fabryki i 100 robotników. W Cesarstwie przemysł ten gra dużą rolę, fabryk jedwabnych jest tam kilkadziesiąt, z nich wiele daje produkcję ponad 1 mil. rb. (w gubernii Moskiewskiej i Włodzimierskiej). Rozwój tej gałęzi przemysłu uwydatni następująca tablica (IV).

Tablica IV.

Rok	Wartość prod. w ty- siącach rb.	Ilość fa- bryk	Ilość robot- ników	Ile rubli na 1 fa- brykę	Ile rb. na 1 robot- nika?	Ilu rob. na 1 fa- brykę
1855	45	16	103	2,812	440	6.5
1857	54	13	88	4,153	600	7
1866	62	17	100	3,647	620	6
1870	14,4	6	15(?)	2,400	?	?
1884	452	—	333	—	—	—
1886	591	10	504	59,100	1,172	50
1887	477	6	563	79,500	847	94
1893	551	15(?)	738	—	—	—
1895	530	6	508	83,333	1,043	85
„ + $\frac{1}{4}$	663	„	635	110,500	„	106

Wartość produkcji z 45,000 rb. w 1855 r., 62,000 rb. w 1866 r., w 1884 r. podnosi się do 452,000 rb., wzrastając później powoli. Ilość fabryk zmniejsza się do 6, a ilość robotników podnosi z 333 w roku 1884 r., z 504 w 1886 r. do 635 w 1895 r. Gdy pomiędzy 1855—1870 r. na pojedynczą fabrykę przypada 2—4,000 rb. produkcji, w r. 1886 r.—59,000 tys. rb., w 1887 r. 79,500 rb., a w 1895 r.—110,000 rb.; liczba robotników z 6—7 na 1 fabrykę w latach 1855—66 wzrasta do 50 w 1886 r., 94 w 1887 r. 106 w 1895 r. Wydajność pracy robotnika z 440 rb. 1855 r. a 620 rb. w 1866 r., wzrosła do 1,172 rubli w 1886 roku, 1,043 rb. 1895 r. Płaca zarobna w gubernii Warszawskiej wynosiła w 1868 roku 144 ruble rocznie. Danych późniejszych nie posiadamy w ręku.

### E) Tkactwo wogóle.

Zgrupujemy dane o rozwoju poszczególnych gałęzi przemysłu tkackiego:

Tablica V.

Rok	Wartość produk. w tysiącach rubli	Ilość fabryk	Ilość robotników	Ile rubli na 1 fabrykę	Ile rb. na 1 robotnika	Ilu rob. na 1 fabrykę
1840	5,164	—	—	—	—	—
1850	5,238 <sup>1)</sup>	80	31,400 <sup>2)</sup>	—	167	—
1857	8,613	290	29,764 <sup>2)</sup>	—	290	—
1860	13,756	320	36,000 <sup>2)</sup>	—	382	—
1864/5	10,771	213	25,800	—	417	—
1870	15,425	520	20,027	29,663	771	38
1873	18,495	?) <sup>3)</sup>	26,164 <sup>2)</sup>	—	707	—
" + <sup>1/4</sup>	23,120	?) <sup>3)</sup>	32,700 <sup>2)</sup>	—	"	—
1880	57,147	?) <sup>3)</sup>	45,400 <sup>2)</sup>	—	1,259	—
1884	74,626	628	46,966	118,863	1,588	74
1887	75,900	650	47,441	116,769	1,602	73
1890	88,400	635	60,288	139,298	1,466	95
1895	133,803	395	80,502	338,748	1,655	204
" + <sup>1/4</sup>	167,146	"	101,000	423,435	"	256

<sup>1)</sup> Tylko bawełn. i wełn. przemysł.

<sup>2)</sup> Wraz z tkaczami pomniejszych i pojedynczymi.

<sup>3)</sup> Cyfr tych nie podajemy wobec wliczenia przez prof. Załęskiego zakładów „pomniejszych“ i pojedynczych tkaczy.

Wzrost przemysłu tkackiego, zwłaszcza do 1870 r., jest uderzający. Gdy pomiędzy 1840—70 (w ciągu lat 30), wartość prod. tkackiej wzrosła z 5 mil. rb. do 15 mil. rb., czyli 3 razy, w ciągu następujących lat 25 (1870 — 95) powiększa się 11 razy (z 15 — 167 mil. rb.), a ilość robotników 5 razy (z 20 — 100,000). W ostatnich latach, odkąd już dane o ilości fabryk tkackich nabrały większej pewności i jednolitości, znać szybkie posuwanie się procesu centralizacji wielkoprzemysłowej. Gdy w okresie 1887—95 r. wartość produkcji i ilość robotników zrosły przeszło 2 razy, ilość fabryk tkackich zmniejszyła się  $1\frac{2}{3}$  raza. W 1870 na 1 fabrykę wypadło około 30,000 rb. wartości produkcji, w 1884 już blisko 120,000 rb., a w 1895 przeszło 420,000 rb. Przeciętna ilość robotników na 1 fabrykę z 38 w 1870 wzrosła do 74 w 1884, 95 w 1890, a 256 w 1895. Stale i stopniowo wzrastała wydajność pracy poszczególnego robotnika tkackiego: w 1850 r. wytwarzał on przeciętnie rocznie za 167 r., w 1860 za 382 rb., w 1870 za 771 rb., w 1880 r. za 1,259 rb., wreszcie w 1895 za 1,655 rb.

Zatrudniając dziś z górą 100,000 robotników i dając produkcję wartości z górą 160 mil. rb., przemysł tkacki u nas stanowi potężny czynnik wytwórczy; jest to najważniejszy dział naszego przemysłu, stanowiący blisko połowę ogólnej produkcji przemysłowej kraju a przeszło  $\frac{1}{3}$  całej wytwórczości Królestwa Polskiego, włączając rolnictwo i rzemiosła, i dający utrzymanie (po 3—4 osób na rodzinę robotniczą) 300—400,000 ludności robotniczej, nie licząc przemysłowo-urzędniczej, handlowej i pośredniczej. Można powiedzieć, iż fizyognomię przemysłową kraju stanowią ogniska przemysłu tkackiego. Poza Warszawą, gdzie rozwinięty jest głównie przemysł metalowy przetwórczy, Dąbrową Górniczą i paru mniejszymi punktami przemysłu kruszcowego, wszystkie niemal nasze „centra“ fabryczne byt swój i charakter zawdzięczają przemysłowi tkackiemu: Łódź, Zgierz, Pabianice, Tomaszów, Sosnowice, Ozorków, Częstochowa, Zawiercie, Żyrardów, Zduńska Wola, Łęczyca, powiat Łódzki, Łaski, Brzeziński, gub. Kaliska itd.

Większa część produkcji tkackiej Królestwa stanowi przedmiot wywozu na rynki Cesarstwa, mniejsza — idzie na zaspokojenie potrzeb Królestwa. Według Janżuła, stosunek rynkowy pod tym względem wyraża się procentowo, jak 52% i 48%.

## 11.

**Przemysł, przerabiający plody roślinne.**

Zaliczyć tu należy: cukrownie, gorzelnie, dystylarnie, młyny, browary, fabryki wyrobów tabaczknych, cykoryi, octu, wyroby z drzewa, papiernie i t. p., czyli przemysł spożywczy, drzewny, papierowy i t. d.

**a) Przemysł cukrowniczy.**

Jak tylko we Francyi rozpoczęto wyrób cukru z buraków, zaczęto myśleć i u nas nad wprowadzeniem go. Już rząd Księstwa Warszawskiego w 1812 roku zachęcał przemysłowców, by się brali do cukrownictwa, zapewniając im pomoc w pieniądzach, materiałach budowlanych i t. d. Jednak pierwsze kroki na tem polu postawiono dopiero w 1820 — 1830 roku. Pierwszą cukrownię założył Henryk hr. Łubiński w 1826 roku w Częstocicach, lecz dopiero w 1831 roku powstała należycie przez niego urządzona cukrownia w Guzowie, a w 1839 roku rafinerya w Hermanowie, i odtąd już w różnych punktach kraju zaczęły się wznosić cukrownie. Bardzo energicznie popierał powstające i istniejące cukrownie, oraz zachęcał do zakładania nowych Bank Polski, który z ogólnej summy pożyczek długoterminowych, wydanych na zakłady przemysłowe przed 1870 rokiem — 7,260 tysięcy rubli, wydał cukrowniom najwięcej, gdyż 2,745 tysięcy rubli, czyli przeszło  $\frac{1}{3}$ . Za przyczynę tak energicznego popierania cukrownictwa uważać należy blizki jego związek z rolnictwem; popierając je więc, wspierano jednocześnie produkcję przemysłową i rolną. Z początku przemysł cukrowniczy traktowano nawet jako wyłącznie rolniczy i, jak go nazywano, „domowy“, rozumiejąc pod tą nazwą za-

kłady, które przerobiły po 500—5,000 korcy buraków. Z czasem jednak cukrownie rozszerzały swą produkcję, drobne znikaly, ustępując miejsca większym. W 1841 roku było 23 cukrowni, wśród nich wiele drobnych; w 1843 roku wyrobiły one cukru 40 tysięcy pudów. W 1849 roku było 49 cukrowni z produkcją 90 tysięcy pudów cukru i 3 tys. robotników; w 1851 roku dały 240 tysięcy pudów cukru. W 1855 roku cukrowni było 55. W 1856 roku ilość cukrowni wynosiła 44 z produkcją 800 tysięcy pudów. Odtąd, aż do czasów dzisiejszych, utrzymuje się ona stale w liczbie około 40. Świadczy to o tem, iż proces wchłaniania drobnych cukrowni zakończył się mniej więcej w tym czasie; w samej rzeczy, odtąd istniejące cukrownie rozszerzały tylko stale swą produkcję. W 1870 roku dały 1.2 miliona pudów cukru, w 1875 roku—półtora miliona pudów, w 1881 roku 2.3 miliona pudów, w 1883 roku — 3 miliony pudów, w 1890 roku — około 5 milionów pudów, w 1897/8 — 6.4 mil. pudów. Zwłaszcza po roku 1869/70 cukrownie zaczęły się szybko rozwijać na stopie przemysłu wielkiego, a od 1873 roku coraz liczniej zamieniają się na akcyjne. Ruch w tym kierunku przybrał u nas szerokie rozmiary. W 1894/5 roku z 40 z górą cukrowni prawie połowa (19) były to fabryki akcyjne, z wartością produkcji do 20 milionów rubli rocznie. Odtąd jednak już parę cukrowni zamieniło się na akcyjne i powstało parę nowych, również akcyjnych. Centralizacyjne dążności w przemyśle cukrowniczym znalazły wyraz w innej jeszcze formie: w utworzeniu syndykatu przemysłowców-cukrowników, który regulował produkcję, wpływał na określanie cen i t. d. Wraz z unormowaniem produkcji przez rząd syndykat został zniesiony. Cukrownie zatrudniają dziś 20 — 25 tysięcy robotników (stałych i niestałych).

— Według gubernii, produkcya cukrowni Królestwa rozkłada się, jak następuje (1897/8 rok).

Gubernia Warszawska . . .	3,102,000	pudów
" Lubelska . . . . .	991,000	"
" Płocka . . . . .	675,000	"
" Kaliska . . . . .	516,000	"
" Kielecka . . . . .	345,000	"
" Radomska . . . . .	295,000	"
" Piotrkowska . . . . .	173,000	"
" Łomżyńska . . . . .	166,000	"
" Siedlecka . . . . .	132,000	"

Razem 6,395,000 pudów

Z wyjątkiem gubernii Suwalskiej, wszystkie inne posiadają cukrownie: prawie połowa (20 z 44) wypada na gubernię Warszawską z połową blisko produkcji ogólnej, na Lubelską 8, Kaliską 4, Płocką 3, Kielecką, Piotrkowską, Radomską i Łomżyńską po 2, Siedlecką 1.

Aby mieć pojęcie o względnych rozmiarach produkcji cukrowniczej Królestwa Polskiego, należy ją porównać z produkcją cukru w Cesarstwie i za granicą.

Udział państw europejskich w produkcji cukru był następujący:

T a b l i c a VI.

(Tonna = 61 pudom).

	1871/2 r.	1881/2 r.	1888/9 r.	1897/8 r.
Francya . . .	335,000 tonn	334,000 tonn	561,000 tonn	780,000 tonn
Niemcy . . .	189,000 "	569,000 "	978,000 "	1,845,000 "
Austria . . .	162,000 "	498,000 "	515,000 "	836,000 "
Gub. Cesarst..	70,000 "	212,000 "	459,000 "	653,000 "
Gub. Król. Pol.	20,000 "	38,000 "	61,000 "	105,000 "
Belgia . . .	72,000 "	69,000 "	125,000 "	231,000 "
Inne kraje . .	25,000 "	30,000 "	66,000 "	274,000 "
<b>Razem</b>	<b>873,000 "</b>	<b>1,750,000 "</b>	<b>2,765,000 "</b>	<b>4,724,000 "</b>

W stosunku do Cesarstwa Królestwo Polskie produkowało cukru w 1871/2 roku  $\frac{2}{7}$ , w 1881/2 przeszło  $\frac{1}{6}$ , w 1888/9 — blisko  $\frac{1}{7}$ , w 1897/8 roku — blisko  $\frac{1}{6}$ . W stosunku do produkcji całej Europy w 1871/2 roku —  $\frac{1}{44}$ , w 1881/2 roku —  $\frac{1}{46}$ , w 1888/9 —  $\frac{1}{45}$ , w 1897/8 —  $\frac{1}{45}$ .

Blizsze dane o rozwoju przemysłu cukrowniczego znajdziemy w poniższej tabliczce:

T a b l i c a VI.

Rok	Wartość produkt. w tysią- cach rub.	Ilość za- kładów	Ilość ro- botników	Ile rubli na jedną fabrykę	Ile rubli na jedne- go robot- nika	Ilu ro- botni- ków na 1 fabr.
1841	—	23	—	—	—	—
1849/50	—	36	3,026	—	—	84
1855/56	1,984	55	—	36,081	—	—
1856/57	3,250	44	7,650	73,863	425	174
1863/64	4,379	41	10,252	106,805	427	250
1870/71	8,537	39	12,343	218,890	691	316
1880/81	11,000	40	14,490	275,000	758	362
1884/85	17,316	42	17,769	412,298	975	423
1886/87	20—22,000	40	15,993	500—550 tys.	1,250—1375	400
1893/94	24—26,000	42	—	570—620 tys.	—	—
1897/98	około 30,000	44	20,000	700:000	1,500	465

Wartość produkcji z 2 milionów rubli w 1855 roku wzrosła w 1870/1 do 8 i pół miliona rubli, w 1880/1 do 11 milionów rubli, a odtąd do 1897/8 wzrosła blisko trzykrotnie. Analogicznie, choć z mniejszą szybkością, wzrastała ilość robotników. Wzrost jednostki przemysłowej w cukrownictwie, fabryki, malują dane o przeciętnej wartości produkcji i ilości robotników na jedną fabrykę: w 1855/6 roku—36 tysięcy rubli, w 1863/64 — 106 tysięcy rubli, w 1870/1 — 219 tysięcy rubli, w 1884/5—412 tysięcy rubli, w 1886/7—500 tysięcy rubli z górą, w 1897/8—700 tysięcy rubli. W 1849/50 roku na jedną fabrykę wypadało 84 robotników, w 1863/4 — 250, w 1870/1 — 316, w 1884/5—423, w 1897/8—465. Wydajność pracy pojedynczego robotnika wzrastała, jak następuje: z 425 rubli w 1856/7 roku do 691 rubli w 1870/1 roku, 758 rubli w 1880/1, 975 rubli w 1884/5, około 1,300 rubli w 1886, 1,500 rubli w 1897/8 roku, czyli od 1870 roku o 100% prawie. Płaca zarobna ze 101 rubli przeciętnie w roku 1867/8 wzrosła do 111 rubli w 1888 roku, podniosła się więc o 10% w ciągu lat 20.

Produkcja znajduje zbyt przeważnie w kraju: około 3¼ miliona pudów w 1897/8 roku; część idzie do sąsiednich gubernii, Wileńskiej i Grodzieńskiej, część do Finlandyi, znaczna część za granicę (do Anglii z górą jeden milion pudów).

## b) G o r z e l n i e.

Przed zaprowadzeniem akcyzy, Królestwo miało parę tysięcy gorzelni. Były to przeważnie gorzelnie małe, nie stojące na stopie wytwarzania wielko - przemysłowego, a prowadzone również, jak cukrownie, w celach rolniczych i „domowych“, na potrzeby miejscowe; produkcya odbywała się na sposób czysto gospodarski, na małą skalę i metodą bardzo pierwotną. Reforma opodatkowania spirytusu i parokrotne podwyższenie stopy akcyzowej zabili gorzelnie drobne i podniosły znacznie cenę wódki. Jednak produkcya nie tylko, po pewnym przeciągu czasu, nie uległa obniżeniu, ale się wzmogła. Pomiędzy 1866 — 1873 rokiem ilość gorzelni zmniejszyła się o 34%, a wartość produkcyi z 6½ miliona rubli wzrosła do 16 milionów (2½ raza). W 1844 roku było 2,094 gorzelni, w 1867 — 1,675, w 1876 — 618, w 1884 — 390, a w 1894/5 roku — tylko 296. Za to gorzelnie te były to już fabryki dużych rozmiarów, z ulepszonymi urządzeniami, i zatrudniały znaczną ilość robotników.

Od roku 1844 wyrób okowity u nas sięga zawsze około 4 milionów wiader, w 1850/1 — 4.2 miliona wiader, w 1862/3 — 4.8 miliona wiader. Później, w roku 1880 — 2,349 tysięcy wiader, w 1884 roku — 2,889 tysięcy wiader (wartość z akcyzą 19 milionów rubli); w 1894/5 roku — 7,300 tysięcy wiader spirytusu, a w 1895/6 roku — 7,839 tysięcy wiader. Wobec 29.6 mil. wiader w 1894/5 roku i 30.3 mil. wiader w 1895/6 roku, wyprodukowanych w całym państwie, produkcya Królestwa Polskiego stanowi przeszło czwartą część produkcyi całego państwa, a trzecią część Cesarstwa.

T a b l i c a VIII.

Rok	Wartość produkcyi w tysiącach rubli	Ilość fabryk	Ilość robotników
1844	—	2,094	—
1863/64	5,945	1,942	8,133
1870	11,500	1,144	5,550
1873	16,000	1,041	6,100
1880	14,775	463	2,874
1884	19,000	400	2,747
1890	—	384	2,261
1894/95	—	296	2,867



Ze wzrostu wartości produkcji i zmniejszania się ilości gorzelni widzimy fakt stale dokonywającej się koncentracji wielko-przemysłowej. Gdy w 1863/3 roku na jedną gorzelnię wypadało 3,059 rubli produkcji, w 1880 roku już 31,911 rubli, a w 1884 roku — 72,500 rubli. Zmniejszanie się w szeregu lat ilości robotników świadczy o postępach technicznych i rosnącym zmechanizowaniu fabrykacji, które zastępuje pracę ludzką. Gdy w 1863/4 roku na jednego robotnika wypadało 732 ruble wartości produkcji, w 1880 roku już 5,095 rubli. Znacznie wzrosła płaca zarobna pomiędzy 1867/8 rokiem a 1888, gdyż ze 129 i 120 rubli rocznie do 180 rubli, to jest o 50%.

### c) Młyny, browary, miodosytnie, dystylarnie, fabryki tytoniu.

Ciekawie przedstawia się rozwój młynów parowych. W 1857 roku było ich zaledwie 5 o 145 robotnikach, z produkcją 287 tysięcy rubli; w 1871 roku 68 z produkcją 4 mil. rubli, w 1884 — 381 z produkcją 7,905 tysięcy rubli, przy 1,573 robotnikach; w 1893 roku młynów tych było 366 z produkcją 10,404 tysięcy do 13,005 tysięcy rubli i 1,860 do 2,325 robotników. Według innego źródła, ilość młynów parowych w kraju wynosi z górą 500. W 1892 roku produkcja ogólna młynów (2,121 wraz z drobnymi, wodnymi i wiatrakami) sięgała 15 milionów rubli (do 18 milionów rubli), przy 3,494 (do 4,367) robotników.

Wartość produkcji browarów i miodosytni w 1892 roku wynosiła 4,6 (do 5,8) miliona rubli, przy 230 zakładach i 2,061 (do 2,600 robotnikach; dystylarni — 1½ miliona rubli (do 1,84 mil. rubli), przy 39 zakładach i 616 (do 770) robotników; fabryk tytoniu było 12 z 2,000 do 2,500 robotników.

Ogółem cały przemysł spożywczy przedstawiał się w rozwoju swym, jak następuje:

T a b l i c a IX.

Rok	Wartość produkcji w tys. rub.	Ilość zakła- dów	Ilość robot- ników
1857	10,750	2,168	9,600
1866	14,000	—	—
1870	29,000	z górą 1,700	20,000
1880	43,000	1,420	22,000
1884	67,000(?)	1,340	23,000
1885	52,000	1,250	24,800
1894/95	55,520	789	29,251

Cyfry wartości produkcji i ilości robotników w 1894/5 roku są stanowczo za małe, z powodu niewliczenia danych właściwych o produkcji gorzelnii, oraz innych fabryk tego działu. Podniosło-by to niezawodnie cyfrę wartości produkcji conajmniej do 70 milionów rubli, a ilość robotników do trzydziestu kilku tysięcy.

#### d) Przemysł papierowy (i poligraficzny, wraz z drukarniami i litografiami).

W 1845 roku istniały tylko dwie papiernie: „Jeziorna“, założona w 1835 roku przez Bank Polski, i „Soczewka“. Wartość ich produkcji wynosiła 300 tysięcy rubli. W 1857 roku 43 zakłady przy 1,123 robotnikach dały produkcję wartości 490 tysięcy rubli; w 1871 roku 39 zakładów z 903 robotnikami, wartość produkcji — 659 tysięcy rubli; w 1892 roku 48 zakładów z 4,475 robotnikami (urzędowo 3,580) i 4792 tysiącami rubli (urzędowo 3,834 tysięcy rubli); w roku 1895 104 zakłady fabryczne z 6,927 robotnikami (5,542) i 8,375 rublami (6,700) wartości produkcji.

W ciągu tedy lat niespełna czterdziestu wartość produkcji papierowej wzrosła siedemnaście razy (z 490 tysięcy do 8,375 rubli), ilość zakładów  $2\frac{1}{2}$  (z 43 do 104), a ilość robotników 6 razy (z 1,123 do 6,927). Przemysł ten skupia się głównie w gubernii Warszawskiej z produkcją blisko 5 milionów rubli, przy 66 zakładach i 4 tysiącach

robotników; w Piotrkowskiej z produkcją 2 i pół miliona rubli, 30 zakładów i 2 tysiące robotników, i w Kieleckiej, z produkcją około 800 tysięcy rubli, 4 zakłady i 500 robotników.

### e) Przemysł drzewny (oparty na drzewie).

W 1857 roku istniało 50 fabryk drzewnych z produkcją 200 tysięcy rubli i 500 robotników; w 1892 roku 159 fabryk z produkcją wartości 4,300 tysięcy rubli (urzędowo 3,529 tysięcy rubli) i 6,176 robotników (4,941). Wreszcie w 1895 roku 145 fabryk z produkcją 5,626 tysięcy rubli (4,501) i 6,356 robotników (5,085 robotników).

Wartość produkcji od roku 1857 do 1895 wzrosła tedy z 200 tysięcy rubli do 5.6 miliona rubli (28 razy), ilość fabryk z 50 do 145, a ilość robotników z 500 do 6,356 (12½ raza). Wydajność pracy robotnika z 400 do 883 rubli wartości produkcji (przeszło 2 razy); przeciętna ilość robotników z 10 na jedną fabrykę do 44, przeciętna wartość produkcji z 4 tysięcy rubli na fabrykę do 38,800 rubli.

Wobec danych powyższych cały przemysł, przerabiający płody roślinne, przedstawia się, jak następuje:

Tablica X.

Rub	Wartość produkcji w 1,000 rubli	Ilość zakładów	Ilość robotników	Ile rubli na jedną fabrykę	Ile rubli na jednego robotnika	Ilu robotników na jedną fabrykę
1850	2,656	—	6,847	—	385	—
1857	11,440	2,261	11,223	5,062	1,019	5
1864	29,000	—	32,056	—	—	—
1870	35,905	4,465	27,580	8,104	1,301	6
1895	69,521	1,038	42,514	66,847	1,635	41

Przemysł, przerabiający płody roślinne, rozwinał się, jak widzimy, do rozmiarów bardzo znacznych (70 milionów rubli wartości produkcji i 42 tysiące robotników).

Wartość produkcji od 1857 do 1870 roku wzrosła przeszło trzy razy (z 11 i pół miliona rubli do 36 milionów rubli), od 1870 do 1895 roku znów dwa razy przeszło (do 69 i pół milionów rubli); ilość zakładów od 1870 do 1895 roku zmniejszyła się przeszło cztery razy

(z 4,465 do 1,038), a ilość robotników w tymże czasie wzrosła półtora raza, w ciągu lat czterdziestu — blisko cztery razy. Rozmiary pojedynczej fabryki rozrosły się znacznie: w 1857 roku na jedną fabrykę wypadało 5,060 rubli produkcji i 5 robotników, w 1870 roku — 8,100 rubli i 6 robotników, w 1895 roku — 66,347 rubli i 41 robotników. Wydajność pracy robotnika wzrosła w pierwszym okresie o 30%, w drugim o 26%, ogółem, w ciągu lat czterdziestu o 63%.

Wbrew przemysłowi tkackiemu, przemysł „roślinny“ znajduje głównie zbyt w kraju. Tylko nadmiar produkcji cukrowniczej wysyłany bywa na rynki zagraniczne, część jej, oraz część produkcji papierowej, do gubernii Cesarstwa.

STANISŁAW KOSZUTSKI.

Wzrost	Produkcja	Robotnicy	Wartość
1857	5,060	5	11,740
1870	8,100	6	27,900
1895	66,347	41	66,347

---

# RICK I ROCK.<sup>1)</sup>

---

## POWIEŚĆ.

---

### VIII.

Stary klaun nazywał się Pietro Zuccoli.

Niegdyś był to akrobata pierwszorzędny, w ćwiczeniach klasyecznych na rękę i na trapezie niewielu mający rywali.

Kiedy stał na świeczniku swej sztuki, nieszczęśliwy wypadek zgruchotał mu dwa zębra.

Przerobił się więc na klauna—na lichego, banalnego, tuzinkowego klauna, bo mu brakło pomysłów i humoru.

Nienawidził też rzemiosła, które go teraz żywiło.

Żeby zgnieść żal i złość, począł się zapijać, wszedł w nałóg, starzał się przed czasem, głupiał, słabł, zwierzęciał i coraz mniej stawał się użytecznym.

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy.

Dawano mu warunki coraz to gorsze, coraz to trudniej było mu o *engagement* i schodził powoli na psy.

Od czasu do czasu wprowadzało go to w paroksyzmy wściekłości.

W końcu się uspokoił, zastanowił i postanowił robić to samo, co inni w jego położeniu na świecie i w cyrku z powodzeniem robią: wychowywać sobie dzieci, które-by na niego pracowały.

A że swoich dzieci nie miał, wziął więc sobie pierwszą spotkaną parę tych, co były niczyjami.

I zawiózł ich do rodzinnych Włoch, na Sycylię, niedaleko portowego miasteczka, Marsali, gdzie miał odziedziczony po rodzicach domek z dużym ogrodem.

Nie był tu lat trzydzieści i ludzie o nim zapomnieli.

Kiedyś pozwolił zająć domek biednej ciotce swojej bezpłatnie. Wróciwszy, ciotki nie zastał. Powypędzał więc bez ceremonii krewniaków i rozgospodarował się u siebie z dwoma chłopcami, o których nikt z sąsiedztwa nie wiedział, co zacz byli, ani skąd, ani jakim językiem z sobą rozmawiali.

Tyle jeno ludzie zmiarkowali, że język to był twardy, szorstki i cichy.

I dobrze mu było.

Wypoczywał po trudach żywota, złamanego strasznie w chwili największej świetności, poił piersi gorącym, jasnym powietrzem rodzinnego południa, które mu o młodości jego opowiadało, zalewał się aromatycznym, pełnym esencji winem, jakie skalista wyspa rodziła, wrócił do zapomnianego makaronu, do pomarańcz i do *frito misto*.

A rąk nie założył bynajmniej, jako próżniaczy *lazarone*.

Pracował, i pracował gorliwie.

Uczył dwóch przywiezionych z daleka chłopców tajemnic szlachetnej akrobatycznej sztuki.

## IX.

Co to była za nauka? Co to za szkoła była?

A opieka jaka?!

W jakież się ręce straszne dostali teraz chłopcy?..

I gdzie oni są? gdzie są?

Na końcu świata...

Gdzie Warszawa? Gdzie Włocławek?

Za łądami, za górami—i za morzem.

Ach to morze...

To morze—to jest właśnie najgorsze...

Za wioską niedaleko jest niewielka górka, obdarta z jednej strony z ziemi i wystawiająca na słońce nagi, żółty, skalisty swój bok. Z innych stron rosną ogromne kaktusy, pełne cieniutkich ostrych igiełek i kwitnie mnóstwo purpurowych maków.

Na górze stoi kapliczka murowana z kamienia, z figurką Madonny.

Madonna jest biała, marmurowa, śliczna i smutna. Stoi bosemi nóżkami na kawałku kuli ziemskiej, oczy spuściła na dół i obie ręce, jakby zemdlone, także na dół opuściła.

U nóg jej leży czasem bukiet z białych kamelii, albo z różowych rododendronów, które tu jaka pobożna wieśniaczka przyniesie.

Otóż z tej górki, z pod tej kapliczki, widać morze.

Zaczyna się ono gdzieś tu niedaleko, a ciągnie—bez końca. W dniu spokojnym leży cichutkie, jasne, i takie niebieskie, takie niebieskie! W pochmurnym dniu chodzi i szumi, i pianą się zalewa.

Gdy Pietro upije się do nieprzytomności i zwali na łożko bez czucia, jak kłoda drewniana, Józiek wyciąga Wawrzka na tę górkę.

Wypatrują dal, która sprzęga morze z niebem, i rozpaczają.

Warszawa...

Żeby choć wiedzieli, w której leży ona stronie świata...

Wawrzek jeszcze, jak Wawrzek. Nie zupełnie źle się trzyma.

Siedzi w nim widocznie dużo natury polskiego chłopca: zegniesz go we dwoje, we czworo, w ośmioro, w piętnaścioro—i nie złamiesz.

Ale Józiek, o! ten wie dobrze, że tu nie wytrzyma.

Od samego początku zaczął za Warszawą tęsknić straszliwie.

— Jak tu brzydtko—szeptał do Wawrzka, prowadząc dokoła szklanemi oczyma.

Wawrzek przyświadczał mu z najgłębszem przekonaniem:

— To nie to, co Warszawa.

— Ba!

I prowadzili o Warszawie długie rozmowy.

— Byłeś na Chmielnej?

— Byłem.

— A ty byłeś na Lesznie?

— Byłem, ale tylko raz.

— A znasz Saski Ogród! — pytał Józiek.

— Znam.

— Ja tam codzień chodziłem.

— Ja także chodziłem, jak matka żyła.

— A potem nie?

— Potem nie. Stójkowy nie chciał mnie puszczać do ogrodu.

— Ja ci co dzień chodziłem, co dzień.

A tu co?

Tu codzień miewali lekcye gimnastyki: rano jedną, wieczorem drugą.

Tę lekcję ranną to można było jeszcze wytrzymać.

Pietro nie był wtedy pijany, a choć zawsze ponury, groźny, bezlitośny, uważał przecie na to, co chłopcy zrobić mogą, a co jest dla nich jeszcze niepodobieństwem.

Miał cierpliwość! Miał trochę wyrozumiałości—trochę poprostu metody i rozsądku.

Ale wieczorem, kiedy mu zazwyczaj mocne wino sycylijskie szumiało w głowie, był to tyran i kat.

Najusilniejsze starania chłopców nie były w stanie go zadowolnić, najrzewniejsze lzy rozbroić. Najmniejszy błąd wprowadzał go w passję.

Miotał wtedy straszne przekleństwa, targał chłopców za uszy, wrywał im włosy z głowy, kopał nogami.

Dom cały napełniał się wtedy płaczem, krzykiem, wymysłami— a przechodnie, zdumieni, zatrzymywali się przy furcie, aby się dowiedzieć, co to tam dzieje się tak niezwyklego.

I to tak było codzień.

Wawrzek buczał i cierpiał.

Ale na Józka przychodziła rozpacz.



Latał on nocami na górkę, klękał przed kapliczką i modlił się do Madonny, której białą postać i w nocy na tle ciemności rozróżnić było można. I prosił jej, aby zrobiła cud, i aby go wyrwała z tego piekła i przeniosła już nie do Włocławka, do dziadka i babki, co go tak kochali—ale choćby do Warszawy, do ojca i do macochy...

Do Warszawy... do Warszawy...

A jeżeli już dużej łaski otrzymać nie może, to żeby go choć Madonna przeprowadziła, przeniosła przez to morze, co go tak od świata oddziela.

Dalej pójdzie on już sam piechotą...

I klęcząc mówił po dziesięć, po dwadzieścia, po pięćdziesiąt paciery, podnosząc oczy do gwiazd, co świeciły w górze, złamany, wy-czerpany, nieszczęśliwy...

Aż raz, zdecydowany, pewnym głosem szepnął do Wawrzka:

— Słuchaj! My musimy stąd ucieknąć.

— A jakże?

— Zdaj się na moją głowę, ja ci mówię.

— Ty wiesz jak?

— Wiem.

— Przez morze?

— Przez morze.

Wawrzekowi zaświeciły oczy.

Rozumiał przecież, że to było rzeczą niepodobną, więc po chwili zastanowienia, rzekł tonem nieufności:

— Ale?!

Józiek pewny był swego.

— Zdaj się na mnie—powtórzył.

Ułożył on wszystko. Uciekną wieczorem, kiedy Pietro położy się spać. Wezmą z sobą bochenek chleba do jedzenia, i ile się zmieści pomarańczy, jakby im się pić chciało.

Do Marsali jest niedaleko.

Prędko uciekając, za jaką godzinkę będą w mieście.

Z Marsali zaś odchodzi duży parowy okręt w każdy piątek przed wieczorem. Józiek to wszystko już wypatrzył. W każdy piątek przed wieczorem.

Jeżeli Wawrzek nie wierzy, niech sam zobaczy: okręt doskonale widać z pod kapliczki.

Otóż ten okręt musi zajechać tam, gdzie ich Pietro przywiózł, kiedy z Warszawy przyjechali.

Ucieknąć stąd trzeba we czwartek. W Marsali Józiek trafi do portu, jak nie. Wkradną się na okręt i schowają się między towarami. W nocy nikt ich nie zobaczy.

A jak przyjadą, to znów poczekają do nocy i wtedy wyjdą.

A tam już—glupstwo, eh!..

Bal się Wawrzek uciekać, choć wierzył mocno w rozum przyjaciela.

Widząc jednak Józka tak stanowczo zdecydowanym, a zбитy jednego dnia więcej niż zazwyczaj, odpowiedział Józkwi:

— To uciekajmy.

Jeszcze się jednak raz zawahał:

— A jak nas złapią?—zapytał.

Józiek miał na wszystko lekarstwo.

— To niech złapią—odpowiedział tonem niezachwianej pewności—o jej? Powiemy żeśmy zabłądzili i że jesteśmy z Warszawy. Może nas jeszcze sami do Warszawy odstawią.

To Wawrzka ostatecznie popchnęło.

I niekli chłopcy w najbliższy czwartek wieczorem.

...A w piątek wieczorem złapano ich w porcie marsalskim i do policyi odprowadzono.

W sobotę zaś rano zgłosił się po nich Pietro.

## X.

— Józiek!? Józiek?! Co ty gadasz?!

— Nie chcesz pójść na Pragę? Nie chcesz pójść na Pragę?.. Będziemy się kąpać... Przecież mówię... Dla czego ty nie chcesz iść na Pragę...

— Józiek?! Józiek?!

— Dobrze, Dobrze... Niech oni na mnie poczekają... Muszę przecież buty włożyć... Powiedz im... Powiedz im... Zaraz... zaraz... Oni nie chcą poczekać... Poproś ich mój złociutki, żeby poczekali... Oj boli.

Józiek!? Co tobie?

— Boli... boli... Tu... tu... Ojciec... mama... nie, nie, macocha... Nie... Dobrze, dobrze... Już będę, będę...

Zerwał się do w pół z posłania.

Oczy jego patrzyły jakby cudze, gorąco od niego buchało.

Zawołał ochryplym głosem:

— Wody!

Wawrzek poskoczył dać mu wody.

Wychylił kubek do dna.

— Chcesz jeszcze:

— Daj.

Dał mu jeszcze.

Potem płaczącym głosem pytać go począł:

— Józieczku? co tobie jest? powiedz-że...

Józiek powiedział krótko:

— Boli...

I położył się napowrót.

Po chwili zaś począł jęczeć.

— Tu mnie boli... Tu... Tu... Pali i boli... boli... Na Chmielnej oni mieszkają? To się przeprowadzili... Wiem, wiem, gdzie jest Okopowa... Później, później... Jak tu ładnie... Tam nie było ci ani jednej dryndy... ani jednusia... Dajcie mu pokój... Ojciec... Macocha...

Wawrzek począł płakać.

— Józieczku... Józieczku...

— Teraz nie, nie... Nie!.. Teraz muszę iść do Włocławka... Hol ho! ja trafię... Wisła? Wisła?.. Ja wiem przecie, że tam jest Wisła...

— Józiek?.. Józieczku...

— Nie... Nie...

— Józiek.

— Nie! Nie! Nie chcę! Nie chcę! Ty wiesz przecież, że ja nie lubię pomarańcz!

I umilkł na chwilę.

— Józiek! Dać ci wody?!

Józiek znowu się uniósł na posłaniu.

— To ty Wawrzek?

— Ja.

— Jego niema?

— Niema.

— Gdzie on?

— Poszedł.

Józiek chwycił nagle Wawrzka za ręce i począł je dusić gwałtownie.

— Słuchaj, Wawrzek, brachu, kiedy jego niema, to my uciekajmy... Prędej! Ja tu nie chcę być... Uciekajmy do Warszawy... Stamtąd to już bliźutko do Włocławka, zaraz za rogatkami... Ja cię zabiorę do Włocławka... Jak nam tam będzie dobrze... Tam jest mój dziadek... Gdzie moja czapka?.. To nie morze... Ja umiem pływać...

A jak będziemy tonąć, to podjadą łódką i wyratują nas... Nie bój się, ja jestem moeniy, tylko mnie teraz tu bardzo boli...

— Józiek?!

— Czego ty krzyczysz.

— Co tobie jest?

— Boli mnie...

— Jóóziek...

— Co? czy on idzie...

— Nie.

— Nie... To dobrze... Ty jego nie puszczaj... Ty zamknij drzwi na klucz... Ja chcę... zaraz powiadam... zaraz... niech oni ich nie odpędzają... Ja miałem dziesiątkę... Do rynsztoka? To tu są rynsztoki?... Poszukajmy, bo ja muszę zaraz iść do Włocławka... Nie mogę; nie mogę... Ja muszę... muszę... muszę... Puście mnie... Puście!

— Jóóóóziek!

— Oho! poczekaj... Tak... zaraz... to tak bliźutko... zaraz za rogatkami...

Potem przestał się szarpać, uśmiechnął się i powiedział słodkim głosem:

— Dobrze dziadziu.

## XI.

A Wawrzek trwał, trwał,—i wytrwał.

— Przez pierwszy rok było to dla niego prawdziwe piekło... Pietro tłukł... Słońce go paliło...

Tęsknił chłopak do Warszawy, gdzie wszyscy ludzie gadają po swojemu, gdzie są duże kościoły, brukowane ulice z rynsztokami, gdzie płynie Wisła.

I gdzie w zimie można się ciskać pigułami...

I gdzie nikt nie stoi z zaciśniętym kulakiem i nikt nie wrzeszczy na niego bezustannie:

— Piano... Piano! Sacramento!.. Pianissimo!

Warszawa!

Jak tam jest pięknie! Jak tam jest pięknie!

W zimie zwłaszcza.

Wszędzie pełno bielutkiego śniegu i takie tam są ślizgawki?!

Naprzykład ta liga w rynsztoku na Dobrej?!

A Wawrzek doskonale się ślizga. Umie i tyłem jeździć, i po żydowsku, i w kuczki, i kowala.

Ślizgał się nie mało za życia matki, a nawet i trochę po śmierci, dopóki jeszcze miał buty.

...Powoli przywykał do sycylijskiego słońca i do twardej szkoły Pietra.

Pocieszał się przytem nadziejami.

Toć wiecznie tu nie będzie—układał sobie w głowinie—Tak czy tak, wróci kiedyś do Warszawy.

Może niezadługo nawet dostanie się za morze?!

A już tam jakoś...

Póty tu siedzieć będą, póki Pietro go wszystkich sztuk nie nauczy.

Potem...

Eh! kto wie?! Może Pietro zawiezie go nawet do Warszawy, do cyrku Salamońskiego.

Już-by Wawrzek nic więcej nie chciał...

Raz w Warszawie... zobaczył-by go Pietro więcej... A jakże.

On-by zaś kupił sobie dywanik, chodził po podwórzach i sztuki by pokazywał; poszedł-by zaraz na Sowią, na Bednarską, na Furmańską, eh! i na Nowy-Świat, i na Chmielną... Wszędzie-by poszedł...

A tymczasem ćwiczenia, ćwiczenia...

— P i a n o!.. P i a n o... P i a n i s s i m o...

To nic...

Tylko trochę cierpliwości.

Był więc Wawrzek cierpliwy i całymi latami podciągał się na rękę i opuszczał, unosił się na rękach, zawieszał na nogach, na jednej zgiętej ręce poziomo rozpościerał ciało, kręcił się jak młynek około drewnianej osi.

Jednocześnie robił ćwiczenia wolne, chodził po ziemi na rękach, przeskakiwał przez sznur, zawieszany coraz to wyżej, coraz to wyżej, odbijając się od trampoliny,—potem wykonywał skok bardzo trudny, przy którym musiał w powietrzu się obrócić, paść na ziemię karkiem i plecami i natychmiast na nogi się podnieść,—zbliżając się powolnymi krokami do całkowitego obrotu w powietrzu, do klasycznego s a l t o m o r t a l e, które już jest świadectwem na artystę.

Doprowadzał przytem ciało do giętkości i podatności, do posłuszeństwa bezwarunkowego, głowę usiłując oprzeć na brzuchu, na kola-

nach, na stopach, na łydkach, na tyle, na plecach, aż potrafił dotknąć włosami każdego miejsca swej skóry.

Więzy kostne rozciągały się, dając pole do ruchów coraz śmielszych, coraz piękniejszych. Ściągną mu twardniały.

I wychodziły mu pod skórę na całym ciele mięśnie, coraz większe i sprężystsze, każdy wyraźny, jeden od drugiego oddzielony, każdy do właściwej mu pracy przeznaczony, każdy instrument specjalny.

Było widocznem, że ta twarda szkoła na zdrowie i na pożytek mu wychodzi.

Rósł szybko, męźniał i rozwijał się nadzwyczaj równomiernie i prawidłowo.

Zasługi była w tem część nauczyciela.

Pietro miał momenty jasnego widzenia w zapamiętanej swej głowie i wtedy przypominał sobie te prawidła sztuki, w jakiej sam niegdyś był chowany, te ideały, które nad błyszczącymi dniami jego młodości świeciły.

Wtedy przestawał chłopaka męczyć i pędzić, oglądał uważnie jego mięśnie, oceniał każdego sprawność, zatrzymywał ucznia w jednych ćwiczeniach, a posuwał w innych, szczęśliwie w ten sposób od jednostronności, od specjalizacji, od potworności ustrzegając.

Widział przytem coraz to pewniej, że z chłopca będzie miał poaciechę.

Począł więc w nim swoje korzyści szanować!

Thuc go nie przestał, o nie!

Miał Pietro w sobie do końca gorącą krew południowca, niepohamowany charakter włoski, który na każde podrażnienie odpowiadał zaślepieniem zwierzęcem.

Im więcej Wawrzek razów znieść teraz był w stanie, tem więcej znosić ich musiał.

Ale wychowała go nie sama tylko ślepa pięść.

Pietro zbyt dziki był i zbyt od alkoholu zbytłęciały, aby zdobyć się we wszystkim, co się wykształcenia jego Lorenza tyczyło, na metodę.

Miał jednak kierunek.

Doprowadzał więc ucznia do perfekcji w pięknej sztuce akrobatycznej.

Aż i wyprowadził go na prawdziwego artystę.

## XII.

Przez ciąg lat kilku popisywał się w większych miastach włoskich młody akrobata, nazwiskiem Lorenzo Zuccoli, wykonywając już to na rękę, już to na trapezie, szereg klasycznych ćwiczeń, w sposób niesłychanie elegancki i poprawny.

Tłum, do cyrku uczęszczający, zarówno ten, co hałaśliwie zajmując tanie miejsca górne, jak i ten, co się w łóżach i fotelach na dole rozpieszcza, z obojętnością zwykle przypatruje się numerom gimnastycznym.

Ten tłum woli wołtyżerkę, skakającą na koniu przez obręczę, a jeszcze lepiej brzuchomówców.

Ale znawcy prawdziwi (a tych we Włoszech jest więcej, niż gdzieindziej) nie odrywali od Lorenza oczu, gdy ten powoli, miękko a łatwo stawał w pozycjach, które odkrywały oku całą siłę i piękno ludzkich członków.

Lorenzo Zuccoli?..

Był kiedyś—przypominali sobie bywalcy cyrkowi, którzy zachowali dobrą pamięć—niejaki Zuccoli, bodaj, że Pietro, który również świetnie, jeżeli nie świetniej, te ruchy wykonywał...

Czyżby to był jego syn?

Syn właśnie...

Pietro Zuccoli żyje jeszcze, on-to właśnie swoją sztukę,—która była wielką sztuką, za ideał mającą Prawdę, na fundamentie niewzruszonym starych tradycji opartą—przelał w swoje dziecko.

Oto stoi on tam, we fraku liberyjnym, przy wejściu.

Nie występuje on już, ale jeszcze „wychodzi”, jeszcze się miesza z czynną drużyną artystyczną.

Kto-by wtedy porównał ojca z synem, był-by niezawodnie uderzony brakiem wszelkiego podobieństwa między nimi,—brakiem, który dochodził do siły kontrastu.

Pietro był typowym Włochem, w którym, pomimo wieku, pomimo zmarszczkó, widać było starą rasę, czuć było wyszlachetnione i ustalone przez wieki rysy. Twarz miał ściągłą, nos orli, oczy czarne.

Lorenzo twarz miał pospolitą, pozbawioną rysunku, włosy jasne, oczy niebieskie, czoło w szerz rozwinięte i rażąco szerokie usta.

Na trapezie, wobec tak pięknie rozwiniętych, nigdzie nie przesadzonych rąk, nóg, korpusu, ta twarz wyglądała, jak jeden mniej udany szczegół, który nikł wobec świętej całości.

Ale w ubraniu zwykłym brak w twarzy jakiegoś szlachetniejszego pierwiastku razil u artysty tak doskonałego.

W ubraniu zwykłym wyglądał Lorenzo nawet niezgrabnie, — on! którego każdy ruch mistrzowie ołówka mogli-by rysować. A przyczyniała się do tego jego twarz, której nietylko szlachetnych rysów brakowało, ale której niedostawało także i szlachetnego wyrazu.

Już w świetle kinkietów był mały dyssonans.

Kiedy po skończonem ćwiczeniu rozległy się po cyrku brawa i krzyki, Lorenzo otwierał wtedy usta do uśmiechu, więcej niż było trzeba, dziękując publiczności za uznanie, dawał wyraz większemu z siebie zadowoleniu, niż to było granicą dobrego taktu zakreślone.

W świetle dziennem zaś Lorenzo miał wyraz istoty naiwnej i z siebie radej.

...Co prawda, powodów do smutku nie miał.

Stary Pietro opiekował się nim ciągle, on-to był jego impresariem, on-to zawierał i rozwiązywał z dyrektorami cyrku umowy, — on wreszcie zabierał sobie całkowitą pensję Lorenza.

Ale już od lat kilku (od czasu kiedy Lorenzo, broniąc się od rąk, o mało ręki nie złamał) z dawnego tyrana i śladu nie zostało.

Pozostał tylko najczulszy ojciec.

— Mio Lorenzo! figlio mio!..

To były jeszcze najbardziej szorstkie tytuły, z jakimi się do chłopca zwracał.

Na krok go nie odstępował, patrzył mu w oczy z rozrzwinięciem, często do piersi go przyciskał, ze łzami w oczach mówił mu, że Pan Bóg w chłopca osobie zesłał staremu wielką pociechę.

— Carrissimo Colombo...

I martwił się, że musi umierać.

Ale choć on umrze, to tam, z nieba, patrzeć będzie na swego „grande artista,“ i czuwać, aby mu się nic złego na ziemi nie stało, aż do tej radosnej chwili, kiedy połączą się znowu, na wieczne już czasy.

W święta zaś wysyłał go do kościoła, aby Lorenzo pomodlił się do Madonny o zdrowie i długie życie Pietra.



Lorenzo całował z uszanowaniem jego suchą, trzęsącą się rękę, i szedł do kościoła.

...I gdyby nie podwójna porcja alkoholu, jaką teraz Pietro usiłował rozgrzać krzepnące swe kości, być może, że Lorenzo nie tak prędko został-by po raz drugi sierotą.

### XIII.

Śmierć Pietra takie zrobiła na Wawrzkzu wrażenie, jakby mu kto, z tyłu zaszedłszy, dał parę razy mocno pałką po głowie.

Ogłuszony i ogłupiony.

Nie żałował on go,—nie płakał po nim.

Tylko nie wiedział, co z sobą zrobić.

Posiadł oto wolność, czynić mógł rano i wieczorem, dziś i jutro,—co mu się żywnie podobało, był artystą, który zarabiał tak dużo pieniędzy, iż ledwie mu się to w głowie pomieścić mogło —i stało się to tak nagle dlań i niespodziewanie, tak był do tej sytuacji nieprzygotowany, tak całe lata utrzymywany przez Zuccolego w świętej naiwności praktycznych spraw życiowych,—że nie miał pojęcia, co z sobą począć, jak swej wolności i pieniędzy zażyć.

Oglądać się też zaczął w pierwszych chwilach dookoła za kimś i za czemś, jakby oglądał się ślimak, wyluszczonej ze swej skorupy.

I przyczepił się do rodziny Samponinich.

Samponini taki sam był pijanica, jak Zuccoli. Przez ostatnie dwa miesiące pijali razem i butelka połączyła ich węzłem przyjaźni. W cyrku to był „człowiek - bomba“. Co wieczór nabijano go w oczach szanownej publiczności w ogromną drewnianą, [dla] pozoru blachą obitą, armatę, którą ustawiano na specjalnem podyum ponad orkiestrą,—muzyka dla efektu cichła,—posługacz kanonier zapalony lont przykładał do prochu—rozlegał się mocny huk—i człowiek bomba wylatał z armaty niby kula, przelatywał przez arenę cyrkową i zawisał na przeciwległym trapezie.

Numer był to sensacyjny.

W istocie rzeczy był to prosty t r u c, omamienie ludzkiej spostrzegawczości, wyzyskiwanie jej naiwności, gra, na łatwowierność obliczona.

Ale publiczność woli t r u c od sztuki.

Samponini był włochem z południa Italii, podobnie, jak Zuccoli, i podobnie, jak on, gwałtowny i brutalny.

I jak Zuccoli miał Lorenza, tak Samponini miał Antonię, dziewczynkę jedenastoletnią, która już mu zarabiała pieniądze, produkując się na wyciągniętym drucie.

I podobnie jak ongi Pietro swego syna, tak katował teraz człowieka bomba swoją córkę.

Dziewczyna była szczupła i blada, ale ładna, o nosku zarysowanym bez zarzutu, dużych czarnych oczach, obfitych w granat wpadających włosach, ząbkach równych, drobnych, i jak kość słoniowa białych.

Charakter miała energiczny i śmiały, i nawet ojcu stawiała się hardo.

Samponini nie był jej prawdziwym ojcem zresztą.

Posiadała Antonia prawdziwą matkę.

Matka także występowała w cyrku, w pantominach i zwłaszcza w rolach oberżystek i wiwanderek nie mało rozwijała werwy. Była to kreolka z Guatemali, w równikowej Ameryce, kiedyś może nawet piękna, obecnie, nieledwie ohydna, zwiędła, jak niegarbowana skóra, bezzębna, prawie łysa,— ubrana zawsze w kolory najjaskrawsze, żółte, czerwone, zielone.

Gadatliwa przytem jak papuga, a głupia, jak sroka.

Miała jednak sporo chytrłości i przebiegłości w drobnych, codziennych, praktycznych sprawach.

Antonia z matką żyła źle, nie słuchała jej prawie wcale i klóciła się z nią nieraz, jak przekupka z przekupką na targu ryb.

Mimo to Mariquitta usiłowała czasem bronić córkę, gdy brutalność Samponiniego zaczynała przechodzić zwykłą miarę.

Zwykle nie na wiele się to przydawało...

Samej bo Mariquicie, kiedy Samponiniemu przyszło to pod humor, dostawało się niezgorzej.

...Wśród tej oto rodziny znalazł po śmierci Pietra Lorenzo opiekę i przytułek,—choć chłopak dwudziestoletni, silny jak lew, przytułku nie potrzebował i nie mógł znaleźć nigdzie opieki lepszej nad własne ramię.

Samponiniowie mieli przypadkiem mieszkanie duże, które nawpół stało pustką.

Dano więc tu Lorenzowi pokój, mała Antonia gotową mu była usługiwać, Mariquitta zaś gotowała mu na obiad i kolację różne potrawy, pełne ostrych przypraw, od których cierpła mu skóra na języku.

Nowy lokator wszystkim przypadł bardzo do gustu.

Był to chłopiec cichy, nic nigdy nie wymagający i zawsze stale ze wszystkiego zadowolony. I o ile nie pracował na próbach i spektaklu, siedział spokojnie w domu.

Żeby go trochę rozerwać, wyprowadzał go Samponini do Tratorii i tam kazał mu fundować sobie Malsovię.

Stara, przezroczyta, choć jak oliwa gęsta, Malsovia—oto co człowiek - bomba najwyżej cenil na tym świecie. A jeszcze, gdy nie trzeba było za nią samemu płacić...

Mariquitta uszczęśliwiona była, że miała do kogo gadać całymi godzinami. Lorenzo bo wysłuchiwał wszystkiego najcierpliwiej, jak najbardziej zajmujących romansów.

Podawała przytem swemu lokatorowi Mariquitta rachunki, pisane podwójną kredką.

Gdy je płacił z niezamąconym ani na chwilę dobrym humorem, zaczęła używać kredki potrójnej.

A gdy i to nie wywołało żadnej zmarszczki na jego czole, zaczęła się w duszy Marquitty toczyć walka, czy nie należało-by uciec się do kredki poczwórnej.

Mała Antonia znalazła w Lorenzu tarczę.

Kiedy teraz ojciec zaczynał tylko groźnie brwiami poruszać dziewczyna raz, dwa, trzy i już jest w pokoju Lorenza.

Samponini raz i drugi poleciał tam za nią rozjuszony, z widoczną intencją wywleczenia „małej suki“ stamtąd za włosy.

Ale dziewczyna trzymała się obiema rękami nogi Lorenza, który spokojnie, ze zwykłym swoim uśmiechem, wyciągnął nad małą protekcyjnie ramię.

Człowiek-bomba rzucił się na to ramię.

A ramię to odsunęło go dość daleko.

Rzucił się drugi raz.

I odleciał jeszcze dalej.

Zębami zgrzytnął ze wściekłości.

Lorenzo zaś stał naprzeciwko niego, bez najmniejszych złych zamiarów, dobroduszny, naiwny i zadowolony z siebie, jak zwykle, i perswazyjnym tonem powtarzał jedne słowa:

— Po co ją bić?.. Nie trzeba... Nie trzeba...

Zrobiwszy znajomość z ramieniem Lorenza, twardem jak stal i sprężystszym od stali, Samponini bardzo prędko ochłódł.

Przytem on tak przepadał za starą Malsovią...

## XIV.

Wdzięczna Antonia zaczęła okazywać Lorenzowi przyjaźń i zaufanie.

Mówiła do niego poprostu:

— Ty!..

I kazała mu raz jednego uroczyście, aby codzień kupił jej co dobrego do jedzenia.

Lorenzo oczywiście nie śmiał wrócić do domu z pustemi kieszeniami.

Jak tylko wchodził, Antonia rzucała mu bystre, pytające, egzaminujące spojrzenie i, gdy usiadł, zapytywała go:

— Coś mi dziś kupił?

A nie zawsze udawało mu się zadowolić małą przyjaciółkę.

— Co? pomarańcze?—zawołała raz z pogardą i oburzeniem—On mi kupił pomarańcze! Niby ja mam ich mało w domu. Ty sobie sam zjedz te pomarańcze. Ja ci mówiłam, żebyś ty mi kupił co dobrego, co dobrego. Rozumiesz?

Inną razą za co innego mu się dostało.

— Eh! ciągle mi owoce kupujesz? tanie owoce. Czy to nie mogłeś dostać czekolady? co? niema nigdzie w sklepach czekolady? W całym mieście zabrakło? co?

— Lubisz przecie gruszki—bronił się.

— Lubię... lubię... To co? Wczoraj mi przyniosłeś gruszki, onegdaj gruszki, cały tydzień gruszki. Słuchaj! ja tobie przez trzy dni tylko nie pozwolę jeść nic innego tylko same gruszki, nic innego... To ci będą smakowały?!.. Jutro kup mi czekolady.

— Dobrze.

Pewnego razu, kiedy byli sami, Antonia przybrała szczególnie ważny i tajemniczy wyraz twarzy:

— Słuchaj, ja tobie coś powiem...

— No?

— Jak urosnę, uważasz, jak będę duża, to ty mi kupisz konia?..

— Konia?

— Tak, konia, ładnego, arabskiego konia. Kasztana... Zresztą, może być i siwy... Albo nie, nie... Kasztana, takiego, uważasz, jasnego kasztana...

— Ty lubisz konie?

Antonia przybrała wyraz twarzy niemal namiętny i z passyą zawołała:

— Bardzo! Bardzo!

Lorenzo jej zapytał:

— A drutu nie lubisz?

Za odpowiedź wygięła usta z pogardą i najwyższem obrzydzeniem.

I potem jednym nagłym rzutem wróciła do swojej myśli i rozjaśniła twarz.

— Ale ty wiesz, taki koń to dużo kosztuje.

— Pewno.

— Pokaż? ile ty masz pieniędzy?

Wyjęła mu pugilares i przeliczyła papierki.

Znała się na pieniądzach i nie pomyliła się: tysiąc trzysta czterdzieści lirów.

— Za to nie dostaniesz dla mnie konia? wiesz?

— Ja będę miał przecież więcej...

— No, ja wiem. Bo widzisz, ja chcę mieć pięknego konia, bardzo pięknego, piękniejszego, niż ma Lola Anders.

— Taak?

— Tak. Ale to nic, że ty nie masz tyle pieniędzy. Mnie teraz nie potrzeba jeszcze.

Zamyśliła się.

Po chwili dodała:

— Będziesz pamiętał, że ma być jasny kasztan?

— Będę.

— Zresztą, ja ci przypomnę.

Kiedy raz przez ciekawą Mariquittę za język pociągnięty zaczął opowiadać Lorenzo swoje dzieje, Antonia słuchała ich uważnie, podparwszy pięściami swoją główkę, osypaną bujnemi czarnemi kędziorami.

— To ty nie jesteś synem Zuccolego?

— Nie...

I na drugi dzień w tajemnicy powiedziała Lorenzowi.

— Wiesz, ja także nie jestem córką Samponiniego.

Potem zaczęła go pytać:

— Jak to się nazywa to twoje miasto?

— Warszawa!

- Jak? Jak? Wardzawa?
- Nie, Warszawa... Warszawa...
- Warszawa... Warszawa... Czy tak?
- Tak.
- To nie w Italii?
- O! nie!
- To daleko?
- Bardzo daleko.
- A ładnie tam?
- Czy tam jest ładnie?
- Ależ tam jest prześlicznie, przecudownie.
- Ładniej niż w Firenze?
- Daleko ładniej.
- I ładniej niż w Romie?
- Ładniej! Ładniej! Poprostu nigdzie na świecie nie jest tak ładnie, jak w Warszawie.

Antonia pokręciła ze zdumieniem główką.

- Ty tam dawno nie byłeś?
- Dwanaście lat.
- Dwanaście lat?! Patrz, to akurat tyle lat, ile ja mam.
- Akurat.
- I ty tam chcesz pojechać?
- Ba!
- Prędko?
- Jak mi się skończy e n g a g e m e n t.
- Antonia pokiwała główką z przyzwoleniem.
- No dobrze—rzekła—Tylko, żebyś tam długo nie siedział.
- O! tam posiedzę sobie!
- Nie! Nie!—zawołała, blizka gniewu—Masz wrócić do nas niezadługo.

Lorenzo się roześmiał.

- Za rok.
- Nie! Za pół roku.
- I po chwili zastanowienia dodała z przekonaniem:
- Pół roku będziesz miał zupełnie dosyć.
- I teraz od czasu do czasu przypominała sobie to dziwne nazwisko miasta, które było najpiękniejszym miastem na świecie.
- Słuchaj! War-sza-wa! Prawda?
- Dobrze.

I pewnego razu podeszła do niego, oparła się o jego ramię i rzekła cichszym głosem, jak zawsze wtedy, gdy coś ważnego miała mu do powiedzenia.

- Wiesz, jak ja jego nazwę?
- Kogo?
- O kogo?!—oburzyła się, że nie zrozumiał—no konia mojego.
- No?
- „Warszawa“. Co? dobrze?

## XV.

Kiedy Lorenzo wyzwolił się nareszcie z pod wszelkiej opieki i popłynął przez morze życia o własnych siłach, sytuacja jego na świecie była doprawdy nie z tych, które się spotyka na każdym kroku.

Zaczynało się od tego, że nie wiedział dokładnie, jak się nazywa.

Na afiszach tytułowano go Lorenzo Zuccoli. Ale ktoby zwał, co piszą na afiszach! Lorenzo, jak Lorenzo, zapewne to było po włosku to samo, co po polsku Wawrzyniec.

Ale Zuccolim nie był za pół grosza.

Jak się więc nazywał?

Barański.

A może nie Barański, tylko Baran?

Otóż to...

Przypominał sobie i przypominał, kombinował i kombinował. Na matkę jego Barańska ludzie wołali. Jego w ochronie Baran zapisano. Pani go wywoływała jako Barana.

I nic na pewno skombinować nie mógł.

To jedno niezawodnie wiedział, że jeśli nie Barański to Baran,—no i to drugie, że jeśli nie Baran, to ani chybił Barański.

Porzucił też nazwiisko włoskie, jakie do niego przyczepili, i w wędrówkach swoich skroś Europy tytułował się Laurent Barański, albo Barane, albo Baran,—jak mu pod humor przypadło.

Następnie nie miał on przy duszy żadnych innych papierów legitymacyjnych, oprócz kolekcji afiszów cyrkowych i wycinków z gazet, w których oddawano mu sprawiedliwość.

Zwykle to było dla niego dosyć.

Ale raz—bolesna to była historia—okazało się tego za mało.

Było to właśnie na początku samym jego samodzielnej egzystencji, kiedy postanowił odwiedzić najpiękniejsze miasto, jakie było na świecie,—z powodu braku paszportu zawrócono go na granicy.

Okropnie się wtedy nieborak zafrasował.

Koledzy zaczęli mu rady dawać.

Jeden radził napisać tu, inny tam, tamten jeszcze to i owo zrobić.

Wawrzek postanowił napisać i tu, i tam, zrobić to i owo. Ale tymczasem przyjął nowy engagement, dni zaczęły płynąć za dniami, a on nie napisał nigdzie, nie zrobił nic, tylko ile mu razy Warszawa w myśli stanęła — teraz jeszcze piękniejsza, niż kiedykolwiek — tęsknił i frasował się.

Wreszcie był to człowiek, który nie znał żadnego języka, tak, jak zwykle ludzie znają choć jeden.

Ile w nim zostało słów polskich, tego Baran w przybliżeniu nie wiedział — trochę nazw trzymało się w jego pamięci to pewna. Ale więcej?.. Ostatni raz przemówił po polsku do biednego Józka. Ile to już lat temu?..

A przez długi pobyt we Francyi i Hiszpanii naprzód zepsuł sobie włoszczyznę, uczyniwszy ze słów francuskich, zwrotów hiszpańskich i form włoskich jeden makaron, — a następnie zatracił to poczucie mowy ludzkiej, jakie jeszcze posiadał.

A potem przez dwa lata w Londynie i znowu wrócił do Paryża.

To też wszystkie języki mu się pomieszały, — a (rzecz mniej z pewnością dziwna, niż się na pierwszy rzut oka wydaje), pomieszały się nie w chaos bezładny, ale w jakąś dziwną, barbarzyńską gwarę, odpowiadającą przecież jako tako praktycznej potrzebie porozumiewania się z ludźmi.

Mogłeś też być zaczepić Barana w jakim chciałeś języku. On ci zawsze odpowiedział w sposób dowodzący, że wie doskonale o co ci idzie, — i odpowiedział tak, iż i ty wiedziałeś, o co jemu chodzi.

A w jakim języku dał on ci odpowiedź?

Było to pytanie, które każda Akademia mogła postawić filologom, jako zadanie do nagrody.

...I ten człowiek bez nazwiska, bez języka i, co najważniejsza, bez legitymacyi, dawał sobie jednak doskonale radę na świecie i zawsze był z siebie bardzo zadowolony.



## XV.

— Doprawdy?! Pan zna Warszawę!? Pan zna Warszawę?!

— Ja myślę...

Baran szeroką swą łapą uderzył w marmurowy blat stolika kawiarnianego z niezwykłą u niego nerwowością.

— Garson! Garson! Proszę nam dać dwa piwa! Pozwoli pan sobie ofiarować... Dwa duże piwa... Więc pan zna Warszawę?

— Upewniam pana, że było-by mi łatwiej wyliczyć te miasta, których nie znam. Tak, tak, ziemia, mogę to powiedzieć, nie ma dla mnie wiele tajemnic...

— Bo widzi pan—przerwał Baran uszczęśliwiony — ja jestem z Warszawy.

— Ah!--odrzekł ten, do którego mówił, nie przywiązując aż nadto widocznie żadnej szczególnej wagi do tej okoliczności.—A ja jestem Paryżanin. Prawdziwy Paryżanin z Paryża. Nie wiele to może o sobie śmiało powiedzieć. Bo co pan chce—zaczął szdyzić.—Dziś kogo nie zapytaj, każdy jest Paryżaninem. Są Paryżanie, co pochodzą z Owernii, są Paryżanie, co się urodzili w Marsylii, Nimes, Tarasconie... O! takich pełno! Thy! Są nawet tacy Paryżanie, co się urodzili w Berlinie!.. Ja, panie, ja się urodziłem w Paryżu, poprostu w Paryżu, przy ulicy Świętego Dominika... Pan zna ulicę Świętego Dominika?

— Nie znam...

— Zna Pan bulwar Saint-Germain.

— Znam.

— Otóż to tak z tego końca, od Parlamentu piąta, może szosta ulica na prawo.

W tej chwili garson postawił przed nimi dwa piwa.

— Pozwoli pan, że się przedstawię, skoro mam zaszczyt z panem siedzieć za jednym stołem, a choć to tylko stół kawiarniany, nie mniej dobre obyczaje obowiązują ludzi dobrze wychowanych wszędzie jednako. Przytem nie jest przecież rzeczą niemożliwą, abyśmy spotkali się kiedy w towarzystwie. Nazywam się Charles De La Rivière, w trzech słowach osobno De, osobno La i Rivière.

— Laurent Barane.

— Bardzo mi jest przyjemnie, proszę wierzyć.

Przyłożyli kufle do ust.

Baran, któremu pilno było do Warszawy, skorzystał z tego, aby pierwszy przemówić:

— A co? panie! Warszawa? Śliczne miasto!

De la Rivière kiwnął głową.

— Nie brzydkie... Nie brzydkie...

— Pan tam długo był?

— Nie, nie długo. Ale byłem kilka razy, trzy najmniej.

— Trzy razy.

— Tak, tak, pamiętam dobrze... Jest tam jedna ulica, taka duża, szeroka, po której chodzą tramwaje, pełna pięknych sklepów... Niedaleko takiego dużego kościoła... Nie powiem panu w tej chwili jak się nazywa, choć wiedziałem. Ale pan rozumie, kto tyle widział, co ja... To, panie, jedno wrażenie wypycha z głowy drugie...

— Nowy-Swiat może?

— Tak coś... Zdaje się... Nowi... Nowi?..

— Nowy-Świat.

— Tak, tak, to właśnie. I placów tam jest parę, które nie są wcale brzydkie...

Pociągnął piwa.

Potem zrobił minę subtelnie dowcipną i, przymrużając jedno oko a drugim patrząc na Barana, z uśmiechem rzekł:

— No, Paryż jest jednak małą odrobinę ładniejszy.

Na to Baran odpowiedział z perswazją:

— Tak się panu zdaje, bo pan jest Paryżaninem. Warszawa jest daleko piękniejsza.

De la Rivière spojrział na Barana uważnie, potem znowu pociągnął piwa, i pomyślał sobie z radością:

„Doskonalem dziś trafił. Jeżeli ten mi nie pożyczy pięciu franków, to nie wart jestem susa.

I ze zdwojoną uprzejmością zapytał:

— Jeżeli się domyślam trafnie, mam przyjemność mieć do czynienia z artystą.

— Tak panie.

— Z jakiego *etablissement*, jeżeli to nie jest nie dyskrecją?

— Występowałem przez dwa miesiące w „Cirque Nouveau.” Wczoraj właśnie skończyła się serya.

— Ja także jestem artysta...

— Ja jestem akrobata.

— A ja jestem... hm... tak... właśnie... ja jestem klaun... Aeh! do licha! Właśnie rzucam w tej chwili okiem w lustro i widzę, żem się zapomniał ogolić. Oj! miłość, miłość. Co ona z ludźmi wyprawia. Bo to widzi pan (uśmiechnął się) wczoraj nie nocowałem w domu... Tak, panie, ja jestem klaun... Zresztą musiałeś pan nieraz o mnie słyszeć...

— Nie, panie.

— Hm! to dziwne. Ot! panie! co to za marność jest sława! Pracujesz! pracujesz! co wieczór luczają nad głową oklaski! publiczność gotowa cię na rękach nosić! dyrektorowie wydzierają cię sobie! kobiety za tobą giną, trują się, topią... A ot! spotkasz człowieka, i to artystę, któremu twoje nazwisko nie nie mówi. „Sława! ezczy dym,“ powiedział poeta. Panie Barane drogi, wszyscy to sobie możemy powiedzieć, wszyscy, którzy należymy do jednej rodziny artystycznej, którzy powinniśmy się znać nawzajem, lubić, szanować i w razie potrzeby sobie pomagać. Czy to nie jest i pańskie szanowne zdanie?

Baranowi ta elokwencya poczęła trochę mieszać w głowie.

Mimo to, rzekł z przekonaniem:

— O! tak!

— Ciesz się mnie to, że zgadzamy się w poglądach. Trzeba być zresztą głupcem, aby posiadać inne. Opowiem panu kiedy parę moich tru k ó w, ręczę, że się pan uśmiejesz. Było-by prościej zaprosić pana na przedstawienie... Ale widzisz pan przed sobą człowieka, który pracą swoją krwawą tuczył różnych dyrektorów, przedsiębiorców i innych pasibrzuchów z tego samego worka,— i który raz powiedział sobie nareszcie: dosyć!

Przy tem „dosyć“, wyrzuconem z wielką energią głosu, De la Rivière tak mocno palnął pięścią w stolik, że garson przybiegł do nich z drugiego końca sali.

Skorzystał z tego Baran.

— Jeszcze dwa piwa?! Pan pozwoli.

De la Rivière kiwnął głową bez zbytniego nacisku.

Potem ciągnął dalej:

— Tak powiedziałem sobie: dosyć! I obecnie zakładam w Paryżu wielki e t a b l i s s e m e n t na własną rękę. Niestety, nie jestem tak bogaty, abym kieszenią swoją mógł wystarczyć na to kolosalne przedsięwzięcie... Bo będzie kolosalne przedsięwzięcie... Mój ojciec nie zostawił mi wielkiego majątku. Chciał on, abym wstąpił w jego ślady i został oficerem. Byłem nawet w szkole kawaleryjskiej Seymour. Ale jak się jest artystą, co pan chce, to nie można być czem innym... Otóż wracam do mojego przedsięwzięcia... Sam nie wystarczam, to pewna. Musiałem więc złożyć konsorcjum z wielkich

kapitaliatów. Wszystko jest już gotowe. Place nawet są upatrzone.

— W Warszawie...

— Pan widzę przywiązany jest do Warszawy. Nie to dziwnego. Miasto rodzinne. Zawsze to w sercu gra inaczej. Przytem miasto piękne, sliczne, ani słowa. Polki są czarownicami wogóle istotami. Wywozłem ztamtąd najmilsze wspomnienie. Pokażę panu kiedy fotografie... Pan musi często odwiedzać swoją kochaną Warszawę?

— Panie, nie byłem tam lat dwadzieścia!

De la Rivière zatrzymał potok łatwej swej wymowy i z ciekawością spojrzal na Barana, który wyrzucił to zdanie z akcentem rozpaczliwego żalu.

— I dla czego, panie?

Ah! dla czego? To cała historia.

— Garson jeszcze dwa duże piwa, pan pozwoli...

— Ależ owszem... Ja myślę, że garson nie sfatygował-by się za bardzo, gdyby nam przyniósł do tego piwa po kilka sandwiczów...

— Gerson! I kilka sandwiczów...

I podczas, gdy de la Rivière smakował w sandwiczach, Baran opowiedział mu swoją historję: uwiezienie z Warszawy, lata nauki, śmierć biednego Józka, starość Zuccolego i własną niefortunną wyprawę do rosyjskiej granicy.

De la Rivière zaś słuchał z uwagą tego opowiadania, tak prostego i naiwnego, jak rozmowa dziecka, i myślał sobie w duchu:

„Byłbym najostatniejszym z osłów, gdybym od tego człowieka pożyczył pięć franków...”

#### XIV.

Nazajutrz o dość wczesnej godzinie, Lorenzo leżał jeszcze w łóżku, kiedy usłyszał dwa energiczne puknięcia do drzwi swego numeru.

— E n t r e z !

Drzwi się szeroko otwarły i wszedł de la Rivière, rzucając przed siebie pełne rozmachu:

— To ja!

Był dziś ogolony ostrzyżony, i naperfumowany, w długim surducie, ze świeżo odprasowanym cylindrem w ręku, w ciemnych rękawiczkach, szerokim zielonym krawacie, w którym błyszczało jakieś kolorowe szkiełko, w butach doskonale wyczyszczonych, — co wszystko jednak, pomimo widocznego trudu, a z powodu ubrania już dobrze sfatygowango i bielizny nie pierwszej białości, nie mogło mu dać szynku świetnego bulwarowca.

Podawszy uśmiechniętemu Baranowi rękę, stanął przed jego łóżkiem w pozycyi, zapowiadającej rzeczy wagi pierwszorzędnej.

— Przyznaj się, mój drogi Barane, żeś się nie spodziewał dziś mojej wizyty.

Baran szerzej w odpowiedzi na to uchylił głowę.

— A ja przychodzę z czemś, co pana powinno-by mocno ucieszyć.

Baran pytająco podniósł oczy.

— Powiem panu krótko i węzłowato: czy chcesz pan być w Warszawie.

— Ba!

— A więc (tu się chwilę dla wywołania efektu zatrzymał)—za miesiąc, co mówię, za trzy tygodnie będziesz pan w Warszawie.

— Co pan mówi?!

De la Rivière podał mu rękę ruchem rzymskiego senatora.

— Oto moja dłoń!

Potem wykręcił się na pięcie, usiadł na kanapie, założył nogę na nogę.

— O nie mnie pan więcej w tej chwili nie pytaj. Wstawaj, ubieraj się, ja na pana czekam. Pójdziemy do kawiarni, tam się pan wszystkiego dowiesz. Inaczej się rozmawia przy stoliku.

Baran wyskoczył posłusznie z łóżka, odsapnął i podszedł do umywalki.

De la Rivière zaś rozparł się na kanapie, przelożył jedną nogę przez poręcz, nucił jakąś modną piosenkę z café-concert i przypatrywał się z rosnącym zajęciem plecóm, karkowi, ramionóm myjącego się Barana, pod którego białą, silnie naciągniętą skórą grała wolnemi ruchami cała orkiestra wielkich i małych muskułów, układająca to jędrności i siły pełne ciało w jakąś żywotną i logiczną harmonię zaokrąglonych wypukłości i energicznie zarysowanych wgłębień.

Na wypukłościach tych łamało się światło dzienne, we wgłębieniu wchodził szary cień.

I obserwując tę wspaniałą grę światłocienia mieniącą się na białej skórze spieszącego się Barana, myślał sobie de la Rivière:

— Ależ są oni zbudowani ci cyrkowey!..

W kwadrans Baran był gotów.

De la Rivière pociągnął go na bulwary i kiedy usiedli pod płócienną markizą u Pousseta, zaczął mówić:

— Jest to jednak dziwne, jak ludzie jedni do drugich nie są podobni i jak każdy posiada w sobie w innej dozie to coś, co ludzi przyciąga i odpycha. Jestem przekonany, że i pan, mój drogi Barane, przy swojej inteligencji niezwyklej i przy swoim doświadczeniu musiałeś to zauważyć. Co? Przyznaj się, żeś zauważył. Otóż pan posiadasz w sobie w dziwnie dużej dozie ten pierwiastek sympatyczny, który ludzi zniwala. Jestem pewien, że przyjaciół musi panu nie brakować?

— O! tak! — potwierdził z głębokim przekonaniem Baran.

— Przyznam się panu, że i ja niepotrafiłem oprzeć się temu, temu... pan wiesz... machin... chose... temu coś, co pan masz i czem pan ciągniesz do siebie ludzi...

Baran jaśniał jak dzień sierpniowy.

— Otóż wczoraj, kiedyś pan mi uczynił honor opowiedzenia szczegółów interesującego swego życia, honor, który, wierz mi pan, drogi panie Barane, uniałem głęboko odczuć i jak na to zasługiwał ocenić, — przyznaję się panu, że nie pomyślał na razie o tem, co mi naprzód powinno było przyjść na myśl. Muszę zaś się panu, drogi panie Barane, wytłómaczyć z tego. Wiesz pan dobrze, iż obecnie znajduję się w fazie ważnej i decydującej, i że jestem w drodze do zrobienia milionów. Zbieram mianowicie konsoreyum do wybudowania w Paryżu, w środku miasta, olbrzymiej halli dla spektatorów... Zresztą znasz pan moje plany i wiesz pan, że Folies-Bergères i Casino de Paris będą w porównaniu do mojego etablissement zwykłemi jarmarczniemi budami. Otóż akurat wczoraj rano miałem to, co-by można nazwać małym zwartwieniem.

— No, jakież to? — zapytał ze współczuciem Baran.

— Wyobraź pan sobie, Rotszyld wycofał się z mojego konsoreyum. Trzy dni temu, kiedyś spotkał się z nim na giełdzie, był zupełnie zdecydowany. Ba! Sam mnie nawet zachęcał. Mówił mi: „panie Baronie, zdaj się pan na mój nos! pańskie przedsięwzięcie nie może się nie udać; pamiętaj pan, że Paryż jest Paryżem.“ Tymczasem wczoraj — masz pan! cofnął się!

— I dla czego?

De la Rivière zrobił ruch ręką po powietrzu.

— Albo ja wiem... Może dla tego, że jestem antysemita. O tak! tak musiał dowiedzieć się, że ja jestem antysemitą. Bo ja jestem, o! jestem antysemitą. Co pan chcesz, drogi panie Barane, człowiek

który się nazywa de la Rivière, człowiek, który urodził się w samem sercu Saint-Germain, człowiek, którego przodkowie walczyli przez trzysta lat z Anglikami — Orlean, Domrémy, — nie może nie być antysemitą, patrząc, co się w tej naszej biednej Francyi od pewnego czasu dzieje. I pan pewnie jesteś antysemitą, drogi panie Barane...

— Nie. Ja jestem akrobata.

— Hm!.. Otóż wracam do rzeczy. Było to małe zmartwienie, jak panu już powiedziałem. Oczywiście nic to na bieg moich interesów nie wpłynie. Je m'en fiche un peu de Rothschild. Nie mniej jednak dało mi to trochę do myślenia. I miałem nieco, przynajmę, zaprzątniętą głowę, kiedyś mi pan uczynił honor wtajemniczenia mnie w swoje ciekawe życie. Z tego powodu nie przyszła mi na myśl jedna rzecz, z której pan się mocno ucieszy. Przyszło mi to zaś na pamięć dziś rano dopiero. Wprawdzie czas mój jest drogi, ale znowu myślę sobie, nie jestem przecież niewolnikiem moich interesów, abym nie miał oddać przysługi człowiekowi, dla którego od pierwszego wejrzenia poczułem prawdziwą sympatyę, i którego tem więcej szanuję, im więcej poznaję.

Zatrzymał się chwilę.

— Otóż, panie, przecież mój stryjeczny brat jest wice-konsulem francuskim w Warszawie.

— Doprawdy?

— Anatol baron de la Rivière. Wszyscy go tam znają. Jest tam od lat... bo ja wiem... najmniej dziesięciu... Ożenił się nawet z Polką, panie, z Polką, cudną jak marzenie. Pokażę panu jej fotografię. Byłem na ich ślubie... Umyślnie jeździłem... Co to za wspaniałe było, powiadam panu... Cała arystokracja była zebrana, masę generałów, jakie toalety, jakie powozy... Szelma ten Anatol. Taką żonę dostać... I wiesz pan, ile miała posagu. Dwa miliony, panie, dwa miliony! I to nie franków,—rubli, rubli! Pan wiesz, że tam wszystko na ruble...

— Wiem!

— Piszą oni do mnie często listy; zapraszają. Ja im obiecuję, bo — uczucia familijne na bok — ja, przyznam się panu, lubię samą Warszawę, mam poprostu słabość do tego miasta. Jak to tam się żyje, panie, jak miło, jak przyjemnie! Ale prawda, komu ja mówię! Przecież pan jesteś Warszawianin!

— A jakże!

— Otóż, drogi panie Barane, pański interes załatwi się w dwóch słowach. Nie posiadasz pan papierów?! Będiesz pan miał swoje papiery za dwa tygodnie, eh! co mówię? za dziesięć dni. Dziś jeszcze napiszę do Anatola... Panie, wice-konsul! wice-konsul! pan rozumie...

czego on nie może... Będzie to pana kosztowało — bo zawsze to są jakieś tam koszty — jakieś głupstwo — powiedzmy dla pewności pięćdziesiąt franków — i, drogi panie Baran, pańska sprawa jest ubita.

I rzucił z boku ukradkowe spojrzenie na Barana.

Baran jaśniał ciągle.

— Taak... Nie więcej nad pięćdziesiąt franków — dorzucił de la Rivière, widząc, że Baran nie sięga natychmiast do pugilaresu — Jednym słowem głupstwo. Jak się to zamieni na ruble, to nie wiele z tego zostanie. Dziś, dziś jeszcze napiszę. Kochany Anatol rad będzie, że mu dają możliwość wyświadczenia sobie przysługi. Ot! daj mi zaraz pięćdziesięcio-frankowy papierek, ja go włożę do listu i dziś wieczorem już pańska sprawa będzie daleko w drodze.

Baran na to tylko i czekał, aby mu powiedzieć: „daj“! w prosty sposób.

Natychmiast sięgnął do kieszeni i z wdzięcznością, której nie umiał z powodu prostoty swej natury wyrazić, podał de la Rivièreowi żądany papierek.

De la Rivière zaś, schowawszy pieniądze do kieszeni, obok niechętnych doznawać począł wyrzutów sumienia:

„Jednak ja osioł jestem — myślał — żem od tego człowieka wziął pięćdziesiąt franków.“

## XVIII.

De la Rivière należał do ludzi, którzy umieją poprawić się z popełnionego błędu.

Przytem te pięćdziesiąt franków... Był w ostateczności.

Oddawna już stracił głos, a właściwie te dwie tenorowe nuty, przy pomocy których dość zręcznie udawał, że wypiewkuje dowcipne piosnki, i dzięki którym przez lat parę wpuszczano go na sceny drugorzędnych teatrów rodzajowych, jako pierwszy lub drugi numer programu.

Ale kiedy przestano go słyszeć nawet w pierwszych rzędach, począł nędzną egzystencję śpiewaka w najniższych zakładach, po dwadzieścia susów za występ.

A i to mu się rwało:



Od paru miesięcy żył z tego, co od przyjaciół, kolegów dawnych, pożyczył, od paru tygodni zaś zaczął operować na nieznanym.

W chwili, gdy uszczknął owe pięćdziesiąt franków, nie miał w kieszeni literalnie nic, najdrobniejszej monety miedzianej.

Obrócił też te pięćdziesiąt franków na poprawienie swego błędu.

Tego samego wieczoru zwrócił się do Barana:

— Ależ mój drogi panie Barane, tak dalej być nie może. Ile razy ja mam zamiar sięgnąć do portmonetki, pan już masz pieniądze w ręku, już dzwoniś na garsona, już rachunek jest zapłacony. Ja się nie obrażam—przyznaję, że na pana nie mógł-bym się obrazić—bo wiem, że to płynie z pańskiej szlachetności. Ale jeżeli pan chcesz, abym kiedykolwiek jeszcze pozwolił cokolwiek za mnie zapłacić, musisz przyjąć ode mnie dziś kolacyjkę... małą kolacyjkę, do której ja ułożę menu...

I zaprowadził go do jakiejś zakazanej knajpy, gdzie postawił mu tuzin ostryg portugalskich, jedną sardynkę, baranie g i g o t po bretońsku, kompot z pomarańczy—nikczemność potraw zasypując wymownymi kwiatami subtelnych komentarzy.

Po obiedzie przecie żądał butelki szampana, a żądał jej z takim gwałtem, że przylecieli do jego stolika wszyscy garsoni i sam gerent zakładu.

— Drogi panie Barane, spodziewam się, że nie odmówisz mi pan podzielenia ze mną tej butelki szampana, za której markę ja panu żaręczam...

Przy końcu butelki de la Rivière zaproponował Baranowi odrzucenie niepotrzebnych ceremonii, na co Baran przystał ze wzruszeniem. Zaczeli się więc tykać.

— A teraz—zawołał rozjaśniony de la Rivière,—czarnej kawy, kieliszek dobrego koniaku, dobre cygaro i pogawędzimy sobie trochę o Warszawie.

Kosztowało go prawie czwartą część pięćdziesięciu franków, ale błąd był naprawiony—i jak?

Przez parę dni przyjaciele włączyli się nierozłącznie po mieście. De la Rivière prowadził go po różnych zaułkach, od czasu do czasu zatrzymując go nagle w jakiejś bocznej uliczce i każąc mu dobrze się przyjrzeć charakterowi zakątka.

— Co? to panu nic nie mówi?

Baran był w ambarasie.

— To dziwne—mówił de la Rivière—a mnie to zupełnie przypomina niektóre boczne ulice Warszawy. Są tam takie kąty, jak ten.

I pewnego razu przysłała mu do głowy pewna i idea, nowa i śmiała szczególnie, jedna z tych, które przychodzą tylko ludziom, nie mającym nic do stracenia.

— Słuchaj, Baran. Mnie widocznie żydzi teraz prześladują za mój antysemityzm. I ja widzę, że przed miesiącem nie będę mógł się wziąć do dzieła. A tęskno mi za publicznością. Gdybyśmy spółkę zrobili i razem się zaangażowali. Ty będziesz robił ćwiczenia, ja ci będę kłamał...

— A dobrze.

Baran oddał-by mu nie tylko te kilkanaście tysięcy oszczędzonych, których nie oddał tylko dlatego, że nie miał sposobności się z nimi wygadać— a nie miał sposobności dla tego, że de la Rivière samemi milionami w przedsiębiorstwie swoim obracał—ale oddał-by mu pół duszy, gdyby de la Rivière tego zażądał, a duszę na dwoje można było przekroić.

— Spuść się na mnie—mówił mu de la Rivière—ja to urządzę... Trzeba naprzód wynaleźć nam jakie efektowne tytuły... Coś angielskiego koniecznie... Im publiczność mniej coś rozumie, tem więcej szanuje... A, wierz mi, to ważna rzecz, żebyśmy zapowiedziani byli w programie w sposób efektowny i trochę tajemniczy... Popracuję ja nad tem moją głową.

I pewnego ranka przybiegł obudzić Barana, wołając z tryumfem:

— Mam! mam!

Baran nie zrozumiał na razie:

— Co masz? co?—mrucał zaśpany.

— Mam pseudonimy... Mam imiona, pod którymi zasłyniemy... to jest zabłyśniemy nowym blaskiem.

— No? no?

— A co? pilno ci?—wytrzymywał Barana—pilno?

I siadł na krawędzi łóżka.

— Przyznaj naprzód, żeś się nie spodziewał, abym wymyślił coś tak prędko? Co? Prawda? Ale ty mnie jeszcze nie znasz!

I wyjąwszy z kieszeni rulonik papieru, rozwinął go przed oczyma Barana.

— Patrz! Czytaj.

Na papierze dużemi drukowanemi literami nabazgrane było:

I zawołał takim tonem, jakby mu się laurowy wieniec najświęciej należał:

-- A co?!

## XIX.

Jedna z wielkich wystaw paryskich wyrwała Marsowi poświęcone pole i — po skończonym jarmarku i gwałcie wszechświatowym — oddała je, wysłane kobiercami zieleni i zwieńczone brązową koronką trzystumetrowej wieży, na miejsce spaceru dla emerytów, potrzebujących świeżego powietrza, na odpoczynek dla biednych próżniaków, nie mających na kawiarnie, i na plac dla uciechy bawiących się dzieciaków. Przychodzą też tu i kobiety z robótkami w koszyczku, aby porobić nowe znajomości i nagadać się, nasłuchać.

Miejsce jest ustronne, ciche i trochę martwe, pomimo kobiecych rantów i krzyków dzieciaków.

Najwięcej jeszcze życia wre tu pod olbrzymimi galeryami żelaznemi, na które, po usunięciu wystawionych okazów, rzuciły się „café-concerty.“

Jest ich tu dziesiątek, pracujących we dnie i w nocy, a tak blisko sąsiadujących jeden obok drugiego, że muzycy i śpiewacy przeskadzają sobie nawzajem, słuchaczom zaś do każdego ucha inna wpaść melodia.

Kurtyny ani kulisów niema tu wcale, reżyser z dzwonkiem siedzi wszystkim na widoku, aktorzy i aktorki przed i po popisie kupią się około jednego ze stolików, a scena — to kilkanaście desek, ułożonych na wysokości metra od podłogi. Miejsca wszystkie są tu sobie równe, kto przyjdzie pierwszy, ten jest lepszy, za wejście nie płaci się nic, — tylko widz obowiązany jest kupić sobie tu kufelek piwa, gorszego, niż gdziekolwiek bądź na kuli ziemskiej, za pieniądze ani trochę nie większe, jak w każdej innej kawiarni paryskiej.

I za te biedne pieniądze, oprócz najgorszego piwa, dostaje się czterogodzinny koncert, bez najmniejszego antraktu.

Jest to dużo — za darmo.

Koncerty te mają wielkie powodzenie i, rzecz dziwna, nie zawsze są nagrawaniem się nad ludzką powolnością.

Czasem można tu usłyszeć piosnkę, jeżeli nie zupełnie nową, to wypowiedzianą z subtelnym dowcipem; czasem monolog, wycieniowany ze smakiem, godnym o wiele lepszej publiczności; czasem pokaże się tu numer cyrkowy, który zadziwi perfekcją lamliwości, do jakiej ciało ludzkie, kośćmi przecież związane, doprowadzić można; czasem ukaże się piękna dziewczyna, świeża jeszcze jak pączek róży, z przepyszną szyją i cudownie utoczonemi ramionami; czasem wybiegnie inna, mniej piękna i przedewszystkiem mniej świeża, ze skrami sypiącemi się z oczu, która zatańczy kankana z werwą tak prawdziwie dyabelską, że na sali podrygują krzesła pod publicznością.

Są to smaczne, ale rzadkie tylko grzanki, pływające po chudej zapie zdartych głosów, okwitłych wdzięków i talentów, marynowanych w spirytusie.

Taką grzanką w jednym z tych zakładów był ekwilibrystyczny numer, wykonany przez Rick'a i Rock'a.

Rick wchodził na scenę w pięknym trykocie czarnym, z wyhaftowaną na piersiach złotą żmiją.

Rock wybiegał w workowatym kostiumie klauna, do połowy złotym, a do połowy zielonym, z pod którego kaftanika malowana głowa słonia, umieszczona pod plecami, wywieszała długi czerwony język.

Wybiegał i zaraz się o własną nogę zaczepiał i przewracał.

Spuszczano z górnych belkowań trapez i Rick, ująwszy go w ręce, podciągał się w górę, unosił narówni z pałakiem, potem ciało podnosił wyżej i wyżej, ponad pałak, ponad głowę, aż wypręzał je do góry, utrzymywał w pozycji pionowej, odrywał jedną rękę i tak zostawał na drugiej, pewny i nieruchomy. Na ramieniu tem, które go w tej pozycji utrzymywało, zebrały się mięśnie w ogromne buły, napęczniały, wysadziły się, zdawało się, że od ogromnego nacisku skórę rozerwą. Żyły zaś zabiegły krwią i rysowały się na ciele niby grube postronki. Trapez ani drgnął.

Rock tymczasem stał pod trapezem i bił się dłońmi po bokach z niecierpliwością.

Chciał on jak najprędzej pokazać publiczności, że on większych rzeczy dokonać potrafi.

I kiedy Rick, spuściwszy się powoli i w tym samym porządku, jak się wznosił, opuszcza trapez przy poklasku publiczności, Rock chwytą go czemprędzej...

Usiłuje go chwycić właściwie.

Trapez mu bo ucieka, jak dziecko swawolne.

Rock w prawo, trapez w lewo, Rock w lewo, trapez w prawo...

Przyczał się wreszcie na niego, niby tygrys na antylope, i hop! gwałtownym skokiem naprzód!

Ale złośliwy trapez wyslizguje mu się z rąk, jak ryba, i Rock leży na ziemi.

Tymczasem Rick odpoczął na stronie, zmęczone piersi jego nabrały powietrza, zroszone czoło obeschło, twarz krwią zalana pobladła.

Ujmuje on teraz pałak trapezu jedną ręką od razu, obraca swe ciało pod pałakiem, wykręca je całe w prawo i lewo, wygina poziomo, do ramienia składa.

Potem wygina je w koło regularne i—ciągle na jednym ramieniu zawieszony w powietrzu—dotyka włosów końcami palców u stopy, następnie staje sobie nogami na własnej głowie, kolejno obejmuje swą szyję nogami, wreszcie ściska skronie między własnymi kolanami.

Publiczność bije oklaski.

Rock znowu rwie się do trapezu.

Tym razem uchwycił pałak, uwiesił się na nim rękami i zaczyna rozpaczliwie wierzczać nogami, napróżno usiłując je w górę podzucić.

Staje, idzie po rozum do głowy, wymownie przykładając sobie palec do czoła i przystawia do trapezu krzeselko.

Tak, tym razem.

— C a y e s t !

Siada na pałaku, jak na koniu, i wyraz tryumfu błyska na upudrowanej jego twarzy, kiedy nagle, od niezręcznego ruchu, traci równowagę, przekręca się głową na dół, zawisa na chwilę na jednej nodze i pada jak deska płasko na podłogę.

Podnosi się powoli, wykrzywia twarz do płaczu i pociera miejscami ciała potłuczone...

...Rick i Rock to nauka i nieuctwo—to zręczność i niedołęstwo,—to mądrość i głupota,—to siła i niemoc,—to piękno i brzydota,—to sztuka i karykatura.

...Publiczność z pola Marsowego dość obojętnie patrzy na Rick'a i więcej ze zwyczaju, niż z przekonania bije mu oklaski.

Ale czasem zabłąka się tu artysta, malarz albo rzeźbiarz.

Odczuje on instynktem wtedy sztukę, choć to nie jest jego sztuka, i zadrza w jego wnętrzu coś żywego chwilą entuzjazmu na widok tych linii i płaszczyzn niezwykłych, a tak interesujących, na widok tych skrętów i ruchów tak spokojnych, a tak szalonych.

I oceni on w Ricku pracę i szkołę, myśl i styl, Prawdę i Piękno.

I będzie on chłodny i obojętny spoglądał na daremne wysiłki Rekoa w celu rozbawienia publiczności, na jego męczarnie, skierowane do wywołania śmiechu, na ten jego humor, który kosztuje go tyle, coby kosztowały ciężkie roboty.

I odczuje on tę prawdę, że artysta nie może być niezgrabnym niezgrabnie i głupim głupio, i że nawet najskromniejsza ze sztuk odrobiny daru potrzebuje koniecznie.

WINCENTY KOŚCIKIEWICZ.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# Polacy - Ministrowie w Austrii.

(Od Gołuchowskiego do Gołuchowskiego).

---

## I.

Na pobojuwiskach Magenty i Solferina runął stary system centralistyczno-biurokratyczny. Dnia 11 lipca 1859 roku, w Villa Franca cesarz Franciszek - Józef z Napoleonem III zawarł preliminarya pokoju, a już 15 lipca pojawił się manifest cesarza, uznający konieczność zmian w ustawodawstwie i administracji. Ostrze owego systemu, który po pozornych świetnych zwycięstwach w krótkim czasie sprowadził rydwan państwa na kraniec przepaści, było wymierzone głównie przeciwko Galicyi i Węgrom. Najznakomitszy przeto naówczas mąż stanu Galicyi, namiestnik, hr. Agenor Gołuchowski, został powołany do likwidacyi polityki smutnej przeszłości i wprowadzenia monarchii na nowe tory. Dnia 21 sierpnia 1859 roku, mianowany w miejsce Bacha ministrem spraw wewnętrznych, hr. Gołuchowski zabrał się energicznie do dzieła. Z nim rozpoczyna się długi szereg Polaków, którzy w ubiegłym czterdziestoleciu piastowali godność ministrów austriackich. Jedni z nich utrzymali się bardzo długo na

swem stanowisku, jak Ziemiałkowski lat 13 i pół, Dunajewski lat 10, niektórzy tylko kilka miesięcy. Jedni pracowali nad konstytucyjnym przeobrażeniem całej monarchii, drudzy zadawali się czynnością fachową w pewnym wydziale, inni na urządzie „ministra dla Galicyi” stali przedewszystkiem na straży praw i interesów kraju. Ale wszyscy wywiązali się sumiennie ze swego zadania. Nie wszystkim dopisał sukces, ale żadnemu nie można odmówić dobrej woli i uczciwych chęci, co też względem wszystkich uznają nawet przeciwnicy.

Hr. Agenor Gołuchowski, potomek starożytnego rodu, urodził się 8 lutego 1812 roku. Odbwszy studia prawnicze na wszechnicy lwowskiej, wstąpił do służby państwowej i, przeszedłszy po wszystkich szczeblach drabiny urzędowej, w roku 1849, chociaż najmłodszy z radców gubernialnych, po ustąpieniu hr. Stadiona i krótkim epizodzie rządów Wacława Zaleskiego, został namiestnikiem Galicyi. Wypadało-by napisać szczegółową historję Galicyi od roku 1849 do 1859, aby wykazać, ile potrzeba było nadzwyczajnych zdolności dyplomaty i najdokładniej obeznanego z machiną urzędniczą administratora, aby w tych czasach, pod ministeryum Bacha i wobec wrogiej krajowi biurokracyi napływowej, utrzymać się dziesięć lat na stanowisku namiestnika, nie zapierając się swej narodowości i nie narażając na szwank swej przyszłości politycznej. Hr. Gołuchowski okazał się mistrzem w tej sztuce. Zdolał zatem odwrócić najniebezpieczniejsze zamachy ministra na całość i historyczny charakter kraju, tudzież zapanować nad aparatem urzędniczym. „W Galicyi — czytamy w monografii „Czasu“ hr. Dębickiego — czesko-niemiecka biurokracya dokuczała jak mogła, oddawano jej za to ironię i żartami. Gdy *Kreisli* *hauptmann*, lub *Bezirksvorsteher*, ze znanej rodziny Preclczków w powieści Jana Lasa, pozwalał sobie za wiele, jechało się do Lwowa, a gubernator, hr. Gołuchowski, choć niezbyt równego przy audyencyach bywał humoru, rad zwykle przyjmował tego rodzaju skargi obywateli, bo chętnie zbierał materiał przeciw podległemu sobie, ale do którego czuł wstręt, żywiołowi napływowej biurokracyi“...

Stanąwszy jako minister spraw wewnętrznych na czele gabinetu, — tytuł prezesa gabinetu wtedy jeszcze nie istniał, — hr. Gołuchowski natychmiast ogłosił w urzędowej „Wiener Zeitung“ obszerny program. Zapowiadał wprowadzenie harmonii do skostniałej administracyi, uporządkowanie finansów, którym ostatnia wojna zadała cios dotkliwy, tudzież publiczną kontrolę wydatków, zabezpieczenie wolności wyznań, przeniesienie części czynności władz na organa samorządu krajowego, przygotowanie instytucyi parlamentarnych. Jak zapewnia wymieniony powyżej autor, „hr. Gołuchowski na wstępie swe-



go zawodu ministryalnego oświadczył poufnie hr. Adamowi Potockiemu, że uważa swą missyę jako przygotowawczą, i swój system jako przejściowy. „Chcąc — dodawał — założyć zrab, przeprowadzi to, czego koniecznie wymaga ta zachwiana budowla, na system konstytucyjny ja już nie pójdę”. W późniejszych czasach hr. Gołuchowski zupełnie się oswoił z systemem konstytucyjnym i stał się jednym z jego najsilniejszych filarów. Ale zawsze być może, iż w roku 1859 istotnie chciał się ograniczyć do utorowania mu drogi.

Rozpoczął od zdjęcia najsroźszego jarzma biurokratycznego z Galicyi i Węgier, skąd odwołał cały legion owych czesko-niemieckich działaczy, znanych pod nazwą „huzarów Bacha”. W ten sposób hr. Gołuchowski przygotował ugodę z Węgrami i samorząd Galicyi. Tu wystarczało usunąć dość powierzchowną skorupę germanizacyi. Trudniejszym było zadanie przeobrażenia monarchii. Od roku 1851 istniała w teoryi „Rada Państwa”, złożona z mianowanych przez cesarza członków, której czynności nie pozostał żaden ślad. Hr. Gołuchowski postanowił użyć tej instytucyi celem przygotowania koniecznych reform. Dnia 5 marca 1860 roku zjawił się zatem patent cesarski, zapowiadający „wzmocnienie” Rady Państwa przez 38 na przyszłość wybieralnych, a tymczasowo powołanych przez cesarza, mężów zaufania różnych prowincyi. Z Galicyi powołani byli do niej: Maurycy Kraiński, Stanisław Starowiejski i adwokat Polański, jako przedstawiciel Rusinów. Obrady „wzmocnionej Rady Państwa” rozpoczęły się 31 maja 1860 roku pod prezydencją księcia Reynera, i trwały aż do 28 września. Ścieraly się w tem gronie prądy federalistyczne z centralistyczno - konstytucyjnymi. Pozytywnego rezultatu obrady te nie wydały.

Tymczasem poza kulisami wrzała zacięta walka pomiędzy obozem „feudalnym” a niemiecko-liberalnym. Na razie zwyciężył pierwszy. Przeto 20 października 1860 roku ukazał się sławny „dyplom”, który w najogólniejszych ramach nakreślał ustrój państwowy, zdolny zaspokoić poniekąd autonomiczne życzenia, ale pozbawiony tych reform w kierunku konstytucyjnym, których wymagał niewątpliwie duch czasu. Można być pewnym, że ów przedawniony dziś „dyplom” został hr. Gołuchowskiemu narzucony, bo rozumiał on bardzo dobrze, że pewne ustępstwa pod względem wolności prasy, praw osobistych, zgromadzeń i t. d., były niuniknione, i że bez nich nie uda się uzdrowienie państwa. Wprawdzie równocześnie z ogłoszeniem „dyplomu”, hr. Gołuchowski otrzymał tytuł „ministra stanu”, co wtedy znaczyło tyle, co prezes gabinetu, ale niebawem w otoczeniu cesarza wziął górę prąd liberalno - centralistyczny, zwłaszcza, że wtedy marzono w Burgu o odzyskaniu przewagi w Niemczech. Dnia zatem 13

grudnia 1860 roku hr. Gołuchowski otrzymał dymissyę, u steru państwa stanął Schmerling, pod firmą nominalnego prezesa gabinetu — arcyksięcia Reynera. Powróciwszy do kraju, hr. Gołuchowski z zaciśza przypatrywał się peripetyjom gabinetu i ogłoszonej przez niego 26 lutego 1861 roku, a zawieszanej w lipcu roku 1865 przez Belcredię konstytucyi centralistycznej.

Wybrany we Lwowie na posła i mianowany ponownie namiestnikiem Galicyi 20 września 1866 roku, hr. Gołuchowski w roku 1867, w chwili stanowczej, przyczynił się znacznie do przechylenia szali na stronę obesłania przez sejm Rady Państwa zwyczajnej (2 marca), a więc do wejścia delegacyi galicyjskiej na drogę polityki praktycznej. Od roku 1868, gdy wskutek uchwalenia sławnej rezolucyi przez sejm lwowski, a więcej jeszcze wskutek zabiegów dyplomatycznych, cesarz zaniechał zapowiedzianej podróży do Galicyi, hr. Gołuchowski ponownie złożył urząd namiestnika, aby powrócić nań w roku 1871 za rządów Hohenwarta, i zaszczycony w równej mierze bezwzględnem zaufaniem kraju, jak cesarza, piastował go już aż do śmierci (3 sierpnia 1875 roku).

Zawód hr. Gołuchowskiego, jako ministra, trwał tylko kilkanaście miesięcy, oznacza jednak przełom w nowoczesnych dziejach Austryi. On naprawdę wznosił podwalinę nowoczesnego ustroju monarchii. Wydarzyły się potem jeszcze przewroty i wykolejenia, dotąd wre walka o mniejszy, lub większy wymiar samorządu krajowego, ale powrót do systemu, który panował przed rokiem 1859. stał się bezwzględnie niemożliwym. Można więc rzec bez przesady, że hr. Gołuchowski zasłużył sobie na tytuł odrodziciela państwa.

Po roku 1860 najdonioślejszym pod względem stosunków Galicyi do państwa stał się rok 1867, co bliżej wyjaśnimy poniżej. Na teraz wystarczy zaznaczyć, że jednym z ważnych skutków wejścia delegacyi galicyjskiej na drogę polityki utylitarnej, było wezwanie hr. Alfreda Potockiego do gabinetu ks. Auersperga w grudniu 1867 roku. Że hr. Potocki przyjął urząd ministra rolnictwa, było to, jak słusznie zaznacza w swych „Pamiętnikach“ pośmiertnych hr. Beust, wielką ofiarą ze strony tego magnata, ale powstała wtedy pożyteczna dla nas tradycya, że przy złożeniu każdego gabinetu austriackiego powi-

nien być uwzględniony żywioł polski, jako najważniejszy obok niemieckiego. Hr. Potocki <sup>1)</sup> na początku roku 1870 z Taaffem wystąpił z gabinetu, nie zgadzając się na jego ultracentralistyczne dążności, ale już 4 kwietnia 1870 roku był powołany na prezesa nowego gabinetu, którego zadaniem było utwierdzić konstytucję roku 1867 za pomocą pojednania opozycyi federalistycznej. W tym kierunku hr. Potocki okazał nie mniej gorliwości, jak dobrej woli i uczciwości. Najszlachetniejsze jego zamiary rozbiły się o zaciekłość obozu centralistycznego, jako też o upór Czechów, którzy wtedy wytrwali pod sztandarem: wszystko, albo nic! Ustępując 7 lutego 1870 roku z urzędu prezesa gabinetu, hr. Potocki zabrał z sobą uznanie wszystkich ludzi dobrej woli. Nawet te skrajne obozy, które udaremniły jego zamiary, nie wahały się później głośno uznać jego zacnego charakteru i najlepszych chęci. Jako marszałek krajowy, a potem jako namiestnik Galicji (1875 — 1883), b. prezes gabinetu zaskarbił sobie niepospolite zasługi około kraju.

---

Gdy hr. Potocki daremnie usiłował sprowadzić kompromis pomiędzy centralistami a federalistami na podstawie konstytucyi grudniowej, następcą jego hr. Hohenwart <sup>2)</sup>, (od 7 lutego do 30 października 1871 roku) zdawał się zmierzać do zupełnego przeobrażenia konstytucyi w kierunku federalistycznym. Z tego krótkiego epizodu pozostała tylko jedna ważna zdobycz, która szczęśliwie przetrwała wszystkie późniejsze przesilenia: ministeryum dla Galicji. Własnego reprezentanta kraju u Korony domagała się rezolucya sejmu galicyjskiego z września 1868 roku. Inne żądania, sformułowane wówczas, nie doczekały się dotąd spełnienia, ministeryum dla Galicji jednak

---

<sup>1)</sup> Obszerny życiorys hr. Alfreda Potockiego zamieściliśmy w zeszytach lipcowym „Biblioteki Warszawskiej“ roku 1889. Dla dokładności przypominać tutaj tylko, że urodził w 1822 roku, a w roku 1848 zasiadał w pierwszym sejmie austriackim, umarł w Paryżu 18 maja 1889 roku.

<sup>2)</sup> Monografię hr. Hohenwarta ogłosiliśmy w „Przeglądzie Polskim“, zeszyt sierpniowy, r. 1899.

powstało już w roku 1871, a pierwszym jego kierownikiem został Kazimierz Grocholski.

Urodzony 1815 roku ze starożytnego rodu szlacheckiego, Kazimierz Grocholski studia gimnazyalne odbył we Lwowie, uniwersyteckie w Wiedniu, gdzie 1839 roku uzyskał stopień doktora praw, wstąpił do służby państwowej, którą jednak opuścił w roku 1842, aby zarządzać swoim majątkiem, Różyska pod Tarnopolem. Należał także, jak Smolka i Ziemiałkowski, do tajnej organizacji, ale nie został wciągnięty do wielkiego procesu, który się skończył w roku 1845, i też nie zasiadał w pierwszym sejmie austriackim roku 1848/9. Natomiast po wprowadzeniu konstytucyi roku 1861 wszedł do sejmiku krajowego i do Izby poselskiej, gdzie niebawem stanął na czele Koła polskiego. Pamiętnego 2 marca 1867 roku był przeciwny obeszaniu Rady państwa bez zastrzeżenia, nie przyjął też mandatu do Izby poselskiej, do której jednak powrócił w roku następnym, występując gorliwie w obronie rezolucyi sejmowej. Gabinet centralistyczny wzbraniał się zakomunikować Radzie państwa rezolucyę, jako projekt rządowy, a gdy ją Koło polskie wniosło do Izby jako swój własny wniosek, centralistyczna większość kommissyi konstytucyjnej odrzuciła głośno dezyderata rezolucyi (29 marca 1870 roku), poczem Polacy pod dowództwem Grocholskiego opuścili salę posiedzeń. Przyspieszyło to upadek chwiejącego się już gabinetu lewicy, po którym 4 kwietnia hr. Alfred Potocki stanął u steru państwa. Podczas zbyt krótkich rządów hr. Potockiego, ze względu też na doniosłe współczesne zajście, Koło polskie nie ponowiło w Radzie Państwa żądania o urzeczywistnienie rezolucyi.

Gdy jednak nowy prezes gabinetu, hr. Hohenwart, w swej mowie programowej 20 lutego 1871 roku wypowiedział gotowość do rozszerzenia samorządu krajów, pomiędzy Kołem polskim a nowym gabinetem wywiązał się najprzyjaźniejszy stosunek. Po dłuższych poufnych rokowaniach, Grocholski 11 kwietnia 1871 roku przyjął urząd pierwszego ministra dla Galicyi, poczem 5 maja hr. Hohenwart wnosi projekt rządowy, dotyczący zmiany konstytucyi względem Galicyi, i to w kierunku, określonym rezolucyą. Większość centralistyczna odrzuca ten projekt, a z upadkiem gabinetu hr. Hohenwarta kończy się krótkie, sześciomiesięczne urzędowanie ministra Grocholskiego. Jednak w tym krótkim czasie nastąpiła zamiana Krakowskiego Towarzystwa przyjaciół nauk na Akademię Umiejętności, wprowadzenie języka polskiego do uniwersytetu lwowskiego, reorganizacja tamtejszej szkoły technicznej, uwolnienie fundacyi skarbkowskiej od obowiązku utrzymywania teatru niemieckiego, tudzież wiele pożądaných nominacyi.

Opuściwszy stanowisko ministra dla Galicyi, Grocholski stanął znowu na czele Koła Polskiego, i równie rozumnie kierował jego akcją operacyjną podczas rządów gabinetu lewicy (1871 — 1879), jak potem popierał rządy hr. Taaffego (od 1879 roku). „Jego właściwością i szczególnym przymiotem — zauważył hr. St. Tarnowski w nekrologu Grocholskiego — była, obok nieograniczonego poświęcenia i niezmordowanej pracy, doskonała, nadzwyczajna, rzec można, znajomość ludzi i rzeczy, znajomość tego, co otrzymać można, a co się otrzymać nie da; zmysł bystry i trafny w ocenieniu każdego zbiegu okoliczności, w rozpoznaniu, co on może dla nas przynieść, i w wydobyciu tej możliwej korzyści. Hr. Taaffe mawiał o nim, że to jest jedyny w Austrii przywódzca stronnictwa, z którym można rokować śmiało i pewnie, bo jeżeli on co w imieniu Koła polskiego obieca, to wie się z góry, że nietylko zechce, ale potrafi dotrzymać. I to było prawdą. Znał on Koło tak doskonale, że zawsze z góry wiedział, za co może ręczyć, i nigdy poza tę granicę obietnicą swoją nie przeszedł. Równie dobrze, jak Koło, znał i sytuację ogólną parlamentu, i każdą sprawę, która miała przejść pod obrady. Jakiej trzeba było niesłychanej pracowitości, żeby dojść do znajomości wszystkich przedmiotów ustawodawstwa, i w każdym mieć zdanie wyrobione i samodzielne! Była to jego wielka siła w parlamencie, jak i w stosunku do rządu. Z rządem znowu miał tą miarę szczęśliwą, że nie domagał się rzeczy niemożliwych, ale, jak raz żądanie postawił, to już od niego nie odstąpił. To samo stanowisko miał i u innych stronnictw parlamentarnych, a ze stało za nim pięćdziesiąt kilka pewnych zawsze głosów, więc był nieraz człowiekiem rozstrzygającym, od którego zależały losy wielu spraw, a nieraz losy ministerium! Zdarzyło nam się czytać już po śmierci Grocholskiego, że on nie był dobrym mówcą. Nie sądzimy, iżby to było prawdą. Istotnie, o formę swoich przemówień nie dbał: często przerywał, zatrzymywał się i namyślał, porywającym nie bywał, a czasem (choć rzadko) wpadał w *pathos* zbyt liczne i niemiłe. Ale argumentował i przekonywał doskonale; był w stopniu niezwykłym tem, co Anglicy zowią *debator*, a siła przekonania i siła rzetelnego uczucia dawała nieraz jego słowom charakter bardzo wysoki. Był to mówca dość nierówny, efektami stylu, czy błyskami wyobraźni nie lśnił, ale był niepospolity, do walczenia bardzo trudny mówca parlamentarny“.

Na czem zasadzało się znaczenie Grocholskiego? Czemu je wytlómaczyć? Na to pytanie autor nekrologu odpowiada: „dobra wiara, która w Grocholskim była, i która niewątpliwie stała się podstawą jego powagi w kraju i w Wiedniu, przez całe jego życie nie zachwiała się ani razu. To w krótkich słowach tajemnica jego zasługi...

Grocholski miał to szczęście ogólne, że ciągnął do siebie wszystkie nasze instynkta dobre, a gorszych nie raził. Nie miał ani wielkiego majątku, ani szumnego nazwiska, ani stosunków, czy upodobania w świetnem, światowem życiu (zwłaszcza zagranicznym). Bezdzietny, o swój majątek potrzebował troszczyć się tyle tylko, by go nie stracić, a to, jak z jednej strony zasłaniało go od podejrzeń, które na innych nieraz najniesłuszniej spadały, tak z drugiej pozwalało mu nie mieć żadnego zajęcia, prócz tego, jakie wynikało z jego stanowiska posła, a później prezesa Koła. Wdowiec, sam jeden w domu, i żadnym serdecznym związkiem w nim nie trzymany, był wolny od wszelkich obowiązków i, jak zakonnik swemu, tak on mógł oddać się wyłącznie parlamentarnemu życiu. To wszystko ułatwiło mu zadanie bardzo pod względem psychologicznym, bo nie narażało go na niechęci, i pod praktycznym, bo pozwalało mu się tylko jednego trzymać i jedno robić“...

Do silnego i trwałego ugruntowania w ustroju konstytucyjnym Austrii, stworzonego niby to doraźnie ministeryum dla Galicyi, które z początku budziło u jednych niechęć, u drugich zazdrość, więcej od Grocholskiego przyczynił się drugi minister dla Galicyi, Ziemiałkowski. Główna zasługa Grocholskiego spoczywała w tem, że za jego staraniem przyczynieniem się powstało ministeryum dla Galicyi. Zresztą najwybitniejszą rolę odegrał jako prezes Koła polskiego w Radzie Państwa, kierując nietylko akcją delegacyi galicyjskiej w sposób równie poważny, jak skuteczny, ale także wytwarzając stałe tradycye polityki parlamentarnej i wychowując sobie zdolnych następców. Od roku 1886 zaczął prezes Koła coraz częściej niedomagać, i był zmuszony ratować zdrowie pobytem w południowej strefie. Umarł 10 grudnia 1888 roku w Abbazyi.

---

W zawodzie publicznym drugiego ministra dla Galicyi Floryana Ziemiałkowskiego, r. 1868 rozgranicza dwie odmienne epoki: burzliwą i dramatyczną od wytrawnej i zapełnionej pożyteczną, praktyczną pracą. Urodzony 17 grud. 1817—o 7 lat później od Smolki—w Berezowicy w powiecie Tarnopolskim, uczęszczał do gimnazyum w Tarnopolu, na wszechnicę we Lwowie, gdzie 1840 uzyskał stopień doktora praw i niebawem został dyrektorem prawniczego fakultetu. Uwięziony za

udział w tajnej „radzie akademickiej“, po 3½ rocznem więzieniu r. 1845 skazany na śmierć, ale równocześnie ułaskawiony. W sejmie r. 1848 zwraca na siebie uwagę. Razem ze Smolką wchodzi do najważniejszej kommissyi sejmowej, wyznaczonej do ułożenia konstytucyi, i zdobywa sobie coraz powszechniejsze uznanie. Powróciwszy po rozbięciu sojuszu do Lwowa, już w maju wywieziony do Meranu na 10 miesięczny pobyt przymusowy. Wraca do Lwowa, nie otrzymuje przyzwolenia na praktykowanie adwokatury, przyjmuje posadę prawniczego konsultenta banku kredytowego. W 1861 wchodzi do nowo utworzonego sejmu do wydziału krajowego. Uwięzionego ponownie za udział w tajnem stowarzyszeniu roku 1863 sąd wojenny skazuje na 3 lata więzienia. Dostąpiwszy amnestyi w r. 1865, w następnym powraca do sejmu, jako poseł Stanisławowa.

Na początku r. 1867 Austria stanęła na rozdrożu. Hr. Belcredi, który, zawiesiwszy konstytucyę lutową, w zgodzie z federalistami zamierzał zwołać Radę Państwa „nadzwyczajną“, niejako Konstytuante, otrzymał dymisyę, a minister spraw zagranicznych, hr. Beust, 7 lutego stanął na czele gabinetu. Wezwał on natychmiast sejmy krajowe do wybrania delegacyi do Rady Państwa „zwyczajnej“. Już na zjeździe poufnym przywódców federalistycznych, który się odbył w lutym 1867 w Wiedniu, Ziemiałkowski otwarcie oświadczył, że sejm galicyjski obeśle radę państwa. Kiedy więc 2 marca na porządku dziennym sejmu krajowego stanęła kwestya: czy wybrać bez zastrzeżenia delegacyę do rady państwa zwyczajnej?—wpływ Ziemiałkowskiego, popartego przez marszałka krajowego, ks. Sapiehę, i namiestnika Gołuchowskiego, przechylił szalę zwycięstwa na stronę wybrania posłów. Większość składała się z 99 posłów, mniejszość z 34, należących po większej części do tak zw. stronnictwa krakowskiego, którzy jednak nie „uciekli na Pragę“, lecz lojalnie poddali się uchwale większości. Poza ową na pozór drobną kwestyą, czy wybrać posłów bez zastrzeżenia? ukrywała się głębsza: Czy trwonić siły na przeobrażenie Austrii, „pchać ją mimo jej woli do tego, co się nam jej zbawieniem wydaje, negocjować jej ustroj dopóty, dopóki ona naszego wymarzonego nie przyjmie ustroju, czekać, aż do naszej apteki domowej nie przyjdzie po medykamenta<sup>1)</sup>, czyli też, pamiętając o przysłowiu „nim słońce wszędzie rosa oczy wyje“, i licząc się z faktami, korzystać z danych okoliczności, aby polepszyć byt narodowy i rozszerzyć samorząd

---

1) Szujski „Dziela“ Serja III, t. I, str 342.

krajowy? Pierwsza metoda, którą wtedy najgłośniej zalecał znaczny Smolka, była niezawodnie świetniejsza, nawet olśniewająca, i dlatego też popularniejsza, ale nie zaręczała sukcesu. Ziemiałkowski poszedł drogą skromniejszą i mniej popularną, drogą, na której znacznie zbliżył się do celu. Hr. Beust nie tylko w depeszy do namiestnika Goluchowskiego był zagroził rozwiązaniem sejmu krajowego, gdyby wybrał posłów pod zastrzeżeniem, lecz także dodał, że w razie zaniechania zastrzeżenia, chętnie uwzględni umiarkowane życzenia. „Jakoż już 22 czerwca 1867 pojawił się dekret cesarski, zatwierdzający ustawę o polskim i rusińskim języku szkół ludowych, 25 czerwca dekret, zatwierdzający ustawę o samodzielnej galicyjskiej radzie szkolnej. Te rozporządzenia, dopełnione dekretem 4 czerwca 1869 uznającym język polski jako język władz państwowych w Galicji, będące bezpośrednim owocem uchwały sejmowej z 2 czerwca 1867 r., jakoteż mądrej taktyki koła polskiego pod wpływem Ziemiałkowskiego, tworzą do dziś dnia podstawę narodowego samorządu. Są to najświetniejsze pomniki skutecznej tego męża stanu czynności. Zaznaczyła się ona zresztą także dobitnie w kommissyi konstytucyjnej nowej Izby poselskiej, przy rewizyi konstytucyi lutowej z r. 1861. O ile bowiem nowa konstytucya, sankcyonowana przez cesarza 21-go grudnia 1867, zbliżyła się o wiele więcej do poglądów autonomicznych, niż Schmerlingowska, tudzież zabezpiecza wyraźnie równouprawienie narodowości (artykuł 19), jest to główna zasługa Ziemiałkowskiego, który w kommissyi konstytucyjnej swym wpływem przeprowadził to ulepszenie.

W maju r. 1867 prezydyum Izby poselskiej, później wybieralne, zawdzięczało jeszcze swój urząd nominacyi cesarskiej. Ziemiałkowski został wtedy wice-prezesem izby <sup>1)</sup>, później był nim obrany,

1) Hr. Beust w swych „Pamiętnikach“, tom II, str. 215, opowiada: „W roku 1867 zaproponowałem cesarzowi na wiceprezesa Izby p. Ziemiałkowskiego, który, jak wiedziałem, niesłusznie był wtrącony do więzienia i którego tą nominacją tak zrehabilitowałem, że później dostąpił urzędu ministra i tytułu barona. Gdy w r. 1867 ks. Napoleon zawitał do Wiednia, wydałem na jego cześć obiad, na który zaprosiłem posłów z różnych prowincyi. Jeszcze dziś widzę przed sobą księcia, obok niego ks. Grammonta (ambasadora francuskiego), którego w tych słowach prosiłem przedstawić p. Ziemiałkowskiego „Mr de Ziemiałkowski, condamné autrefois à mort; je pense que nous sommes en règle.“



aż w r. 1869 złożył mandat poselski. Usuwając się na kilka lat z głównego ogniska ruchu politycznego, przeciętny polityk łatwo się naraża na zapomnienie, a powracając później na widownię, spostrzega, że wszystkie miejsca zajęte.

Wybitnym mężom stanu kilka lat spędzonych na ustroniu nie przeszkadza wcale do odzyskania dawnego, a nawet do zdobycia większego wpływu. Reguła ta sprawdziła się w życiu dwóch sławnych ministrów: kardynała Richelieugo, i ks. Bismarcka. Także hr. Taaffemu epoka „wygnania“ pomiędzy r. 1870 a 1879, spędzona na posadzie namiestnika odległego Tyrolu, wiele się przysłużyła jako okres przygotowawczy do drugiej prezydentury gabinetu, która trwała lat 14! Ziemiałkowski po kilkoletnich, aby się tak wyrazić, rekolekcyach na urzędzie burmistrza Lwowa, dnia 21 kwietnia 1873 r. wstępuje jako minister dla Galicyi do gabinetu ks. Adolfa Auesrperga. Gabinet ten, utworzony w grudniu r. 1871 po upadku Hohenwarta, składał się z koryfeuszów stronnictwa liberalno-centralistycznego, a nadto na wiosnę r. 1873 zaostrzył konstytucyę w kierunku centralistycznym, wprowadzając bezpośrednio wybory. Nie było więc dla Ziemiałkowskiego łatwą rzeczą przyjąć ofiarowaną sobie tekę ministra dla Galicyi. Narażał się przedewszystkiem na namiętne zaczepki opozycyjnych dzienników krajowych. I tak „Gazeta narodowa“ dowodziła, że żadne stronnictwo nie upoważniło Ziemiałkowskiego do wstąpienia do gabinetu, i zapowiedziała, że Galicya zachowa się względem niego tak samo, jak Węgry względem swego kanclerza w gabinecie centralistycznym. Krakowski „Kraj“ poruszał pytanie, na co rządowi przyda się pozyskanie p. Z. „który stracił wszelki wpływ i nie cieszy się poparciem, ani kraju, ani sejmu?“ itd. Mniejsza o dzienniki, ale nawet w bardzo poważnych kołach wstąpienie Ziemiałkowskiego do gabinetu obudzało pewną niechęć, a zwłaszcza wątpliwość, czy zdoła wywiązać się z swego zadania? „C'est le sort habituel de ceux qui osent, de ne pouvoir compter sur la justice de leurs contemporains“, — zauważył Jules Ferry. Jeżeli się tak dzieje często, nie miej trafną jest uwaga dziejopisarza: „Ceux-là seuls, ont le droit

---

1) Urzędowy almanach członków rady Państwa wprowadzie jako datę nominacyi Ziemiałkowskiego ministrem podaje 21 maja, ale jest to omyłka. Nominacya nastąpiła 21 kwietnia, a już 23 kwietnia p. Z. zasiadł w izbie poselskiej na ławie ministrów.

de compter sur l'avenir, qui savent se dégager des erreurs et des préjugés du présent“.

Nie lekceważąc trudności, Ziemiałkowski zabrał się śmiało do ustalenia w ustroju konstytucyjnym Austrii owego ministerium dla Galicyi, które zjawilo się nagle w 1871, zdaniem dość rozpowszechnionem, jako instytucya efemeryczna. Pierwszy minister dla Galicyi nie miał ani nawet czasu zorganizować należycie swego biura: poprzestał na jednym sekretarzu. Ziemiałkowski przyjęcie takie uczynił zawisłem od tego, że każdy projekt rady ministrów, lub pojedynczych ministrów, dotyczący Galicyi, będzie mu przedtem przedstawiony, aby mógł o nim zdać opinię. Zorganizował też natychmiast poważne biuro, mianując radcę Filipa Zaleskiego, późniejszego namiestnika i ministra, swym szefem kancelaryi, a radcą zabranego z ratusza wawelskiego, p. Lidla, późniejszego wiceprezydenta namiestnictwa lwowskiego.

W pewnem zebraniu we Lwowie r. 1895, Ziemiałkowski skromnie oświadczył, że zadaniem jego w gabinecie jest strzedz kraju od szkody. Jednakże czynność jego przysporzyła krajowi także niejedną pozytywną korzyść. Z rzadką wytrwałością pozostał na swem stanowisku podczas rządów hr. Auersperga (do 1879), potem w przejściowym gabinecie Stremayera (1879 r.), nareszcie w gabinecie Taaffego, aż do października 1888 roku, ogółem piętnaście i pół lat. Dzięki tej wytrwałości i wybitnej pozycji, jaką sobie Ziemiałkowski umiał osobiście zapewnić w kilku z kolei gabinetach, ministerium dla Galicyi stało się instytucją niezależną od wszelkich przesilen. To jest główna zasługa drugiego ministra dla Galicyi.

Ustąpiwszy w roku 1888 i mianowany członkiem Izby Panów, p. Ziemiałkowski osiadł w Wiedniu, pomimo podeszłego wieku śledząc dotąd uważnie rozwój kierunków politycznych. W głównej rzeczy polityka galicyjska wytrwała na tej drodze praktycznej i utylitarnej, którą jej wskazał p. Ziemiałkowski w roku 1867-ym.

## II.

Z panem Julianem Dunajewskim świetnie wstępuje na widownię ogólnopolską drugie pokolenie polityków galicyjskich, wśród którego rejdą ekonomiści, — obok wymienionego, Jaworski, Biliński, Abrahamowicz i t. d., z najmłodszych Kozłowski, prof. Milewski itd. To drugie pokolenie nie przeżyło ani „szkoły“ konspiracyjnej, jak Smolka, Ziemiałkowski i Grocholski, ani zawieruchy rewolucyjnej r. 1848, nie uczestniczyło też w prawno-politycznych walkach o przeobrażenie monarchii pomiędzy 1860 a 1867 r. Jeżeli na pierwszym pokoleniu znać czasem ślady romantyzmu, to wśród drugiego przeważa realizm polityczny.

Pan Dunajewski do Izby poselskiej wstąpił dopiero na jesieni 1873 r., wskutek świeżo wprowadzonych wyborów bezpośrednich. W pierwszej mowie, wygłoszonej podczas rozpraw nad adresem 18 listopada, zastrzegł się przeciwko przywłaszczeniu sobie przez ówczesną lewicę nazwy stronnictwa „wierno-konstytucyjnego“, bo ta nazwa przysługuje wszystkim członkom Izby; „wszyscy złożyli przysięgę na konstytucję, może więc zachodzić tylko różnica zdania, co do pojedynczych szczegółów“. Jakoż od r. 1873 nie wywiązała się już więcej żadna walka o podstawy konstytucji. Gabinet Taaffego (1879—1893), w którym przez lat 10 dr. Dunajewski zajmował najwybitniejsze stanowiska i który opierał się na autonomistycznej większości parlamentarnej, ani razu nie wystąpił z projektem zmiany konstytucji z 1867 r. Chodziło o jej interpretację na korzyść poglądów i potrzeb autonomicznych, ale nie podawano w wątpliwość jej podstaw.

Urodzony 4 czerwca 1822 r. w Krakowie, jako syn naczelnika powiatowego, Julian Dunajewski uczęszczał do gimnazjum w Nowym Sączu, studia uniwersyteckie odbył w Wiedniu, Lwowie i Krakowie, w roku 1852 został docentem nauk politycznych na wszechnicy Jagiellońskiej, w r. 1860 profesorem rzeczywistym na wszechnicy lwowskiej, w roku następnym na jagiellońskiej, gdzie wykładał ekonomię polityczną i statystykę. Do sejmu krajowego wstąpił raz pierwszy w r. 1868, jako rektor wszechnicy. Wybrany w r. 1873 do Izby poselskiej, w krótkim czasie wymową i fachowymi wiadomościami na

połu ekonomicznem zwrócił na siebie uwagę, wszedł do komisyyi ekonomicznej i budżetowej, zabierał głos w najważniejszych kwestiach, zwłaszcza w sprawie odnowienia ugody finansowej z Węgrami 1877 r.

Do utworzonego w r. 1879 gabinetu hr. Taaffego p. Dunajewski wstąpił 26 czerwca 1880 r. Z żelazną energią podjął się zadania, które wtedy wydawało się równie trudnem, jak kwadratura koła, bo uporządkowania finansów austriackich i usunięcia chronicznego deficytu. Zaraz w pierwszej mowie, którą jako minister skarbu wygłosił Izbie 30 listopada 1880 r., p. Dunajewski dokładnie i wymownie wyłożył swój program. Przedewszystkiem wyrzekł się uroczyście wszelkiego zamiaru „kuracyi radykalnej“ (bankructwo, obniżenie procentu od długu państwowego itd.), których się używa dopiero wtedy, gdy stan pacjenta jest rozpaczliwy. Austria jednak, dodał, nie znajduje się bynajmniej w takim położeniu. W normalnych stosunkach niedobór usunąć można albo przez ograniczenie wydatków, albo przez zwiększenie dochodów. Znaczne ograniczenie wydatków mogło-by nastąpić przez niedotrzymanie zobowiązań państwowych albo przez zaniechanie wszelkich inwestycyi na podniesienie ogólnego dobrobytu, co sprawiło-by powszechną stagnacyę, albo przez zmniejszenie budżetu wojskowego (który notabene pomiędzy r. 1885 a 1888 znacznie się zwiększył). Rząd nie zamierza użyć żadnego z tych środków, pozostaje więc tylko zwiększenie dochodów państwowych. Niezachwiany ani namiętną opozycyą niemieckiej lewicy, ani szemraniem w szeregach większości parlamenatarnej, p. Dunajewski w ciągu lat ośmiu dokonał zamierzonego dzieła <sup>1)</sup>. Na posiedzeniu Izby 14 października 1888 r. mógł oświadczyć, że budżet zeszloroczny kończy się nadwyżką dochodów.

Budżet na r. 1880 wykazał, wydatków:	412,712,917 fl.
	dochodów: 399,995;774 fl.
	<hr/>
	deficytu: 12,717,143 fl.

Budżet na r. 1889 wykazał, wydatków:	538 345,786 fl.
	dochodów: 538,515,245 fl.
	<hr/>
	nadwyżki: 169,459 fl.

---

<sup>1)</sup> Szczegóły podaliśmy w artykułach „Czterolecie rządów hr. Taaffego“, „Biblioteka Warszawska“, w zeszytach z maja i czerwca 1883 r. tudzież

Prawica Izby przyjęła to oświadczenie przeciągłemi grzmiącemi oklaskami. Bardzo słusznie jeden z najpoważniejszych organów opinii publicznej kraju zauważył: „Wielki sukces święci dzisiaj p. Dunajewski. Po długich i wytrwałych poszukiwaniach, doszedł do rzeczy dotychczas nieznannej w Austrii, uważanej prawie za niepodobną—do równowagi w budżecie. Preliminarz na r. 1889 zapowiada nadwyżkę. Skoro p. D. konstatuje równowagę budżetu, możemy być pewni, że ona istotnie osiągniętą została. Preliminarze jego były zawsze trochę pesymistyczne, a zamknięcie rachunkowe i rezultat gospodarki finansowej dużo więcej od zapowiedzi pomyślne... Trudność miał ogromną, bo rządy jego padły na czas największych inwestycji: przychodziło pokrywać wydatki na Bośnię i Hercegowinę, żna budowę mnóstwa kolei, olbrzymie wydatki na wojsko... Mimo tego po 8 latach Dunajewski doszedł, do czego od samego początku zmierzał; jest to tylko dowodem, co może zdziałać silna wola, żelazna konsekwencya i rozumne kierowanie sprawą publiczną. Obecnie święci swój tryumf, a wszyscy we wszystkich prowincjach uznają, że w Austrii takiego ministra skarbu jeszcze nie było. Dla nas tem większa radość, że przynosi on chlubę imieniu polskiemu, i że wiemy doskonale, jak, mimo trudnego położenia ministra skarbu, dotychczas w każdej ważniejszej sprawie decydujące w kraju koła i czynniki udawały się do p. D. i że niejedno za jego sprawą zrobionem zostało na korzyść kraju.“

Jeżeli sobie przypomnimy, jakiej-to europejskiej sławy dostąpił Minghetti, gdy mu się powiodło w r. 1875 usunąć z budżetu włoskiego niedobór, który wkrótce potem powrócił równie wielki, i jeżeli zważymy, że ubiegłe stulecie rozpoczęło się w Austrii od bankructwa państwowego, a kończy się zrównoważonym budżetem; to niewątpliwie dzieło p. Dunajewskiego będziemy mogli nazwać jednym z najważniejszych i najdonioślejszych wypadków w dziejach monarchii XIX-go stulecia. Popularności wprawdzie nie zdobył, bo podwyższenie wywołuje zawsze niechęć w szerokich kołach, które chętnie zapominają o banalnej regule „pour faire une omelette il faut casser des oeufs“ i nie lubią myśleć o jutrze. Ale „położenie rzetelnej zasługi i przekazanie pięknej pamięci potomności—oto jedyny cel wyższego człowieka.“ Pierwszy Polak na urzędzie ministra skarbu celu tego dopiął w sposób świetniejszy, niż mogli się spodziewać nawet optymiści. Jeżeli zresztą systematyczne podwyższanie podat-

---

w artykule „Dziesięciolecie rządów hr. Taaffego,“ „Bibl. Warsz.“ zeszyt z grudnia 1889 r.

ków, jak w innych prowincjach, tak też w Galicyi, wywoływało często prądy opozycyjne i niekiedy napotykało na opór koła polskiego (jak podwyższenie podatku od okowity 1888); to utworzeniem tak zwanego długu indemnizacyjnego 100 mil. fl., p. Dunajewski w ostatnim roku swych rządów wyświadczył krajowi ogromną przysługę, usuwając wiszący nad jego głową i podkopujący kredyt krajowy jakby miecz Damoklesa.

Ustąpienie p. Dunajewskiego sprowadził ruch młodoczeski. Sukcesy bowiem, które młodoczesi odnieśli przy wyborach sejmowych r. 1889, przekonały hr. Taaffego, że w przyszłych ogólnych wyborach do Izby poselskiej rozbitą zostanie umiarkowana większość autonomiczna, która powstała w r. 1879. Usiłował więc zbliżyć się do Plenerowskiej lewicy niemieckiej, zapośredniczył w styczniu 1890 r. ugodę pomiędzy staroczechami a Niemcami i przyspieszył jeszcze ogólne wybory do Izby poselskiej. Nie zgadzając się na tę ewolucję, p. Dunajewski ustąpił 2 lutego 1891, odznaczony przez cesarza wielkim krzyżem orderu św. Stefana i mianowany członkiem Izby Panów. Były minister skarbu osiadł w Krakowie i odtąd już publicznie nie zabierał głosu w kwesjach państwowych, chociaż prywatnie nie szczędził rad i przedstawień.

---

Po Ziemiałkowskim ministrem dla Galicyi został p. Filip Zaleski (11 października 1888 roku). Odmiennie od swych poprzedników, p. Zaleski odbył wyłącznie urzędniczą karierę. Urodzony 20 września 1836 roku we Lwowie, studia prawnicze ukończył na wszechnicy wiedeńskiej w 1857 roku, poczem wstąpił do służby państwowej w namiestnictwie wiedeńskim. W roku 1861 przeniesiony do namiestnictwa we Lwowie, w roku 1871 radca namiestnictwa, w maju roku 1873 wezwany do biura ministra Ziemiałkowskiego, w roku 1878 delegat namiestnictwa w Krakowie, od roku 1879 wice-prezydent namiestnictwa we Lwowie, dnia 7 sierpnia 1883 roku mianowany namiestnikiem.

Później wspominano czasem o rozluźnionej za urzędowania namiestnika Zaleskiego machinie administracyjnej w Galicyi, którą miał dopiero ująć w należyte karby jego następca, hr. Kazimierz Badeni. Ale w chwili, kiedy p. Zaleski opuszczał swe stanowisko we

Lwowie, najpoważniejszy organ opinii publicznej w kraju oświadczał: „Nowy minister dla Galicji jest cennym nabytkiem dla gabinetu, ale nietylko dlatego, że będzie w jego składzie najzupełniej jednolitym i harmonijnym żywiołem, lecz przede wszystkim z tego powodu, że p. Zaleski posiada prawdziwe zdolności i rzadkie przymioty na to właśnie stanowisko. Znajomość stosunków, nadzwyczajna zdolność odnalezienia właściwych dróg i środków, nieporównana zręczność w działaniu, jaką w tym stopniu tylko wyjątkowo u ludzi publicznych spotkać można, sprawiają, że nowy minister może być dla gabinetu cennym nabytkiem, a dla kraju korzyścią i pożytkiem. P. Zaleski znajdzie niezawodnie sposób, jeśli zechce co przeprowadzić. Jego dobrej woli i najlepszych intencji dla kraju mamy liczne dowody, i niejedną położył już zasługę...”

P. Zaleski urząd ministra dla Galicji piastował aż do upadku Taaffego (12 listopada 1893 roku). Najważniejszą, nietylko ekonomiczną, ile moralną, zdobyczą kraju w tym peryodzie było umorzenie funduszu indemnizacyjnego. Sprawa ta ciągnęła się od blisko trzydziestu lat. Ów fundusz około stu milionów florenów, uważany przez pewne czynniki państwowe jako prosta zaliczka skarbu, a zatem, jako dług Galicji względem państwa, przygniatał stosunki ekonomiczne kraju, chociaż zapewne żaden rząd nie był-by się zabrał na seryo do ściągnięcia tego rzekomego „długu“. Dość że w maju roku 1890, po gruntownych rozprawach, w których p. Zaleski z urzędu wymownie i z zupełną znajomością rzeczy bronił praw kraju, Rada państwa uchwaliła projekt rządowy, zatwierdzający niewątpliwy fakt historyczny, że ów fundusz powstał nie z pożyczek, lecz z niezwrotnych subwencji dla włościan, i że zatem nie stanowi długu dla Galicji. Zasługą pomyselnego załatwienia tej drażliwej sprawy dzielą się: minister dla Galicji Zaleski, minister skarbu Dunajewski i Koło polskie.

Ustąpiwszy z gabinetem Taaffego, p. Zaleski, obdarzony już w roku 1883 godnością tajnego radcy, pozostał w Izbie poselskiej, wybrany 8 kwietnia na prezesa Koła, i wspierał gorliwie gabinet koalicyjny, a następnie hr. Badeniego. W październiku 1896 roku zrzekł się godności prezesa Koła, na którą ponownie powołany został Jaworski, a 24 marca 1897 roku został mianowany dożywotnim członkiem Izby Panów.

---

Następcą jego na urzędzie ministra dla Galicyi, p. Apolinary Jaworski, do sejmu i do Izby poselskiej wstąpił dopiero w roku 1870, a zatem pod sam koniec walk prawno-politycznych. Urodzony w 1825 roku w swym dziedzicznym majątku, studia prawnicze odbywał na wszechnicach lwowskiej i wiedeńskiej, w roku 1846 na krótki czas wstąpił do służby rządowej, następnie osiadł na roli, od roku 1868 był członkiem rady powiatowej złoczowskiej, w roku 1870 wielcy właściciele powiatu Złoczowskiego obdarzyli go mandatem do sejmu, skąd wybrany do Izby poselskiej, powoli zdobywał sobie wybitne stanowisko. Najchętniej zabierał głos w kwestyach ekonomicznych, zaznaczając w tym zakresie rozległe, nietyle teoretyczne, ile nabyte doświadczeniem, praktyczne wiadomości. Ale, choć nie rad mówił o wielkiej polityce, już wtedy myślał o niej najrozumniej, i odznaczał się trafnym zmysłem politycznym.

„Z uznaniem i poważaniem—czytamy w wybornych sylwetkach posłów naszych, ogłoszonych w Krakowie po wyborach 1879 roku — łączy się i sympatya naturalna i konieczna dla męskiej, śmiałej i prostej natury człowieka, który nie zawsze i nie każdemu powie wszystko, co myśli, ale nigdy nikomu nie powie co innego, jak myśli, u którego nikt nigdy nie widział żadnej *arrièrè-pensée*, który, czy powie tak, czy nie, to zawsze szczerze, bez ogródek, z głębi przekonania i stanowczo. W mowie i postępowaniu spokojny i cichy, temperamentem i uczuciem jest żywy, i kiedy zobaczy co krzywego, lub nieczystego, miewa oburzenie, które ludzi uczciwych tem bardziej dla niego ujmuje. Żywość ta wszakże w dyskusyi nigdy nie przechodzi w namiętność: drażniącym i wyzywającym, o ile wiemy, nie był nigdy.

„Oprócz tego wszystkiego jeszcze umysł ozdobny ogólnem wykształceniem, przystępny wrażeniom, Ignący z upodobaniem do wielu rzeczy, które z ekonomią i administracją nie mają nic wspólnego. Wychodząc z posiedzenia Kommissyi, na którym radził o drogach, zatrzyma się przed jakim pięknym kwiatem i będzie umiejętnie tłómaczył, jak go trzeba hodować; a wróciwszy do siebie, otworzy Horacego i na odpoczynek przeczyta sobie jaką satyrę. Jednego razu w sejmie p. Jaworski słuchał bardzo uważnie jakiejś mowy, której okres jeden kończył się łacińską cytacją z Cycerona, jak rzekł mówca. Słuchacz skoczył, jak gdyby go coś podrzuciło na ławie, sąsiedzi nie wiedzieli, o co się tak gniewa.— „Przecież to z Horacego!“ — była odpowiedź“...



Jako wiceprezes Koła polskiego, a potem jako zastępca Grocholskiego, złożonego w ostatnich latach chorobą, p. Jaworski zjednał sobie zupełne zaufanie kolegów, szacunek powszechny w parlamencie i nabył dokładnej znajomości i praktyki spraw i stosunków. Wybrany po śmierci Grocholskiego w grudniu 1888 roku na prezesa Koła, dzielnie dzierżył sztandar zaszczytnych tradycji. Nie zapominając nigdy o interesie państwa, zawsze był gotów stanąć mężnie w obronie praw, potrzeb i honoru kraju. Zawsze na swem miejscu, na narożnem krześle w pierwszym rzędzie pierwszego oddziału ław poselskich, na prawej stronie sali posiedzeń, zawsze z nateżoną uwagą przysłuchując się dyskusji, nie omieszkiał nigdy zabrać głosu w chwili odpowiedniej. Gdy na posiedzeniu 14 maja 1890 roku, podczas rozpraw nad umorzeniem galicyjskiego funduszu indemnizacyjnego, ze strony centralistycznej odezwały się tendencyjne głosy o stosunkach galicyjskich, prezes Jaworski w płomiennej improwizacji napiętnował praktykowany przez obcą biurokrację system wyzyskiwania Galicyi, która „stała się ziemią obiecaną zgrai z wszystkich prowincyi napływających tam biurokratów, którym chodziło jedynie o to, aby zrobić szybko karierę i aby się z bogacić“... Ta mowa p. Jaworskiego wywołała w Wiedniu ogromną wrzawę, w Izbie Panów niebawem b. minister Plener (starszy) tudzież znany dziejopisarz, Arneth, wystąpili w obronie dawnej biurokracji austriackiej, prasa niemiecka oskarżała p. Jaworskiego o zniewagę, wyrządzoną całemu stanowi urzędników państwowych. Co jednak nie przeszkodziło, że prezes Koła następnego roku (1 sierpnia 1891), otrzymał godność tajnego radcy.

Kiedy w lutym 1893 roku minister skarbu, Steinbach, następca Dunajewskiego, ni stąd, ni zowąd, aby schlebiać pewnym, rozpowszechnionym plotkom i przesądom, oskarżył Galicyę o systematyczny wstręt do płacenia podatków i o przechodzące w zwyczaj malwersacye podatków, znowu prezes Jaworski dobitnie zaprotestował. „Jako syn i poseł mego rodzinnego kraju—rzekł na posiedzeniu 23 lutego 1893 roku—muszę w imieniu moich kolegów stanowczo zastrzedz się przeciwko uogólnianiu pojedynczych wypadków malwersacyi, które się sporadycznie wydarzają w Galicyi, jak w każdej innej prowincyi, jako też przeciwko odczytywaniu tutaj bezimiennych raportów, które te malwersacye wystawiają, jako ulubiony zwyczaj galicyjski. Protestujemy stanowczo przeciwko tej zniewadze, wyrządzonej naszemu krajowi“. W kilka miesięcy po tem zajściu, p. Steinbach wyszedł do dymissyi, a p. Jaworski wstępował do gabinetu.

Kiedy w ogólnych wyborach 1891 roku radykalne stronnictwo młodoczeskie, zmiótszy z widowni Staroczechów, tem samem rozbiło

utworzoną w roku 1879 większość autonomiczną, wszyscy wytrawni mężowie stanu, Taaffe, Hohenwart, a naturalnie także p. Jaworski, zrozumieli konieczność szukania nowych dróg, aby zabezpieczyć prawidłową czynność parlamentarną. Hr. Taaffe, już ciężko chory, ulegając podszeptombiurokraty, a zarazem „socyalisty z katedry“, Steinbacha, przyswoił sobie niefortunny pomysł naprawienia stosunków parlamentarnych za pomocą wprowadzenia do ustaw wyborczych powszechnego głosowania. Odnośny projekt, zakomunikowany Izbie niespodzianie 10 października 1893 roku, wywołał natychmiast koalicję dawnych, zaciętych wrogów Hohenwarta i Plenera, w równej mierze niechętnych powszechnemu głosowaniu. P. Jaworski był-by chętnie zajął stanowisko pośredniczące, zadawałnając się cofnięciem owego projektu bez zmiany gabinetu. Skoro to stało się koniecznem, było rzeczą naturalną, że dwaj najwybitniejsi członkowie Koła polskiego, Jaworski i Madeyski, wstąpili do gabinetu koalicyjnego ks. Windischgraetza, utworzonego 11 listopada 1893 roku.

P. Jaworski przyjął tekę ministra dla Galicji, którą potem, po upadku gabinetu ks. Windischgraetza, piastował jeszcze w gabinecie przejściowym hr. Kielmannsegga, aż do nastania gabinetu hr. Badeniego, 29 września 1888 roku. W roku następnym ponownie wybrany na prezesa Koła polskiego, tak za rządów hr. Badeniego, jako też hr. Thuna i hr. Clarego, zajmował w Izbie poselskiej pierwsze miejsce le a d e r a większości parlamentarnej. Cesarz udawał się wprost do p. Jaworskiego, gdy pragnął przeprowadzenia tej, lub owej kombinacji w Radzie Państwa. Wobec potrzeby zaspokojenia przedewszystkiem tak zwanych „konieczności państwowych“, co nakazywała trzydziestoletnia tradycja Koła polskiego, w popularnej solidarności z opozycyjnym klubem młodoczeskim, zadanie p. Jaworskiego było często nadzwyczaj trudne, umiał jednak kierować sprawą tak, że Koło polskie wychodziło z tych ciężkich prób bez szwanku.

---

Obok p. Jaworskiego wstąpił do gabinetu koalicyjnego w roku 1893 p. Stanisław Madeyski, stając na czele najważniejszego wydziału oświecenia, którym kierował, niestety, bardzo krótko, ale jednak dość długo, aby silnie zaznaczyć swą niewątpliwą kompe-

tencję, i zjednać sobie szczere uznanie wszystkich nieuprzedzonych, a uprawnionych do sądu w tej mierze ludzi.

St. Poray-Madeyski urodził się w 1841 roku w Sieniawie. Studya gimnazyalne odbył w Rzeszowie, uniwersyteckie w Krakowie i Lwowie, gdzie, wstąpiwszy już w roku 1864 do służby sądowniczej, w roku 1866 uzyskał stopień doktora praw. W roku 1870, za rządów Potockiego, powołany do departamentu galicyjskiego w ministerjum sprawiedliwości, w roku 1862, po nastaniu gabinetu lewicy, powrócił do Galicji, przyjął posadę notaryusza w Liszkach, w roku 1875 w Brzesku, w roku 1879 został wybrany do Izby poselskiej. Tutaj wczesnie zwrócił na siebie uwagę, ale pierwszorzędne miejsce zdobył sobie w roku 1884, jako sprawozdawca o wniosku hr. Wurmbranda, domagającym się wprowadzenia niemieckiego języka państwowego. Jako sprawozdawca autonomicznej większości kommissyi, p. Madeyski złożył gruntowny, oparty na najpoważniejszych studyach zawikłanej kwestyi językowej w Austryi, raport; w ciągu odnośnych rozpraw w pełnej Izbie (w styczniu 1884 roku) wygłosił znakomitą mowę<sup>1)</sup>, następnie zaś owoc swych studyów o tej materji wypowiedział w wydaniem w języku niemieckim dziele: „Die deutsche Staatssprache“, które, obok dawniejszego dzieła profesora Gumpłowicza: „Die Nationalitäten-Frage“, zawiera najtrafniejsze teorye i wnioski w sprawie uporządkowania stosunków językowych w Austryi.

Mianowany tymczasem rzeczywistym profesorem prawa na wszechnicy jagiellońskiej, p. Madeyski także w sejmie krajowym zajął wybitne miejsce, wygłaszając słowem i piórem („Po sejmie“, 1885, „Nasza opozycja“, 1889, „Rachunek sumienia“, (1891) równie wytrawne, jak samodzielne, nie krępowane żadnemi formułkami stronnictw, poglądy polityczne. Zwracając się w rozprawie „Nasza opozycja“ przeciwko świeżo założonemu stronnictwu „postępowo-demokratycznemu“ (1889), p. Madeyski bardzo trafnie wykląda anormalność stosunków galicyjskich i konkluduje: „Gdzie polityka kraju tak jest z góry skrupowana, tam dla formacyi stronnictw politycznych nie wystarczają ani obce wzory, ani też formułki, lub hasła, z fantazyi politycznej wysnute“. Wykazawszy w przekonywający sposób niedorzeczność agitacyi „postępowo - demokratycznej“, zwłaszcza o ile się zwracała przeciwko Kołu polskiemu w Izbie poselskiej, p. Madeyski nie tai także pewnych wad w organizacyi stronnictwa konserwatywnego: „Jest coś, co wspólną pracę wszystkich tych posłów

1) Obszernie wyłożyliśmy tę sprawę w zeszycie marcowym 1884 roku „Biblioteki Warszawskiej“ pod tytułem: „Kwestya językowa w Austryi“.

(prawicy sejmu lwowskiego), nie powiem, tamuje, ale utrudnia, a tem są pewne partyjne uprzedzenia i wynikające stąd drażliwości. Nie wiem, skąd przyczepiło się do nas jakieś doktrynerstwo formułkowe, naturze polskiej tak zresztą przeciwne. Przekonań politycznych, tak, jak one kształtują się indywidualnie, nie da się nigdy określić całkowicie temi krótkimi, ogólnemi nazwami, których się zwykle w tym celu używa, jak: konserwatyzm, umiarkowanie i postęp. Nasze zaś nazwy partykularne, jak Stańczyk, Podolak, powstały z powodu chwili, i z natury swojej tak długo tylko miały rację bytu, jak długo trwały owej chwili polityczne warunki. Ale u nas mało się na to zważa. Lubimy, jak Niemcy, generalizować, jak Francuzi, przesadzać, jak Anglicy formę obracać w tradycję. I wskutek tego dochodzimy do tak bałamutnych zamieszkań, że każdego, kto się nazwie konserwatywnym, wolno uważać za prostego wsteczника; człowiek postępowy musi być koniecznie czerwonym radykałem; umiarkowany — to wszechstronny kokiet polityczny“...

Słowem, p. Madeyski nie pozwalał się wtłaczać w ciasne karby stronnictwa, a cóż dopiero koteryi,—wierzył raczej w hasło Dantego:

. . . . si cha te piu bello  
Averti fatta parte per te stesso:

To też nieraz mógł powiedzieć, jak Montaigne: „Je fus pelaudé à toutes mains, cru Gibelin j'estois Gwelfe, un Gwelfe Gibelin“, co mu nie przeszkadzało służyć najgorliwiej i skutecznie sprawie publicznej.

Od roku 1891, który tworzy przełom w wewnętrznej polityce austriackiej, p. Madeyski, obdarzony bystrym wzrokiem politycznym, tudzież trafnym zmysłem realistycznym, a nie krępowany formułkami koteryjnemi, dokładniej od wielu innych zrozumiał konieczność wytworzenia nowej konfiguracji parlamentarnej, jeżeli życie konstytucyjne nie ma uleść wykołajeniu. Kiedy nadto hr. Taaffe popełnił niejako samobójstwo polityczne, występując niespodzianie ze swym projektem reformy wyborczej, koalicja stronnictw umiarkowanych stała się jedynem wyjściem z najtrudniejszej sytuacji. Wstąpienie p. Madeyskiego do gabinetu ks. Windischgraelza (12 listopada 1893 roku)

---

<sup>1)</sup> . . . . . Więc chluba ci będzie  
Żeś był sam przez się stronnictwem dla siebie.

we wszystkich kołach poważnych witano radośnie. I tak naprzykład wytrawny kronikarz polityczny „Przeglądu Polskiego“ w zeszycie grudniowym 1893 roku pisze:

„Najtrudniejszym ze wszystkich jest, oczywiście, stanowisko ministra oświaty. Pierwszy raz, jak świat światem, jest nim Polak; pierwszy raz (?) od Leona Thuna, katolik, który się do swojej wiary i Kościoła przyznawać nie boi. Fakt to w Austrii dziwny, niespodziewany, i powód do niemalejsz otuchy. Koledzy p. Madeyskiego w uniwersytecie, w sejmie, nie jako posłowie tylko, ale jako członkowie tej samej grupy, wreszcie w redakcyi tego pisma, my przed innymi, mamy do tej otuchy prawo. Nie bez chluby też widzimy członka naszej redakcyi członkiem rządu; z większą to, że po raz drugi w ciągu lat niedługich rektor krakowskiego uniwersytetu powołany jest do steru spraw państwa. Zdolność nowego ministra znamy lepiej może od wielu, bośmy się jej zbliżka przyglądali, i wiemy dobrze, że wyjątkowo trudne musiały-by być zadania, którym-by ta zdolność nie podołała“.

Kronikarz przewiduje wielkie trudności, wynikające z charakteru p. Madeyskiego, jako Polaka i katolika. Tymczasem stąd nie wynikły żadne trudności, natomiast już w czerwcu roku 1895 runął gabinet koalicyjny, a z nim minister oświaty, Madeyski, z powodu drobniutkiej kwestyi gimnazjum słoweńskiego w Cylei, która nie miała żadnego związku z interesem polskim, lub katolickim, ale której zręcznie użyli zjednoczeni przeciwko gabinetowi ks. Windischgraetza biurokraci, którym szczerze parlamentarny gabinet był solą w oku, ambitni i zazdrośni kandydaci do tek ministrów, tudzież owe pospolite warcholstwo, które zupełną nieudolność do pozytywnej pracy politycznej zastępuje systematycznym obalaniem każdego gabinetu.

W ciągu kilkunastu miesięcy minister Madeyski nie mógł dokonać wielkich rzeczy w wydziale, który bardziej od innych wymaga nietylko niepospolitych zdolności, jakich nikt nie odmawiał b. rektorowi wszechnicy jagiellońskiej, ale także rutyny, jaką zdobywa się z czasem. Ze jednak ten minister miał najlepsze chęci i był-by się najchlubniej wywiązał ze swego zadania, gdyby było starczyło czasu, o tem świadczy świetna i pełna głębokich myśli mowa programowa, którą w toku rozpraw nad budżetem wygłosił 21 kwietnia 1894 roku w Izbie poselskiej. Mowa ta kończy się tak: „Sam egoizm nie powinien być sprężyną walk wewnętrznych, a samo prawo bez obowiązku nie może stanowić treści wolności. Może mi ktoś zarzuci idealizm. Ale sądzę, że jest rzeczą konieczną, aby do naszego życia publicznego wsiąkło jak najwięcej kropli idealizmu. Jeżeli państwo nie podoła swemu wielkiemu zadaniu, trzeba wytworzyć silne charaktery, które

powstaną tylko przy stanowczem obudzeniu świadomości obowiązku. Obowiązek idzie przed prawem! — to powinno być hasłem publicznego wychowania\*.

Ustąpiwszy z urzędu ministra (19 czerwca 1895 roku), p. Madeyski, obdarzony już przedtem godnością tajnego radcy, zajął znowu swe miejsce w szeregach Koła Polskiego. Podczas burz obstrukcyjnych w roku 1897, ostrzegał przed doraźnemi środkami, mianowicie przed fatalnym wnioskiem hr. Falkenhayna, który spowodził upadek gabinetu hr. Badeniego. Hr. Thun, krótko przed swem ustąpieniem, zwolennikom alliansu z Czechami quand même sprawił przyjemność, mianując p. Madeyskiego członkiem Izby Panów (24 września 1899 roku), a więc usuwając go z izby poselskiej. Ze swymi wyborcami pożegnał się p. Madeyski wydanem w formie broszury „Sprawozdaniem poselskiem“ (Kraków, 1899), które wprawdzie na dostojnego autora ściągnęło dziennikarskie pociski z dwóch odwrrotnych obozów, ale jednak zawiera bardzo głębokie prawdy, wypowiedziane w sam czas.

### III.

Gabinet koalicyjny dogorywał, gdy nagle i niespodzianie wybuchło przesilenie w gabinecie spólnym. Hr. Kalnoky, który urząd ministra spraw zagranicznych sprawował od 20 listopada 1891 roku, wskutek zatargu z prezesem gabinetu węgierskiego Banffym widział się zmuszonym ustąpić; następcą jego mianowany 16 maja 1895 hrabia Agenor Gołuchowski.

Urodzony 25 marca 1849 we Lwowie, pod okiem mądrego ojca otrzymał staranne wykształcenie i poświęcił się dyplomacji. W r. 1872 był sekretarzem ambasady austriacko-węgierskiej w Berlinie, od 1878 do 1880 pracował w ministryum spraw zagranicznych w Wiedniu, w r. 1883 jako radca legacyjny udał się do Paryża gdzie 1885 r. ożenił się z księżniczką Murat, w r. 1887 mianowany posłem austriacko-węgierskim u dworu rumuńskiego. Pod koniec 1893 ustąpił z tego urzędu i osiadł na swych dobrach w Galicyi, skąd cesarz powołał go na najwyższy urząd w monarchii.

W Wiedniu i Budapeszcie wybór ten wywołał przedewszystkiem ciekawość. Silniejsze wrażenie sprawił oczywiście w kraju. Powa-

zny głos wówczas odezwał się w ten sposób: „Następcą hr. Kalnokiego został hr. Agenor Goluchowski—oby wielkie zasługi ojca były dobrą wróżbą dla syna!”

Nominacya jego spotkała się z oceną rozmaitego rodzaju. Słuszność mieli ci, którzy wyrażali zadowolenie z nominacyi hr. Goluchowskiego, mylili się jednak ci, którzy wyciągali z niej daleko sięgające wnioski polityczne. Jest powód do zadowolenia: raz ze względu na tak sympatyczną i wiele obiecującą osobistość nowego ministra, ze względu na rzeczywistą wartość i zdolność, jaka w nim jest; powtóre ze względu na to, że każde takie mianowanie jest nowym dowodem znikania przesądów, zjakimi mieli do walczenia Polacy, i nowym dowodem uznania, jakie sobie zdobyli i zdobywają przez niezaprzeczonego rozum i wstrzemięźliwość polityczną. Każda taka nominacya jest holdem, oddanym naszej pracy nad nami samymi, a ten hold cieszy nas tem bardziej, że dotyczy osobistości, powtarzamy, tak sympatycznej i tak zdolnej, jak hr. Agenor Goluchowski. Z drugiej jednak strony nie widzimy żadnego powodu do wyciągania z tej nominacyi jakichś daleko sięgających wniosków na przyszłość. Hrabia Agenor Goluchowski nie może prowadzić na stanowisku, które zajmuje, innej polityki, jak politykę, że tak powiemy, beznarodowościową. Jeżeli już w polityce wewnętrznej potrzebuje każdy minister kierujący pewnego zręczenia się swojej narodowości na rzecz ogólnej idei austriackiej, to o ileż konieczniejszą jest taka polityka u kierownika polityki zagranicznej w Austryi! Hr. Agenor Goluchowski, który był i jest najlepszym Polakiem, pozostanie takim z pewnością i w przyszłości, ale będzie na swoim stanowisku miał widzieć swój obowiązek, którym jest dobro i interes monarchii. Objąwszy zaś raz i zaprzysięgłszy urząd, wypadnie mu spełnić ten obowiązek. Przeszłość hr. G. jest gwarancją, że go spełni i szczerze, i sumiennie.

I spełnia go rzeczywiście od lat 5, przy wzrastającym powszechnem uznaniu. Na parlamentarnej arenie nowo-mianowany minister wystąpił po raz pierwszy w kommissyi delegacyi węgierskiej 11 marca 1895, w kommissyi delegacyi austriackiej 17 czerwca. Treściwy wykład nowego ministra o ogólnej sytuacji i o swych zamiarach sprawił wtedy bardzo dobre wrażenie. To też obie delegacje nie odmówiły mu swego poparcia. Delegacya węgierska oświadczyła: „Ze szczerą sympatją wtórować będziemy usiłowaniom ministra, jeżeli zawsze w wyborze środków przeprowadzenia wyluszczonej polityki okaże się równie szczęśliwym, jak zajęte przezeń stanowisko zasadnicze jest słusznem“. Uchwala delegacyi austriackiej opowiada: „Witamy nowego ministra hr. Goluchowskiego z gorącą sympatją

i zapewniamy, że kontynuując pokojową politykę swego poprzednika, może liczyć na nasze zaufanie i gorliwe poparcie". Było więc votum zaufania z grzeczności, w zadatku, zawarunkowane. Teraz, po 5 latach, delegacja węgierska oświadcza, że „prowadzoną przez ministra spraw zagranicznych politykę, tak co do jej zasadniczego kierunku, jako też, co do jej politycznego wykonania, bez zastrzeżenia pochwała i za równie godne, jak skuteczne kierownictwo sprawami zagranicznymi wypowiada mu najgorętsze uznanie“; delegacja zaś austriacka „za zmierzającą zawsze do zachowania pokoju politykę i energiczne popieranie interesów handlowych, wyraża ministrowi spraw zagranicznych zaufanie i zupełne uznanie“ (w styczniu 1900 roku).

Zdobyć sobie takie zaufanie wszystkich poważnych parlamentarnych czynników monarchii nie było wcale rzeczą tak łatwą, jak to może wydaje się tym, którzy nie zastanawiają się głębiej nad wypadkami. W chwili kiedy hr. Gołuchowski stawał u steru państwa, niepokoiła gabinety kwestya, dziś zapomniana i usunięta na bok przez inne kwestye, ale wówczas bardzo poważna, czasem groźna; potem nastal nagle zwrot w polityce bułgarskiej, z kolei wybuchła wojna grecko-turecka i zaostrzyło się napięcie w wewnętrznych stosunkach Serbii. To wszystko silniej oddziaływało na Austro-Węgry, niż na inne państwa. Przebyć te wszystkie fazy szczęśliwie, nie spuszczać z oka głównego zadania: zachowania trójprzymierza, jako rękojmi pokoju, a przytem utrzymania przyjaźnych stosunków z Rosyją, celem zażegnania wszelkich przewrotów na półwyspie bałkańskim, na to potrzeba było wiele rozważań, wytrwałości i dyplomatycznej zręczności. Zwłaszcza, że oplakane stosunki wewnętrzne ciągle osłabiały akcyę ministra spraw zagranicznych. Podczas jego niespełna pięcioletniego urzędowania z kolei upadły gabinety: Windischgraezta i hr. Kielmansegga (1895), hr. Badeniego (1897), barona Gautscha (1898), hr. Thuna (1899), hr. Clarego (1899) w Austrii, gabinet Banffego w Węgrzech, a wtórowały tym przesileniom niesłychane burze parlamentarne, które czasem wstrząsały podwalinami monarchii, grożąc jej rozpadnięciem się na dwie lub nawet więcej odrębnych części. Ministrowi spraw zagranicznych, według austriacko-węgierskiej konstytucyi z r. 1867, nie wolno mieszać się do spraw wewnętrznych, ani jednej, ani drugiej połowy państwa. Ale każdy niepomysłny zwrot w jednej lub drugiej utrudnia jego zadanie. Wszakże w ubiegłym roku groziła nawet ewentualność, że Rada państwa nie dokona wyboru delegacyi austriackiej, że zatem najwyższy spólny, parlamentarny trybunał monarchii nie zbierze się wcale! Że pomimo tego powaga monarchii na zewnątrz nie ucierpiała, jest to ogromna zasługa hr. Gołu-



chowskiego. Stwierdzając to, jesteśmy dalecy od podawania w wątpliwość decydującego właśnie na tem polu wpływu sędziwego cesarza. Ale każdy minister może w szczegółach albo ułatwić, albo też znacznie utrudnić zamiary cesarza. Widzimy to najwyraźniej na polu polityki wewnętrznej. Tensam cesarz, który na urzędzie ministra spraw zagranicznych hr. Andraszego utrzymał 8 lat (byłby go utrzymał dłużej, gdyby sam minister nie był domagał się dymissyi), i który utrzymał na tymże urzędzie hr. Kalnokiego przez lat 14, obstając przy określonej marszrucie dyplomatycznej, widzi się zmuszonym do nieustannych zmian w zakresie polityki wewnętrznej, tak, że już w modę wchodzą gabinety... kwartalne! Wystarczy rozważyć to, aby zrozumieć, że hr. Gołuchowski zaskarbił sobie osobiście bardzo znaczne zasługi.

Wśród kolegów i współpracowników na szachownicy dyplomatycznej zjednał sobie zaufanie i szacunek zupełną szczerością i otwartością. Wielkiemu mistrzowi Talleyrandowi przypisują aforyzm, że słowa są nam (zwłaszcza dyplomatom) na to dane, aby ukrywać myśli. Ale już nasz Warszawicki przed wiekami radził dyplomatom „nigdy nie kłamać, bo na tem prawie wszyscy poznać się umieją; dyssymulować trzeba często, ale nigdy nie podawać rzeczy wątpliwych za pewne, fałszywych za prawdziwe, prawdopodobnych za stwierdzone“. I tak też jeden z rzadkich uczeiwych pruskich mężów stanu, kanclerz hr. Caprivi, oświadczył raz w sejmie niemieckim: „Nie potrzeba zawsze wygłaszać wszystkiego, co się myśli, ale też nie trzeba rano wstawać z zamiarem okłamania kogoś“. Hr. Gołuchowski nie czyni tego, mówi zawsze prawdę, znajduje przeto powszechną wiarę. A że z tą zaletą łączy przyrodzoną uprzejmość, zyczliwość i cierpliwość, którą nazwano największą cnotą mężów stanu; zagraniczna polityka austriacko-węgierska idzie spokojnie, prostą drogą, bez zgrzytu, hałasu, gróźb i pobrzękiwania pałaszem, — jak to się dzieje tu i owdzie!

Dziś, po 5 latach, w Austro-Węgrzech wszystkie dojrzałe koła polityczne, bez różnicy narodowości i stronnictw politycznych, uznają, że wybór cesarza w r. 1895 był najtrafniejszy.

Najdramatyczniejszy epizod w dziejach Austrii konstytucyjnej stanowią krótkie rządy hr. Kazimierza Badeniego, a raczej druga ich część, bo pierwsza nie zapowiadała wcale tak burzliwego końca. Urodzony 14 października 1846 w Suchorowie, odbył studia prawnicze na wszechnicy jagiellońskiej, wcześniej wstąpił do służby państwowej, był z kolei starostą w Żółkwi i Rzeszowie, w r. 1879 został radcą dworu i namiestnikiem w Krakowie, w r. 1886 usunął się od służby państwowej, aby zarządzać swym majątkiem Busk. W sejmie krajowym, w którym także ojciec jego zajmował bardzo wybitne miejsce, hrabia Kazimierz Badeni wcześniej zwrócił na siebie uwagę. Po zamianowaniu p. Zaleskiego ministrem, (w październiku 1888) hr. Badeni został namiestnikiem Galicji, witany przez kraj z wielkimi nadziejami. Jakoż niebawem czuć było we wszystkich gałęziach zarządu krajowego energiczne i świadome celu kierownictwo. Galicja wtedy uważana była za najlepiej rządzoną prowincję państwa. Sam cesarz, bawiąc w Galicji we wrześniu 1893, podczas przyjęcia szlachty w Jarosławiu, głównie pochwalił znakomitą administrację hrabiego Badeniego. Świetny sukces wystawy krajowej (1894 r.), tworzył niejako szczyt tego pierwszego okresu publicznej czynności namiestnika.

Jeszcze za rządów hr. Taaffego dość powszechnie w hr. Badenim widziano jego następcę. Gdy hr. Taaffe nagle upadł w listopadzie 1892 r., tak hr. Badeni, jako też namiestnik Czech, hr. Thun, zostali wezwani przez cesarza na poufne narady; stanęło wtedy jednak na tem, że prezydenci nowego gabinetu koalicyjnego nie obejmie żaden z nich, lecz stojący po nad stronnictwami ks. Alfred Windischgraetz. Dopiero po upadku tego gabinetu i po krótkich prowizorycznych rządach hr. Kielmannsegga, 30 września 1895 r. przyszedł do skutku gabinet Badeniego, odszczególnionego z powodu odwołania z urzędu namiestnika Galicji nadzwyczaj pochlebnem pismem odręcznem cesarza. W izbie poselskiej gabinet przedstawił się 22 października 1895 r., hr. Badeni w mowie programowej oświadczył, że rząd wobec stronnictw zamierza pozostać niezależnym, to znaczy, nie krepować się programem żadnego z nich. Wogóle gabinet hr. Badeniego w październiku 1895 roku doznał zewsząd przychylniejszego przyjęcia, niż którykolwiek dawniejszy. Zdawało się, że nareszcie powstał znowu rząd trwały, który zdoła utrzymać się równie długo u steru, jak Taaffe.

Potrzeba było zbiegu różnych nadzwyczajnych kwestyi, jak sprawa wyboru Luegera burmistrzem Wiednia, roznamiętniająca ludność tutejszą; pozostawiona w zawieszeniu reforma wyborcza, tudzież odnowienie handlowej i celnej ugody z Węgrami, aby zakłócić początkową harmonię i utrudnić pozycję gabinetu. Jednak sessye zimowe Rady Państwa 1895/96 i 1896/97 minęły zadawalająco. Rząd przeprowadził reformę wyborczą, tudzież kilka ważnych projektów natury finansowej. To też na zakończenie kadencji wybranej 1891 Izby, minister Biliński w imieniu gabinetu na ostatniem posiedzeniu 20 stycznia 1897 wystawił Izbie świadectwo, że dokonała ważnych rzeczy, wywiązała się chlubnie z zadania swego i zasłużyła sobie na nazwę „wielkiego parlamentu“.

Dopiero z pojawieniem się na widowni (27 marca 1897) świeżo wybranej na podstawie znacznie rozszerzonego prawa wyborczego Izby rozpoczyna się okres gwałtonych zaburzeń i przewrotów, i to na tle dziwnie zmieszanych i skomplikowanych nieświadomo-warcholskich dążeń nowych posłów (socjalistów etc.), rekryminacji niemiecko - narodowych z powodu wydanych 5 kwietnia rozporządzeń językowych dla Czech, tudzież ekonomicznych niechęci i rywalizacji w kwestyi ugody z Węgrami. Rozpoczynają się obstrukcye i bójk i w parlamencie, posiedzenia potworne, przedłużane bez przerwy, aż do 25 godzin, i napaści na prezydium Izby, doraźna zmiana regulaminu i wprowadzenie żandarmów do sali posiedzeń, zbiegowiska uliczne, poczem 28 listopada 1897 nastaje dymissya hr. Badeniego.

Ponieważ nie jest naszym zamiarem pisać panegiryku, powiemy szczerze, że hr. Badeni w tymokresie popełnił 3 błędy: pierwszym było wydanie znanych rozporządzeń językowych dla Czech, które ostatecznie, przyczyniwszy się do wywołania strasznego zamieszania, musiały być cofnięte (17 października 1899); drugim był pojedynek z Wolffem (25 września 1879), bardzo dramatyczny, psychologicznie łatwy do wytłómaczenia, który jednak osłabił polityczną pozycję prezesa gabinetu, ujawniając pewną uczuciowość i brak zupełnie zimnej krwi, niezbędnej kierownikom państwa w tak nadzwyczajnych okolicznościach; trzecim było doraźne uchwalenie, wbrew przepisom konstytucyi, zmiany regulaminu (wniosek hr. Falkenhayna, 25 listopada), stanowiące naruszenie ścisłej legalności i wywołujące także po drugiej stronie opór i przekroczenie granic legalności. Który jednak minister jest nieomylny i któryż zwłaszcza w Austrii nie popełnił grubszych błędów? Wobec dawniejszych wielkich zasług hrabiego Badeniego, wobec jego uczciwych zamiarów, poszczególnego zawarcia z rządem węgierskim traktatu, zabezpieczającego całość monarchii, owe błędy nie mogą mocno zaciężyć na szali. To też nie tylko cesarz,

dając mu dymisyę, uczynił to w najpochlebniejszych dla ustępującego męża stanu wyrazach, ale także w opinii stronnictw powoli dokonywa się widoczny zwrot w sądach o hr. Badenim. W kołach prawicy zaczynają żałować, że nie wspierano go gorliwiej, w kołach lewicy świta domysł, że może nie było mądrą rzeczą wysilać się głównie na obalenie ministra, który nie żywił żadnego uprzedzenia do Niemców, lecz był gotów uwzględnić wszystkie uprawnione życzenia.

Rekollekcyę hr. Gołuchowskiego po ustąpieniu z urzędu „ministra stanu“, aż do ponownego objęcia gubernatorstwa Galicyi trwały 6 lat. Kto zdoła przewidzieć, jak długo potrwać przymusowe wakacye hr. Kazim. Badeniego w czasach, niezbyt bogatych w prawdziwie zdolnych i doświadczonych mężów stanu?

Urząd ministra skarbu w gabinecie hr. Badeniego przyjął Leon Biliński, mąż, który, jako profesor, pisarz naukowy, parlamentarzysta, a w końcu urzędnik, zajmował już pierwszorzędne stanowisko. Urodzony 15 czerwca 1847 w Zaleszczykach, stopień doktora praw uzyskał na wszechnicy lwowskiej 1867 r. i wstąpił do służby w namiestnictwie lwowskiem. Równocześnie jako docent prywatny rozpoczął wykłady ekonomii politycznej w tamtejszym uniwersytecie. W r. 1871 został nadzwyczajnym, w r. 1874 rzeczywistym profesorem, w r. 1879 sprawował urząd rektora. W szeregu dzieł naukowych, które wydał częścią w polskim, częścią niemieckim języku, najważniejszem jest „System ekonomii politycznej“ (Lwów, 1876 r.). W rozprawie: „O istocie rozwoju i obecnym stanie socjalizmu“ (Kraków; 1883) p. Biliński, jak większa część ekonomistów tego okresu w Austryi i Niemczech, zbliża się do teoryi tak zw. „socjalizmu z katedry.“

Wstąpiwszy w r. 1875 do centralnego komitetu galicyjskiego towarzystwa agronomicznego, przez 8 lat pełnił obowiązki referenta o podatkach i kolejach żelaznych. W r. 1880 został wybrany do lwowskiej Rady miejskiej, w której był referentem o sprawach budżetowych i podatkowych. Na jego wniosek Rada wprowadziła postępowy podatek od pomieszczeń. Wybrany w marcu 1883 r. do Izby poselskiej, niebawem zajął w niej wybitne miejsce, funkcyonu-

jąc jako generalny referent w budżecie i zabierając głos w najważniejszych kwestjach ekonomicznych. Gdy na wiosnę 1891 r. zebrała się nowo-wybrana izba poselska, p. Biliński, jako referent kommissyi adresowej, przedstawił projekt adresu, który usuwał na bok kwestye polityczne, a wskazywał konieczność przeprowadzenia różnych reform ekonomicznych i socyalnych. Jednakże stronnictwa nie mogły się wtedy zgodzić na żaden udział. Niebawem p. B. usunął się z Izby poselskiej, przyjmując 7 stycznia 1892 r. urząd generalnego dyrektora kolei państwowych, który bardzo pomyślnie sprawował przez blisko 4 lata.

Dnia 30 września 1895 wstąpił, jako minister skarbu, do gabinetu hr. Badeniego, pełniąc tymczasowo także obowiązek ministra dla Galicyi. D. 12 grudnia nowy minister skarbu rozwinął w parlamencie szeroko obmyślany program reform podatkowych przy znacznem podwyższeniu płacy urzędników. Równocześnie sekcję kolei państwowych zamienił w samodzielne ministeryum, na którego czele w początkach następnego roku stanął generał Gutenberg. Już w maju 1896 rozpoczął z rządem węgierskim układy celem odnowienia austro-węgierskiego traktatu handlowego, i przeprowadził te układy w sposób pomyślny. Burze parlamentarne poprzednich lat przeszkodziły parlamentarnemu załatwieniu tej ważnej sprawy, uporządkowanej ostatecznie pod koniec 1899 za pomocą rozporządzeń.

Ustąpiwszy z hr. Badenim 30 listopada 1897 roku, p. Biliński zasiadł znowu na swem dawnem miejscu na ławach posłów polskich, 32 marca następnego roku w miejsce p. Jędrzejewicza został wybrany wice-prezesa koła polskiego i obok p. Jaworskiego zajmuje najwybitniejszą pozycję w parlamencie.

---

Ministrem dla Galicyi w gabinecie hr. Badeniego od 19 stycznia 1896 r. był Edward Rittner, który wprawdzie piastował także mandat poselski od 1880 do 1890, i nieraz zabierał w Izbie głos w sprawach fachowych, wybitniejsze jednak miejsce zajął jako profesor i urzędnik. Urodzony w grudniu w Bursztynie, jako syn lekarza wojskowego, skończywszy studia uniwersyteckie, wstąpił do służby państwowej we Lwowie, a równocześnie, jako docent wykładał prawo

kościelne na tamtejszej wszechnicy. W r. 1874 mianowany nadzwyczajnym, w r. 1877 rzeczywistym profesorem. W 1885 r. wezwany do ministerjum oświecenia, w roku następnym został hofratem, a w r. 1891 szefem sekcji wyznań i uniwersytetów. Jako taki, w listopadzie 1893 przedstawiał urzędników tego ministerjum nowemu ministrowi oświecenia, Madeyskiemu, i witał go przemową gorącą. Otrzymaawszy w 1894 godność tajnego radcy, w gabinecie przejściowym hr. Kiełmannsegg (od 19 czerwca do 30 września 1895) był kierownikiem ministerjum oświecenia. Napisał po polsku mnóstwo cennych rozpraw treści kościelno-politycznej, po niemiecku dzieło o „austryackiem prawie małżeńskiem“ (Lipsk, 1876), uważane za klasyczne. W gabinecie hr. Badeniego wytrwał do końca. Umarł w Kietzingu pod Wiedniem 26 września 1899 r. „Jako mówca parlamentarny odznaczał się jasnością i ścisłością argumentacyi, szlachetnością ujmowania zagadnień, przy czem tylko niedostateczne zdrowie nie dozwoliło mu zyskać tego szerokiego wpływu i uznania, które się czystości jego duszy i jasności umysłu w tak wysokim stopniu należały“ (profesor Milewski w nekrologu R.). Rektor wszechnicy lwowskiej, profesor Abraham, przy otwarciu ostatniego semestru, wspominając o zgonie Rittnera, powiedział: „Ta strata nas przede wszystkim najbardziej dotyczy i nas przede wszystkim okryła żałobą, bo do naszej najbliższej należał rodziny i między nami a nim najserdeczniejsze istniały węzły. Długoletni profesor tej szkoły i jej rektor, był jej blaskiem i prawdziwą ozdobą, był obrońcą jej praw i orędownikiem jej potrzeb, aż do zgonu. Był to wielki uczony i prawdziwy mąż stanu.“ Równie zaszczytne wspomnienie poświęcił mu marszałek krajowy, hr. Stanisław Badeni, mówiąc w sejmie: „Edward Rittner, znakomity prawnik i uczony, umysł wytworny, obdarzony niezwykle zdolnościami, talentem i wybitnym zmysłem politycznym. Na każdym stanowisku, na którym pracował, oddawał krajowi znakomite usługi, a żal głęboki powszechny, jaki towarzyszył jego śmierci, wykazuje, jakie znaczenie i jakie nadzieje przywiązywaliśmy wszyscy do usług, które krajowi byłby jeszcze i w przyszłości oddać mógł.“

W gabinecie przejściowym barona Gautscha, utworzonym po dymisji hr. Badeniego, gdy Koło polskie wzbraniało się zezwolić na wstąpienie jednego ze swych członków do gabinetu, tekę ministra dla Galicyi przyjął 16 grudnia 1897 roku baron *Herman Loebel*, Polak, pomimo niemieckiego nazwiska. Urodzony w grudniu 1835 roku w Drohobyczu, studia gimnazyalne odbywał w Samborze, uniwersyteckie we Lwowie, a w roku 1883 otrzymał godność zastępcy namiestnika. Równocześnie z zamianowaniem hr. Badeniego namiestnikiem Galicyi (1888), p. Loebel został powołany na urząd namiestnika Morawii, który sprawował bardzo roztropnie aż do 1 października 1893 roku. Z okazji wystąpienia ze służby państwowej otrzymał tytuł barona i osiadł we Lwowie. Jego powołanie do gabinetu doznało w kraju przychylnego przyjęcia, skoro jednak gabinet barona Gautscha ustąpił już 7 marca 1898 roku, p. Loebel, mimo najlepszych chęci, nie mógł sobie, jako minister, zaskarbić nowych zasług. Ustępując z tego urzędu, został mianowany członkiem Izby Panów.

---

Z kolei po urzędniku znowu obejmuje urząd ministra dla Galicyi „parlamentarzysta”—p. *Adam Jędrzejewicz*. Urodzony 17 grudnia 1847 roku, studia prawnicze odbywał w Krakowie i Wiedniu, stopień doktora uzyskał 1870 roku, w dwa lata potem wstąpił do służby państwowej w namiestnictwie lwowskim, w roku 1876 przeszedł do ministerium rolnictwa, w roku 1878 opuszcza służbę państwową wskutek tragicznego pojedynku, w którym zastrzelił przeciwnika, i przebywa dłuższy czas za granicą. Od roku 1883 zasiadał w sejmie krajowym, jako poseł gmin włościańskich powiatu Rzeszowskiego, gdzie posiada majątek; do Izby poselskiej wszedł na wiosnę roku 1891. Dnia 8 kwietnia roku 1894 wybrany na wiceprezesa Koła polskiego (przeciwko hr. Pinińskiemu), w dwa dni potem energicznie odpiera zuchwałą napaść d-ra Edwarda Gregra na Koło Polskie, dnia 26 stycznia 1898 roku w rozprawach nad adresem sejmu lwowskiego wygłasza ważną, programową mowę, 7 marca wstępuje

do gabinetu hr. Thuna. Podczas kilkunastomiesięcznych rządów hr. Thuna, parlament prawie zawsze miał wakacje, uchwały Rady Państwa zastępowały rozporządzenia ministerjalne, na podstawie paragrafu 14. Minister Jędrzejewicz nie miał zatem sposobności do rozwinięcia intensywnej czynności parlamentarnej, ale pozostawał zawsze w najściślejszych związkach z Kołem Polskiem. Ustąpił razem z baronem Thunem 1 października 1899 roku. Jest zresztą dosyć młodym, aby odegrać jeszcze wybitną rolę.

Ciekawy typ ministra, z dziennikarza i literata nie rzadki we Francyi i Anglii, ale nieznanym w Austrii, przedstawia 9 z kolei minister i na teraz ostatni minister dla Galicyi, dr Kazimierz Chłędowski (mianowany 1 października 1899). Urodzony w Równem (w Jasielskiem) r. 1843, na akademię uczęszczał w Krakowie. Napisał już wtedy powieść historyczną „Zygmunt Korybut“, drukowaną w „Bibliotece Warszawskiej“ 1864. Po złożeniu doktoratu 1867 r. wstąpił do tamtejszej prokuratury skarbu, a w kilka miesięcy potem przeniósł się do namiestnictwa we Lwowie, gdzie przetrwał lat 12. Ogłaszał w tym czasie pod pseudonimem Kruka felietony satyryczne w krakowskim „Kraju“ p. t. „Album fotograficzne“ (1870), pisywał kronikę w „Gazecie Narodowej“ ogłosił cały szereg powieści: „Skrupuły“, „Ella“, „Po nitce do kłębka“, „Królowa Bona“, „Państwo Kuropatowscy“, „Maksymilian Ossoliński“, „Z krótkiego żywota“, „Dwa pokolenia“, „Wojna z fircykiem“, i „Zwierciadło głupstwa“; następnie studia o Fredrze, „Dwie wizyty w Anglii“ które uważa za najcenniejszy plód swego pióra, „Listy z północnej Francyi“, „Szkice z Włoch“, „Z pod Wezuwiusza“, „Alpy“, „Sztuka współczesna i jej kierunek“, tudzież liczne rozprawy treści ekonomicznej, rozsiane po czasopismach. Wezwany w styczniu 1881 r. przez Ziemiańskiego jako radca do ministerjum dla Galicyi, pod nawałem pracy urzędniczej przestał pisać, ale podczas wakacji zwiedzał systematycznie całą Europę. O mandat poselski nigdy się nie ubiegał, nie szukał reklamy. Aż do chwili jego zamianowania ministrem żaden dziennik o nim nie wspomniał, gdy z pewnemi nazwiskami ambitnych kandydatów spotykamy się nieustannie w dziennikach! Że posiada zmysł trafny polityczny, świadczy uwaga, którą niedawno temu



wypowiedział w interviewie z pewnym korespondentem lwowskim, że „Polacy powołani są w Austryi do tego, aby być wśród stronnictw owych języckiem u wagi, który szalę powinien przechylić zawsze tam, gdzie tego wymaga wzmocnienie dynastji i państwa, że taka jest piękna i zaszczytna tradycja naszych mężów stanu, że uważa za najwłaściwsze, abyśmy się nie angażowali zanadto“. Zgadza się to zupełnie z następującem zdaniem, które pierwszy minister dla Galicyi, Grocholski, wypowiedział w kole w r. 1879, gdy na porządku dziennym obrad stanęła kwestya utworzenia ówczesnej prawicy: „Kolo polskie jest przede wszystkim reprezentacją narodową. Może kolo wchodzić w sojusze w celu osiągnięcia pewnych konkretnych i praktycznych celów. Lecz przywiązywać los polityczny narodu polskiego do losów jakiegokolwiek partji politycznej, lub jakiegokolwiek bądź narodu, tego kolu uczynić nie wolno.“<sup>1)</sup>

---

„Czas ten był tak nędzny, że z pomiędzy uczonych ci uchodzili za najzręczniejszych, którzy umieli najlepiej wywoływać kłótnie (brouilleries), a kłótnie były tak namiętne, i tak mało było trwałości w sprawach publicznych, że ministrowie zmuszeni byli myśleć więcej o środkach swego zabezpieczenia, niż o środkach zabezpieczenia państwa“ — zauważył kierujący minister i kardynał Richelieu, na wstępie swego zawodu publicznego. Potem dodaje: „Celui qui occupe l'emploi (ministra) doit savoir que les grands hommes qu'on met au gouvernement des Etats sont comme ceux qu'on condamne au supplice avec cette différence seulement, que ceux-ci reçoivent la peine de leurs fautes et les autres de leurs mérites!“ Uwaga ta stosuje się doskonale do terażniejszych stosunków austriackich, gdy zważymy, że w ciągu trzech miesięcy, od października 1899 r. do stycznia 1900, nastąpiły aż trzy gabinety: hr. Clarego, d-ra Witteka i d-ra Koerbera! W tym ostatnim urząd ministra dla Galicyi przyjął poseł Leonard Piętał.

Urodzony 24 lutego 1841 w Przemyślu, odbył tamże studia gimnazyalne, w r. 1867 uzyskał stopień doktora praw na wszechnicy lwowskiej, wstąpił do służby państwowej, do r. 1869 wykładał rów-

---

<sup>1)</sup> Porównaj: „Sprawozdanie poselskie“, Exc. St. Madeyskiego, Kraków, 1899, str. 13.

nocześnie na tejsze wszechnicy prawo handlowe i wekslowe, w r. 1870 został profesorem nadzwyczajnym, w r. 1876 rzeczywistym, od r. 1886 zasiadał takze w radzie miejskiej. Do izby poselskiej wstapil dopiero r. 1893, wybrany 5 pazdziernika we Lwowie w miejsce Smolki jako kandydat wszystkich stronniectw umiarkowanych przeciwko kandydatowi radykalnemu, redaktorowi Rewakowiczowi. W izbie poselskiej dotad nie mial sposobnosci wystapic wybitniej, ale w kole polskiem w krótkim czasie zjednal sobie powszechne uznanie. Dnia 20 pazdziernika 1899 roku zostal wybrany na wice-prezesa Izby, dnia 19 stycznia r. b. mianowany ministrem dla Galicyi, w miejsce p. Chledowskiego.

Nowy minister nie nalezal do zadnego ze stronniectw krajowych. Wstapiwszy do sejmu lwowskiego, jako rektor wszechnicy, a wiec na jedna tylko sesyje, zasiadl w klubie lewicy. Zaliczano go wtedy do „demokratow“. Mandatu poselskiego do Rady Państwa dostapil, jak wspomnieliśmy, jako kandydat stronniectw umiarkowanych przeciwko radykalnemu. W kole polskiem „maszerowal na skrzydle konserwatywnem“.

Nie oznacza to nic innego, tylko ze popieral gabinet hr. Thuna, jak gabinet hr. Badeniego, i zyczyl sobie utrzymania wiekszosci „autonomicznej“. Niepodobna dotad ocenic jego zdolnosci politycznych.

Mowia niektorzy, ze nie nalezy do rzędu polityków, torujacych nowe drogi, jak naprzyklad Ziemiałkowski. Powiedziano tez o nim: „Politykiem zimnym nie jest, powoduje sie czesto uczuciem i sympatjami w polityce: umie bardzo kochac i bardzo nie nawidziec. To zwykle nie ulatwia zadan politycznych.“ Inni utrzymuja: „Jest to raczej [charakter, niz zdolnosc“. Nie ulega jednak watpliwosci, ze nowy minister cieszy sie ogolna sympatya i uznaniem swej nieskazitelnej uczciwosci. A wiec: „Szczescie Boze.“

E. LIPNICKI.

---

# Wrażenia literackie.<sup>1)</sup>

---

## O „czującym wiedzeniu“ Żeromskiego.

„...Z czasem wszystko, co stanowi samo malowidło, szczególną rozwiewność barw, rysunek figur i pejzażu, prostotę środków i całą jakby fabułę utworu, przywalały inne rzeczy i zostało tylko ezujące wiedzenie o czemś nad wszelki wyraz bolesnem.“

„Ludzie Bezdumni“, t. I, str. 25.

...Nie wiem kiedy i na którym mianowicie zakręcie drogi przestałem sobie zdawać sprawę z tego, gdzie jestem. Przejmujący strachbył mi przewodnikiem: szedłem, bo ból iść kazał, a im dalej szedłem, tem ból stawał się nieznośniejszym. Dygotały członki moje, choć czułem gorączkę i spieczenie ust—Drżałem, z ohydą stawiając

---

1) Stefan Żeromski „Ludzie Bezdumni“, powieść — Warszawa Nakł. Br. Natansona, 1900.

każdy krok, gdyż grunt pod nogami był ślizki i grzązki.—Stopy moje kurczowo odtrącały się od jakichś okropnych węzowisk, oczy z tęsknotą szukały kształtu w oparach kłębiących się dokoła.

Może to był labirynt grot podziemnych, bez wyjścia i bez nadziei, może dno jakiejś olbrzymiej huczającej i bałwaniącej się wody?

Nie mogłem badać ni rozumieć, gdyż niosło mię naprzód jedno dziwnej mocy wrażenie—Jak polip objęło mnie wrażenie to w nieludzkie sploty i przywarło wszystkimi ssawkami do piersi mojej, ssąc z niej wszelką moc.

Nie wiedziałem również czy w mózgu moim, czy w grocie podziemnej, czy na dnie huczającej fali dzieje się rzecz niesłychana.—Oto z węzowisk, syczących krwią i łzami, brudne i kipiące zrazu strugi tryskały do góry i teżały w bólu, gdzieś, wysoko w koralowy krzew sturamienny—tryskały łzy gorące—i, ponad korałem krwi, ścinały się w najczystszy kryształ stalaktytów. W nieśmiertelnej chwale piękna spływała po nich smętna światłość duszy, która była sklepieniem tego świata. Może w pamięci mojej, która się stała nagle czującym wiedzeniem życia, a może wśród tych koralów krwi i stalaktytów leż błękały się rozbite mary drogich istot, łkały znajome twarze.

Z głębin nieznanych patrzyły ku mnie bezbrzeżnie tęskne, obłąkane oczy—oczy, które czytały w tym labiryncie mar i twarzy powieść skazańców życia...

W zbołałem ludzkim sercu, w sercu śmiertelnie chorem na ból bez nazwy, na skór nieuleczalnej żałoby, przekrwione w męce serdecznej włókna stężały w krzew koralu, wylane łzy, ścięły się w kryształ najczystszy. Wejdźcie do świątyni tego serca, nim bić przestanie, nie rozsiadajcie się na grobowcach jego, ale wsłuchajcie się tu, jak huczy nad niem ogromne morze życia, jak ono drży boleśnie pod ciemsem fali.

A gdy przejmie was „czujące wiedzenie“ tego serca do głębi, patrzcie dla ilu istnień rozbitych, bólów bez nazwy, łkań niewyłkanych jest ono żyjącym grobem.

Jest ono także portem miłości dla żywych, mających dość silną duszę do żeglugi—przeciw nadziei.

Czem jest powyższy urywek w stosunku do „Ludzi bezdomnych“ Żeromskiego? Jest że to naprawdę próba krytyki, streszczenie, wyjątek z powieści tej?

A czem jest w stosunku do przejmującego nas do głębi wzruszenia, wyrzynająca się z bólem z pod powieki łza? Jest że streszczeniem, czy wyjątkiem wzruszenia? Jest-li wogóle jakim rozumnym jego njęciem?

I łza najczystsza, i mętny urywek powyższy są tylko pierwszym odruchem duszy czy zmysłów na wrażenie, niczem więcej. Po między wrażeniem a odruchem stoi cały człowiek — przyzmat mniej lub więcej koszlawo załamujący promień...

Otarłszy łzę, opanowawszy pierwszy odruch wrażenia, można o niem mówić dalej, samo ono wszakże, istota jego nie wiele się przez to wyświetli. Może tylko to, czego się nie udało udzielić innym w ujęciu bezpośrednim, uda się udzielić przez rozumowania i opisy.

Otóż, zdaniem mojem, powieść Żeromskiego, przyniosła dwie głębokie i godne rozważenia prawdy. Jedna z nich rzuca światło na autora „Ludzi bezdomnych“. Można przy świetle tem widzieć także dusze pokrewne mu, cierpiące i pasujące się z życiem w niższych i najniższych kręgach istnienia ludzkiego.

Drugą prawdę przynosi sam utwór, rozważany jako całość artystyczna, jako nowa forma w sztuce powieściowej. Mniemam, że i tu światło tej prawdy oświeci drogę innym indywidualnościom artystycznym, łamiącym się z formą, to jest z najwłaściwszym wyrazem swej indywidualności, na rozmaitych szczeblach sztuki.

Nasamprzód jednak nim zacznę swym „entuzjazmem“ na nowo obrażać zwolenników „bezstronnej“ krytyki—spróbuję skreślić coś w rodzaju planu „Ludzi bezdomnych“—Będzie to, jak wszelki plan, rzecz umówiona, bezduszna, służąca li tylko dla oryentowania się w bogactwie tej duszy.

Nawiasem mówiąc taki „plan“ utworu jest niestety zbyt często utożsamiany z istotą krytyki—mianowicie przez ludzi, którzy cierpią na chroniczną potrzebę obiektywizmu. O nich to mądry pewien Francuz powiedział: „Ils se croient très libres d'esprit, parce qu'ils nesont solidement attachés à rien“...

W „Ludziach bezdomnych“ Żeromski chciał dać naszą, rodzimą wersję nędzy życiowej, która gdzieindziej powołała do życia obrazy „Nędzników“, powieści Dickensa, wizye i cierpienia Dostojewskiego. W tym celu obrał sobie autor za bohatera utworu, pewnego lekarza, Tomasza Judyma. Młody lekarz „nizkiego“ pochodzenia, po skończeniu medycyny w Paryżu zjeżdża do kraju. Początkowo stara się (bezsukcesyjnie) o praktykę w Warszawie. Tu styka się z rozmaitemi postaciami nędzy we własnej rodzinie (rzemieślniczej), na mieście itd. Następnie przenosi się doktor Judym na prowincję do miejscowości leczniczej, gdzie w dalszym ciągu uzupełnia swoją, iż tak rzekę, erudycję w rzeczach niedoli ludzkiej. Tu również kosztuje nieco rozkoszy życia i umiłowuje pracę i kobietę. Kobieta jest panna Joanna, wrażliwa i inteligentna dziewczyna, nauczycielka. Doświadczenie jej serca jest niejako dalszym ciągiem doświadczeń Judyma.

Tymczasem i w Cisowie nie udaje się Judymowi utrwalić swego losu—wygania go stamtąd fatalna siła przekonań, która stawia go w lecznicy w położeniu ibsenowskiego „wroga ludu“. Judym trafem przenosi się w okolice kopalni węgla, znowu próbuje ustalenia losu i znowu staje wobec bezlitośnego „dajmonion“ własnych przekonań, które nakazuje mu oddać się całkowicie sprawie bezdomnych.

Tu zrywa Judym ostatnią nić szczęścia, narzeczeństwo z panną Joanną.

Sam na sam chce zostać z zadaniem swego życia—i zostaje. Zresztą źle mówię „zrywa“, „chce“ „zostaje“. Judym jest bohaterem swych losów mniej więcej w tym stopniu, w jakim retorta jest rodnikiem związku, który w niej powstaje. „Dajmonion“ Judyma, owo dziwne fatum duszy ludzkiej, wyrażające się naraz w uczuciach, przekonaniach, prądach czasu, bezlitośnie gna go w kierunku sobie wiadomym.

Judym zaś ma tyle właśnie świadomości ile jej ma człowiek w krwawym pocie, w męce trudu ziszczający dzieło własnego przeznaczenia, na które od czasu do czasu tylko z najmroczniejszych głębin duszy pada światło jasnowidzenia przyszłości. Ale to należy już właściwie do charakterystyki utworu.

Wyobraźmy sobie tragicznego a ukochanego człowieka, który spotyka się z nami w jakiejś niezmiernie ważnej, decydującej chwili własnego życia.

Jutro może spełnią się jego losy — ale teraz, tymczasem w nocnej rozmowie, tak, jak przybył z drogi, człowiek ten opowiada nam dzieje swojego życia. Przedziwny tok mają takie opowiadania, jak bardzo niepodobny do spokojnych, szeroko i płynnie rozwijających się opowieści zawodowych opowiadaczy!

Czasu mało — noc minie — błysnie wkrótce ranek przeznaczenia. Tymczasem ten kochany, ten brat opowiada. Oto opowiada prawie spokojnie rzecz „od początku“ jak przyjechał, jak się urządził, jak zaczął żyć z ludzmi... Nagle przerywa ten porządną tok: „Bo trzeba wam wiedzieć“ — i maluje jakiś szczegół z dzieciństwa, który teraz, w jasnowidzeniu całości życia, wydaje mu się niesłychanie ważnym. Potem znowu idą epizody jeden po drugim, i znowu zrywa się, biegnie, przynosi jakiś kwiat czy list i pokazuje, jak relikwie przeszłości. Niektórych rzeczy wcale nie mówi — nastają chwile głębokiego milczenia. Te chwile — to wewnętrzne rozpalanie się gorączki. Chodząc i siadając, zrywając się i zamierając z osłupiałemi oczyma opowiada tak człowiek dzieje swoje życia. I oto jedna po drugiej stają nam w wyobraźni perspektywy tych dziejów! To, co tam latami się spełniało — wiąże się w tej gorączkowej, przerywanej westchnieniem rozmowie, w jedną wizję całości. Po godzinie wiemy więcej, niż nam potem opowiedzą wszyscy biografowie razem wzięci w porządnym, systematycznym, chronologicznym i planowym biografiach tego człowieka.

Punktem wyjścia kompozycji „Ludzi bezdomnych“ jest także właśnie improwizowanie treści życia w jasnowidzeniu jej. Szerokie obrazy, długie lata, całe sfery społeczne przesuwają się tu jakby nasiąknięte żywą barwą, stylizowane tła. A oto nagle zapala się jeden krótki jak błyskawica moment jasnowidzenia: „Ta łza co z oczu twoich spływa“... i jawną się staje tajna treść obrazów: życie jedną błyskawicą uczucia postąpiło o cały nowy krąg męki dalej. Z pozoru można-by powieść Żeromskiego wziąć za cykl nowel, związanych pewną myślą przewodnią, za rodzaj albumu, zawierającego wiązanek szkiców o pokrewnych motywach.

Jednakże to nie jest album, ani cykl nowel. Rzuca autor obraz po obrazie: oto „Judym w stolicy świata, wśród precudnych rzeźb

i małowidel, pod stopami jego huczy Paryż, przy jego boku stoi kuszenie, upowite w rozkoszny kształt pięknej polskiej dziewczyny. A w Judywie zgrzyta i nurtuje dajmonion — noworodek: ostre poczucie swej własnej „chamskości“ Oto Judym w rodzinem mieście w „starej budzie“, w Warszawie; przesuwają się przed oczami jego ulice Krochmalna, Ciepła — czarny tłum ludzki, własna w tym tłumie zatracona rodzina, wnętrza fabryk, wnętrza sklepików. Oto zgromadzenie lekarzy i jałowa prelekcya Judyma, i bardziej jeszcze jałowa od niej dyskusysa. Nagle po tych trzech rozdziałach, całkiem porządnym rozdziałach powieściowych, następuje taka nieokreślona, nieprzewidziana w zwyczajnym szyku powieściowym rzecz — krótkie, skoncentrowane wezbranie liryczne ni to Judyma, ni to autora p. t. „Smutek“ Niby to Judymowi smutno, niby ten „smutek“ jest ostatecznym osadem przeszłych wrażeń. Ale odtąd przy dalszych rozdziałach, choć mowy o smutku nie będzie, będzie on drgał w nastroju, jak drga wysoko napięty ton w szeregu późniejszej idących tonów średnich. I znowu wśród normalnych jakby obrazów dalszego toku opisujących nam praktykę Judyma, wyjazd na prowincyę — ukazuje się nagle rzecz pod tytułem „Swawolny Dyzio“. Judym jedzie koleją, potem końmi i ni stąd, ni z owąd płacze mu się pod nogami taki przedziwny swawolny Dyzio, swojski, pokazujący język matce, ściągający pasażerom z nóg buty itd. Co to jest? Powiastka do „Wieczorów rodzinnych“ o niegrzecznym chłopczyku?

Nie, to jest niezrównany „pech“ ludzki, taki dobry w tej postaci „swawolnego Dyzia“, jak i w każdej innej.

I znowu płyną dni krzątania się i urządzania się Judyma w Ciśach. Odnalazł Judym uroczę panny, które poznał w Paryżu, zasklepiły się w nim powoli bolesne obrażenia. Judym pragnie szczęścia w ten sam normalny, prosty sposób, jakby go pragnął każdy, kiedy wiosna rozkwita, kiedy żyć się chce i warto. I znowu daje tu autor precydujny akord wiosennych pragnień w kilkunastu wierszowym urywku poezyi prozą p. t. „Przyjdz.“

Grom daleki, grom wiosenny przebrzmiał nad sadem. W czystem powietrzu drżały radośnie młodziutkie, chciwe światła listki. Jaśniał wysoko błękit nieba, „Judym siedział u otwartego okna w swoim mieszkaniu.

„Płonał od głębokiej radości. W pewnych sekundach wznosiły się w jego sercu jakieś tchnienia uczuć, podobne do tych, co kołysały wierzchołki drzew. Wówczas na jego usta wybiegały dźwięki pieszczotliwe, a zapalające, jakby z ognia. Mówił niemi do drzew wielkich, domłodych krzewów, do jaskółek szybujących wysoko nad szczytami po świetlistej odchłani... Tajemnicza radość pociągala wzrok je-



go ku końcowi alei, a serce ulatywało z głębi piersi, jak zapach. Na coś niesłychanego czekał, na przyjście czyjeś.“

Czyż nie jest cudna ta improwizacya liryczna?

Czy się nie czuje w tem krążeniu wiosennych soków, które tak samo krążą w odwiecznym pniu, jak w młodej duszy ludzkiej?

I oto na owo „Przyjdź“ wiosenne, jak kielich przeczystego kwiecia, rozchyła się dusza dziewicza — następuje rzecz p. t. „Zwierzenia“, zawierająca dziennik Joasi, nauczycielki. Dziennik, będący jednym z najpiękniejszych utworów Żeromskiego, przynosi w tej rozstrazonej powieści gałęź oliwną, tchnienie dalekiego, czystego, możliwego w życiu szczęścia. „O jasne kwiaty mojej doliny...“ kończy swą spowieć Joasia — „O jasne kwiaty mojej doliny“ — kończy tom pierwszy autor. Potem z doliny zejdziemy na padół.

Nie mogę nużyć dalej analizą kompozycyi „Ludzi bezdomnych.“ Jest to utwór pisany nie według zwyczajnej formy powieściowej, narracyjnej. — Jest to improwizacya obrazów przeplatana wezbraniem duszy. Jest to jakby wizya wszystkiego na raz, co mieści się w polu widzenia pewnego nastroju — w różnych odsłonieniach perspektyw, w różnych grupach społecznych. Na obrazy te, miejscami nasycone żywą barwą, miejscami pełne wrażliwej się w mózg siły symbolów, pada, jakby z wysokości, jasność czującego serca. Z poza kart improwizacyi świecą, patrzą zadumane oczy poety, który obrazy te, symbole, dusze i twarze objął w ramiona i — nawet ukazując je ludziom — nie umie już, nie może rozstać się z niemi.

Ażeby zaś zrozumieć dokładnie na czem tu polega ten nierozdzielny związek poety i utworu, porzućmy na razie kompozycję i przejdźmy do stylu autora.

„*We wzroku tej dziewczyny było coś, jakby zimny, niepolyskujący blask księżycy, kiedy nad senną ziemią tarcza jego we mgłach się kryje.*“

„*Każdy bystry ruch nogi wysmukłych pańien był, jak drgnienie muzyczne.*“

„*Z dziedzińców, drzwi, nawet ze starych dachów krytych blachą lub cegłą, wychylały się twarze chore, chude, długonose, zielone, moregowate i patrzyły oczy krwawe, ciekące, albo zubożniałe na wszystko w niedoli, oczy, które w smutku wiecznym śnią o śmierci.*“ „*Judyń szedł prędko, mrużąc coś do siebie. Mury, o kolorze zakurzonego grynszpanu, albo jakiejś zrudziałej czerwonoci niby pstre ubłocone gulgany nasunęły mu się przed oczy.*“ „*Cała ta banda (dzieci), sprawiła wrażenie śmieci podwórza, czy zeschniętych liści, które wiatr miota z miejsca na miejsce.*“ — „*Zdawało się, że nędzne okna, za któremi kryje się ubóstwo, to jakby znużone oczy chorego domu.*“ — „*Tra-*

wy obumierały i *dobrotliwy* zapach lewkonii *konal*, nie mogąc zwyciężyć ludzkiego zaduchu.— „Czarne *ranami* odkryte *ściany* dygotały jakby z „wiecznego *bólu*.”— „Brzmiał *dźwięk* *mętny* — niby *akord* *gasnący* w przestrzeni“ — „Przy *ścianie* *midziła* się stara *sofa* obita *czemś* wzorzystem“.

A oto wreszcie przepyszny opis pracy robotników we wnętrzu fabryki—pracy automatycznej, mechanicznie dokładnej. Jedna z robotnic zalepia lakiem paczki z tytuniem:

„Zamknięte oczy po każdym małym ruchu głowy otwierały się, gdy trzeba było przylepić lakiem różek papieru. Wtedy te oczy, spoglądając na płomyk gazowy, błyskały jednostajnie. Na spalonych, brzydkich, żydowskich wargach, co pewien czas *lkał* *mileczący* *uśmiech*. *Błysk* *pracowitych* *oczu* i *ten* *uśmiech* wraz z całą czynnością przypominały szalony ruch koła maszyny, na którego obwodzie *coś* w *pewnem* *miejscu* *migota*, jak płomyczek świecący“. Gdy zaś raz ta maszyna-człowiek, omyliła się w ruchu, druga spojrzała na nią takim wzrokiem, jakim *patrzec* *by* *mogło* *chyba* *koło* *trybowe* na drugie koło, gdyby tamto w biegu stanęło.“

Sądę, że żaden z piszących dziś naszych literatów nie użyłtytu t. zw. przenośni. „Przenośnia“ dla tych, wyżej przytoczonych zadziwiających zestawień rzeczy *martwych* z *żyjącymi*, jest zresztą określeniem zbyt ogólnikowem. Tu chodzi o coś bardziej silnego.

Pachnące barwy, kolorowe tony, czujące glazy, chore ściany, patrzące maszyny, dobrotliwe zapachy—spłatały się tu nie jako luźne porównania, lecz poprostu wsiąkły, przenikły nawzajem jedne drugie, w stylu tym czuć jedno: oto wszystko, na czem spoczęły oczy artysty—artysta nasycił, że tak powiem, sobą. Można-by powiedzieć że on nie patrzy, nie słucha, nie wacha, nie dotyka, lecz wprost *nasiąka* sam każdą rzeczą z otoczenia i każdą rzecz—*nasyc*a sobą. Wytwarza to przedziwny jakiś *indywidualizowany* *animizm* wszechrzeczy. Artysta tu nie rzeźbi nie maluje, nie gra, lecz nadludzkiem wysiłkiem wylania niemal zmysłowe, substancjonalne byty z własnego mózgu. To musi być aż bolesne. Twierdzili ongi okultyści, że myśli, przy ogromnem wytężeniu mózgu, przybierają substancjonalną formę larw, jakby mglawiczek, obłoczków, odrywających się od mózgu w kształcie pomyslanej rzeczy i nasiąkniętych błędym oparem krwi... Tu, w tym bolesnie czułym animizmie Żeromskiego, odbywa się podobne jakieś misterium.

Streścimy teraz wywody dotyczące prawdy, którą przyniósł naszej sztuce powieściowej utwór Żeromskiego.

Utwór ten bardzo śmiało, bardzo wyraźnie przeciwstawił powieści *narracyjnej* — powieść *nastrojową*; zaś z rodzajem kompozycyi, w której punktem osiowym jest nie *kolej i rozwój wypadków*, lecz *nastroj uczuciowy artysty* — z rodzajem tym zespolił się i język — ów niesłychanie nasiąknięty bezpośrednim odczuciem animizm słowa.

Ponieważ lubimy licytować się w nowościach artystycznych, pośpieszam z góry zastrzedz się co do rozumienia nowości „Ludzi bezdomnych.“ Przed laty trzydziestu, analogiczny styl kompozycyi i języka w literaturze francuskiej wprowadzili bracia de Goncourt. Zresztą, nie wynaleźli go również, tylko zapożyczyli od poezyi i jedynie, że tak powiem, przełożyli na język prozy. Ten sposób kompozycyi i mowy wszechzmysłowej nazwano wówczas „écriture nerveuse, écriture artiste“.

Odtąd, inowacya obiegła cały świat literacki i powołała do życia jeszcze dalej idące, samodzielne emancypacje powieści niemieckiej, duńskiej, skandynawskiej. Tak zwane „dziwactwa“ Maeterlincków, Ibsenów, Hansunów, Strindbergów itp. — w tem wyzwoleniu autora od szablonu powieści narracyjnej, w tem wyzwoleniu języka od opisowości obiektywnej — mają źródło głębsze niż sądzimy. U nas wreszcie, w postaci naśladownictwa (Przybyszewski), styl ten zrobił wrażenie niesłychanej „nowości“. Choć w prozie poetyckiej i w poezyi naszych wielkich romantyków były już wszystkie drogi tego odnowienia wskazane.

„Czujące wiedzenie“ Żeromskiego, zastępujące w rzeczach pewnej kategorii t. z. plastykę i malowniczość słowa, jest wyrazem coraz wyższego napięcia strun duszy ludzkiej.

„W umyśle budzą się skojarzenia, które milczą, chociaż istnieją, podobnie, jak dźwięk w nateżonych strunach“. Milczą do czasu, aż potężnieją w akord twórczy — wówczas zaś wyrażają się z mocą w formie, którą same sobie stwarzają. I otóż tyle właśnie jest prawdy artystycznej w „Ludziach bezdomnych“, ile ta forma kompozycyi i stylu zawiera jej w sobie dla *pewnych uzbrań duszy* i ile szczere, bezpośrednie nie pozerskie, a na wskroś rodzime jej wypowiedzenie się zyskało w głębokim talencie Żeromskiego.

Tu jednak trzeba rozważyć indywidualność tego talentu.

Człowiek i artysta w sztuce stanowią jedno: rzemiosło tylko rozrywa ten związek. Wirtuozów, tj. rękodzielników sztuki, mieliśmy, chwała Bogu, do ostatnich czasów mało. Mieliśmy natomiast dawną piękną i męzką rodzinę twórców, będących chlubą tej jedności duszy i sztuki.

Żeromski do tej rodziny należy, pochodzi z niej „po mieczu i po kądzieli” — z ducha i formy. Tej to, jak sądzę, okoliczności zawdzięcza żywą sympatyę nawet tych, którzy nie zawsze chcą lub mogą dzielić jego nastroje. Docierając więc do „prawdy”, którą przyniósł z sobą Żeromski, będziemy potracali to o człowieka, to o artystę, niekiedy zaś i o bohatera „Ludzi bezdomnych”.

Porównyując wyżej utwór ten do gorączkowego opowiadania tragicznego człowieka, określiliśmy tem samym istotę jego artystyczną, to jest sposób, w jaki on czyni na czytelniku wrażenie. Człowiek, opowiadający drogiemu, blizkiemu sobie człowiekowi, swoje dzieje, działa nie za pomocą malowniczości, plastyki, dźwięczności, logiki opowiadania, lecz przede wszystkim za pomocą *uczucia*. Wzruszenie jego udziela się bezpośrednio słuchającemu: napięte, drgające struny jego duszy zarażają drganiem swem te drugie, mające oddźwięknąć, struny. Jest tu więcej poddawania myśli niż jej wykładu.

„Skupiona myśl, jak światło w ciemności wyławia z otoczenia wszystko, czego by w innych warunkach nie dostrzegła, gdyby niewiem jak nasuwało się na oczy”. Oto jest właściwy przewodnik „czującego wiedzenia” z duszy do duszy.

W języku „Ludzi bezdomnych”, w tem nasycaniu uczuciem każdej rzeczy, w budowie utworu, opartej na górnem oświetleniu wypadków błyskawicami uczuć, poznaliśmy już „sposób” Żeromskiego.

Lecz wzruszyć własnem wzruszeniem można tylko pod jednym warunkiem: — mianowicie, trzeba potracić o struny powinowactwa — inaczej nie będzie oddźwięku. Dla tego brat, przyjaciel wzruszy nas łatwo, dla tego też obcy musi sięgnąć do trzewiów, do głębin duszy, żeby uderzyć wreszcie w strunę wspólną wszystkim ludziom.

Zgoła nie tak wiele, jak się nam niekiedy zdaje, posiadamy strun uczucia. Żeromski nie rozprasza się, nie ślizga po nich, lecz żyje czy też tworzy z brzmienia dwóch zasadniczych bardzo strun—miłości i nienawiści. Można to również nazwać nieustannem, zabiegliwym wyczuwaniem pierwiastków dobra i zła, tkwiących w życiu. Bardzo czuła, wprost już drażliwa, jak zadrażniony nerw, wrażliwość, może dojść w wyczuwaniu takim do takich niemych bólów lub niemych upojeń o jakich nie śniło się duszom, normalnie zarządzanym przez normalny żołądek (zdrowy rozsądek). Żeromski zaś objawia niesłychaną pobudliwość uczucia i zdolność spostrzegania: jedno potęguje drugie, a w co się łączą, gdy się zejdą razem w świecie ludzkich nędz, to zobaczymy przy końcu.

Żeromski zna tylko jeden rodzaj patrzenia na rzeczy: „Patrzy w przestrzeń i uderza ją silnemi oczyma“ Patrząc, walczy wzrokiem. Walka ta bywa, bądź miłosna, gdy odpowiada dzielnemu prężeniu się, wezbraniu w duszy sił żywotnych, bądź nienawistna, gdy w duszy mrok i gorycz. Obojętnego patrzenia Żeromski nie zna, nie zna „patrzenia dla patrzenia“. A jednak, jak rozkosznie widzą te oczy, najczęściej smutne, proszę posłuchać:

„...Czasami przylatał wiatr, rozbujał ten krzew lekko, równo, ci-cho— i wtedy cudowne strofy liści kołysały się w ciepłym wilgotnym powietrzu sennymi akordami, niby muzyka, która oniemiała i przybrawszy na się kształt tak przedziwny, zastygła.“ A oto jak *widzi* dr. Judym: „Z brzegu siedziała p. Natalia. Doktor poznał ją bardziej przez *słodkie zemdleńie zmysłów* przed jakiś chłód wewnętrzny, ściekający po twarzy i piersiach, niż siłą wzroku“.— „Podniósł oczy na twarz panny Natalii i uczył, jak *zatapiają się w nim zimne kły rozkoszy*. Panienska miała, jak zwykle, oczy spuszczone. Czasami tylko jej brwi, dwie linijki nieznacznie zgięte, unosiły się nieco wyżej, niby dwie dźwignie, ciągnące do góry uparte powieki. Na wargach, z których *dolna była leciutko odchyłona*, stał uśmiech nieopisany, *uśmiech pełen jadu i srawola*“—Opis ten zawiera w sobie tyle właśnie jadu zmysłowości, ile nie mają go wszystkie razem wzięte nagie cielska Zapolskiej—Ta „dolna warga“ panny Natalii, jest jakby *pendant* do „górnej wargi“ z puszką Anielki z „Bez Dogmatu“—Bywają takie pokrewieństwa. A teraz dalej: „Panna Natalia wyczuła wzrok jego. Barwa jej policzków przeszła w błądź, która zdawało się *roztopiła w sobie uśmiech otaczający usta*. Wówczas jeszcze *bardziej mowymi stały się cienie dokoła zamkniętych oczu* i ostrzejszą linią chrzą-

stkwata nosa“... Niedawno tak patrzeć i tak oczom odpowiadać umiał tylko „esteta“ Płoszowski i Anielka, a opisywać umiał tylko tak Sienkiewicz — Ale oto przerafinowany Płoszowski stworzył — szkołę, nawet wśród demokratów w rodzaju doktora Judyma...

Chodzi nam zresztą o co innego: o ustalenie tego niesłychanie wrażliwego sposobu patrzenia Żeromskiego. Trzeba, żeby czytelnik doskonale pamiętał jak Żeromski patrzy, żeby w przybliżeniu bodaj zdał sprawę, czem dla tego artysty stać się musiało „czujące wiedzenie.“

Zaznaczyłem wyżej, że w Żeromskim wibrują: najpotężniej dwie struny zasadnicze, nienawiść i miłość. O nienawiści doktora Judyma można-by dużo powiedzieć, ale lepiej przytoczyć te krótkie słowa autora:

„Były to myśli (myśli Judyma), parweniusza, który trafem stanął u drzwi pałacu kultury. Tkwiła w nich przedewszystkiem skryta pod maską miłości ubogich drapieżna zazdrość indywidualna względem cudzego bogactwa. Od wieków płonęła, jak piekielny ogień, w sercu przodków była najsilniejszym choć najskrytszem ich uczuciem. W duszy ostatniego potomka...“

Słyszę, jak w tem miejscu kłapią wilczym śmiechem zęby fili-strów, cieszących się z pozańbienia uczuć biednego parweniusza. Nie, niema pozańbienia, bo: „w duszy ostatniego potomka nie zionęła już z niej śmiertelna, ślepa zemsta, tylko wysnuwał się *głęboki żal*“. Tak, żal, ów dziwny, tak bardzo rodzinny, żal — pustokwiat cierpienia, łzawnicca uczuć, pierwszy uszlachetniający płomień bólu. I gdy mowa o nienawiści Żeromskiego, to naprawdę najwięcej w niej żalu, wielkiego, skruszonego żalu. Czasem tylko ozwie się w nim jakiś mściwy ból, nieprzepuszczający nawet osobom, płaczącym przed „Biednym Rybakiem“, których łyż bezlitośnie nazywa „lichemi łzami“. Ozięściej zaś mściwość ta wywiera się w Żeromskim na pewnej kategorii panien, na „pannach ze dworu“. Dr. Judym miał nawet raz ochotę „zdzielić piękną kobietę pięścią między oczy.“

Ale tej waśni uczuć nie wiele jest w stosunku do ich wezbrania i w głębokiej toni oczyszczającego żalu niemasz wkońcu śladu po nich. Ten żal Judyma przeradza się w Żeromskim w smutek: i jak tam żal przetrawia energię działacza, która się wreszcie wydobywa spazmatycznie, konwulsyjnie — tak tu smutek przepaja wszelką radość twórcy, która rzadko buchnie jasnym płomieniem, rzadko ozłoci karty tej książki. — Żeromski pisząc odwyka od wesela. Kiedy zaś się z nim

zetknie niespodzianie w żarcie lub humorystycznym opisie, czyni to jakoś ciężko i dorywczo — i znowu powraca do tęsknot i smutków swoich. Dusza jego, jak nocny ptak, przeraziwszy się blasku, z wielkim łopotem skrzydeł odlatuje w ciemność.

Jeżeli zaś terając się tak wśród licznych trosk, dając nam gorzki smak rwania się, lkania, wrzodzenia się duszy współczesnej, Żeromski tyle nad nami może, tyle nam każe przyjąć z siebie, to dzieje się to zaspawą tej drugiej zasadniczej władzy jego ducha — miłości. Nikt się nie może chełpić jej nadmiarem, ale są organizacje, które wyposażył los zdolnością miłowania rzeczy i ludzi w stopniu wyższym. Wyższość tę posiadała w sposób genialny, że tak powiem, Madzia w „Emancypantkach“ Prusa — W „Ludziach bezdomnych“ posiada ją Joasia nauczycielka. Dziennik jej zawiera skarb dobroci szlachetnego serca (czasem coś tam zabrzmi zbyt brutalnie, ale to już wina autora, nie Joasi).

He razy doktor Judym spotyka się z nią, sam rozkwita w dobrem, jak pod działaniem promyka. Nie imponują mi w powieści tej opisy nędzy ludzkiej, ludzkiego charłactwa, dzielnic żydowskich, istnień robotniczych. Okropność bowiem tych rzeczy odczuć i odtworzyć tu mógł po prostu głęboki obserwator, miłośnik życia. Ale do głębi wzrusza mię jego odczuwanie, zrozumienie tej tkliwej dziewczyny i ten rodzaj miłości, którą ona nieci w Judymie.

„Tak z nim było, jakby kolor jej włosów, jakby ich nikły zapach na wieki stał się jego własnością. Jakaś *bolesna troska i niewystowiona czułość* przystąpiła do serca, jakaś *omglona litość*, niby kwiaty pachnąca. Było to obce duchowi i budziło swem przyjściem podziw i zadumanie“. „Nadewszystko, nad pięknosć, dobroć i rozum, kochał w niej *swój czy jej miłość*, ów zakłęty wirydarz, gdzie człowiek wchodzący zdobywał *nadziemską zdolność pojmovania wszystkich*“. Judym przy Joasi „zajęty był radością patrzenia w jej serce“. Biedak, czyniąc jej swe koszlawe, nienawykle do szczęścia oświadczyły, ludzi się nawet, że je czyni z „prostotą“, choć to była bardzo pozorna i skomplikowana prostota chorych dusz. Ale bądź co bądź odsłania nam Joasia w Judymie jeden biegun jego miłości. — Potem wierzymy, że w nim już naprawdę został z nienawiści tylko żal. Wiemy, że to nie deklamator, i czujemy, że serce w nim istotnie mogło się zapalić, gdy nadszedł czas.

Drugi biegun miłości leży w duszy jego za całym huczącym morzem zjawisk nędzy ludzkiej. Odsłania go znów w jednym powiedzeniu inżynier Korzecki:

„Spójrzycie w siebie. Czy nie zobaczycie tam ciemnej otchłani, w której nikt nie był? O której nikt nie wie? Siłą przymusu, ani żadną inną nie może być wytrzebione to, co nazywamy zbrodnią. Wierzę mocno, że w tym duchu nieogarniętym wszystko, prawie wszystko jest dobre. *Wiech tylko będzie wyzwolone*“...

Tak mówi Korzecki do parweniusza Judyńca, tak do nas mówi w jasnowidzeniu autor. My wszyscy jesteśmy parweniuszami w rzeczach dobra i miłości, a gdybyśmy mieli „czujące wiedzenie“ Judyńca, wszyscy-byśmy uczynili dla „wyzwolenia“ to, co on uczynił. Otóż tu właśnie zjawia się okropny zgrzyt w tej powieści, który jednak potężniej ją zamyka, niż-by to uczynił najharmonijniejszy akord.

---

Wiemy, z jaką siłą patrzy Żeromski na rzeczy i ludzi, wiemy, ile w tym wzroku jest zmysłowej mocy, która potem przeradza się w nieustanny nałóg, i czyni z abstrakcyi nawet tego autora jakieś żywe, krwią poproszone byty zmysłowe. Wiemy, że takie oto oczy stały się przewodnikiem wrażeń do organizacyi, w której dwie struny potężne, miłość i nienawiść, brzmiały niemal wszechwładnie. Wiemy wreszcie, że, wskutek tej-to właściwości swej organizacyi, napisał autor „Ludzi bezdomych“, to jest rodzaj sonaty cierpienia w społeczności. Tak skoordynowane „czujące wiedzenie“ nie mogło, prawdziwie, doprowadzić do idylli.

Nie trudno domyślić się, że w powieści tej wypadki życiowe nie mogą grać wielkiej roli. Bajki jej, perypetyi, autor po prostu nie mógł traktować konsekwentnie, z pożądanym dla czytelnika komfortem umotyrowań rzeczowych, historycznych.

To też nie próbujmy tu nawet oceniać fabuły i stawiać w jakiejkolwiek zależności od niej siły i grozy zakończenia. Były jakie wypadki musiały w tych warunkach posłużyć za punkt wyjścia.

„Czujące wiedzenie“ jest tu wszystkim. Trzeba odczuć samorzutną, nieodpartą moc rozrostu sumienia w takiej organizacyi. Wszystkie rozdźwięki jej trzeba boleśnie w sobie zestrzelić, a wtedy błysnie z nich piorun losu, i zrozumiemy, co druzgocze już nie szczęście nawet, ale samą zdolność do szczęścia w ludziach, w których upodobał sobie zamieszkać „dajmonion“ czasu.



Ni domu, ni głowy kochanej, ni pociechy, ni spokoju nie chce wiązać z losem swoim biedny parweniusz. Nie umie on dzierżyć koronkowych kompromisów, zanadto się rozszerzyły te źrenice w błyskach miłości, w mroku cierpień — swoich i cudzych.

Ni domu, ni głowy kochanej nie trzeba temu, nad którym płyną „obłoki jasne, zaczerwienione, święte obłoki“. Nie trzeba mu nawet zrozumienia naszego — „z jednej strony i z drugiej strony, jakkolwiek, to jednak“. Nie, on już tylko z jednej strony widzi świat. On wie, że jest dla nas, „jak dźwięk za wysoki, który się chybotrze bezsilny w jakimś zawrotnym, niedościgłym zenicie“.

Wie o tem parweniusz dobra i miłości, czyniący wedle poczucia swego nieharmonijnego sumienia.

---

Książka Zeromskiego jest tak rodzimą, jak skiba ziemi krwawiącą zroszona. — Zapewne dla tego trudno w niej się było czegoś doczytać tym, którzy umieją czytać tylko na importowanych, a już z marką fabryczną zagranicą, elementarzach wielkiej i małej „sztuki“ (bo są podobne takie dwie).

Książka ta zawiera tyle nauki artystycznej, ile jej tylko dać może do głębi praca twórcy. — Zapewne dla tego autorowi jej nie oszczędził zbawiennych rad „kompozycyi powieściowej“ lada kopista.

Zgoła zaś, z przedziwnym brakiem szacunku i miłości dla tych, którzy po staremu, czy z młodu nas żywią „w niemalym trudzie i ku pokrzepieniu serc“, zatańczono dokoła młodego autora coś w rodzaju indyjskiego wojennego tańca. Miarą jego wartości miały być szturchańce, rozdawane w tym tańcużinnym. — Całość stworzyła krytykę „Ludzi bezdomnych“.

A tymczasem Warszawa w ciągu kilku tygodni rozchwytała powieść.

Cóż się stało?

Nic nowego: oto potężniej zabiło w piersi jedno ludzkie serce. — Odpowiedziały mu serca nieśmiale, smutne, bolesne, które na chwi-

łę przedtem biedne były, „bo bez echa w piers samotną uderzały, przepelnione niepojętych pragnień krwią“...

I znowu znaczna gromada dusz ludzkich odnalazła się w duszy poety. Że zaś stało się to za sprawą „czującego wiedzenia“ artysty, więc nowy tryumf święci — sztuka.

ANTONI POTOCKI.

---

# PIŚMIENNICTWO.

---

B. Czyczeryn: „Wykład nauki państwowej: Polityka“. 8-o, str. 556  
(Moskwa, 1898).

Do najpoważniejszych przedstawicieli nauki rosyjskiej należy dzisiaj niewątpliwie profesor Czyczerin. Sędziwa ta postać uczonego i człowieka jednakowy budzi szacunek. Jest to jeden z rzadkich, pozostałych jeszcze przy życiu, koryfeuszów owej szlachetnej generacji oświeconych Rosyan, która przed laty czterdziestu, w pierwszym zaraniu rządów cesarza Aleksandra II, wystąpiła na widowie publiczną. Zaś, co więcej, jeden z najrzadszych: nigdy on odąd, w tak długim czasie okresie, w tak znacznych świata i ludzi odmiannach, nie sprzeniewierzył się pierwotnym, podniosłym hasłom swojej młodości, nie przygasił nigdy, nawet nie przyćmił, zapalonego wtedy światła ideałów obywatelskich i humanitarnych. Przeciwnie, z iście młodzieńczą, niezmordowaną, nieostygłą energią umysłu i serca, stale odąd, przez pół wieku blisko, czy to z katedry uniwersyteckiej, czy to z piórem w ręku, nie przestawał i nie przestaje przy

klądać się do szerzenia zdrowej nauki i zdrowych pojęć w swoim społeczeństwie.

Wieloletni dorobek naukowy profesora Czyczeryna nader jest obfity, różnostronny i szacowny. Prawoznawstwo, a w szczególności prawo publiczne, badane, z jednej strony, z najwyższego stanowiska historycznego i moralnego, zaś zarazem, z drugiej strony, rozważane w swoim zastosowaniu do konkretnych wymagań społecznych i politycznych: taki jest wielki i ważny przedmiot, któremu z całym oddaniem się pracowity swój żywot poświęcił płodny myśliciel i pisarz. Już pierwsza jego praca, czysto specjalna rozprawa doktorska o „Urządzeniach lokalnych Rossyi w XVII wieku“ (1856), odznaczała się rzadką gruntownością badania i przejrzystością wykładu. Rzecz ta była pisana jeszcze w czasach wojny Krymskiej; wszakże, jak opowiada sam autor, „jakkolwiek nie było tutaj najmniejszych aluzji politycznych, jednakowoż taki wtedy panował nastrój, iż cenzura fakultetowa przez dwa lata zatrzymała ogłoszenie mojej rozprawy, i tylko dzięki jedynemu ówczesnemu oświeconemu cenzorowi, von Krusemu, będącemu prawdziwie opatrzcnością piśmiennictwa, książka mogła ukazać się z druku.“ Po takim najpierwszem doświadczeniu, wyniesionem z kończącej się właśnie epoki, młody autor z tem większym zapalem powitał świtającą nową dobę, powitał nowe tchnienia liberalne, jakie zapanowały w społeczeństwie rosyjskiem od pierwszej chwili wstąpienia na tron cesarza Aleksandra II. Głęboko przeświadczony o niezbędności zużytkowania dla swego kraju wielkich zdobyczy kultury zachodniej, piękny dał wyraz tej myśli w zajmującym zbiorze pomniejszych studyów: „Zarysy Anglii i Francyi“ (1856 r.), książce publicystycznego już raczej zakroju, obliczonej na szersze koła publiczności, ale tem bardziej suggestywnej i ponętnej. „Częstokroć—powiada trafnie w przedmowie—nam, Rossyanom, czyniony bywa zarzut, że zanadto interesujemy się sprawami obcemi, a za mało znamy swojskie. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się naodwrot: i dla tego właśnie nie uświadamiamy sobie należycie siebie samych, bo obcych nie znamy dostatecznie“. To też obce szlachetne umysły, biorąc sobie za przewodników, biorąc za punkt wyjścia pisma Montalemberta i Tocqueville'a, roztrząsa tutaj nieuprzedzony pisarz rosyjski z krytyczną wprawdzie trzeźwością, ale też ze szczerą sympatją, uznaniem, nieraz podziwem, dojrzałe instytucje społeczne i publiczne Anglii i Francyi. W szczególności, w studyum końcowem „O włościanach francuskich“, wystawił szereg dających do myślenia spostrzeżeń porównawczych, podyktowanych, oczywiście, [przez aktualną naówczas, arcy-ważną sprawę uwłaszczenia włościan. Zresztą i tę właśnie i niektóre inne palące sprawy chwili poruszył niebawem,

sposobem popularnym a śmiałym, w oddzielnem piśmie: „Niektóre zagadnienia społeczne“ (1861). Nie zaniedbując atoli zarazem pracy czysto naukowej, ogłosił w tym czasie cenne „Studia do historii prawa rosyjskiego“, które otworzyły mu wstęp na katedrę uniwersytecką w Moskwie. Wykładał tutaj odtąd przez przeciąg niespełna lat siedmiu, od 1861 do 1868 roku, ogólne prawo państwowe, z bacz-  
nem zwłaszcza uwzględnieniem rozwoju myśli politycznej Zachodu, zarówno w zakresie spekulacyi teoretycznej, jako też prawodawczego w życiu zastosowania. Razem z Sołowiewem, Dmitriewem i innymi ówczesnymi luminarzami wszechnicy moskiewskiej, dzielił zasługi i powodzenia nauczycielskie, zaś więcej może, niż ktokolwiek inny, potrafił zaskarbić sobie sympatye i przywiązanie młodzieńczych swoich słuchaczy.

Okolo tego samego czasu odebrał profesor Czyczeryn najzaszczytniejszy dowód zaufania z wysokości Tronu. A mianowicie, powołany został przez cesarza Aleksandra II do wykładania nauk państwowych i politycznych młodemu Cesarzewiczowi Następcy Tronu, Mikołajowi Aleksandrowiczowi. Z całym zapalem oddał się temu doniosłemu zadaniu. Pojął je i wywiązał się z niego w duchu jedynie właściwym. Nie poszedł za lichą tradycyą układnych pedagogów spadkobiercy Ludwika XIV, nie chował światła pod korcem, nie dawał okrojonej nauki ad usum Delphini. Owszem, dostojnemu swemu słuchaczowi, do którego sympatycznej osoby żywo się przywiązał, wykładał pelny kurs uniwersytecki, pogłębiając go jeszcze nadto w miarę możności; zaś, co najważniejsza, w tej tak trudnej, tak drażliwej, tak omylnej nauce państwowości i polityki, wykładanej przed takim słuchaczem, starał się wydobywać nietylko stronę realną samych faktów dokonanych, lecz przedewszystkiem te idealne zasady wytyczne prawa, słuszności i postępu, które jedynie godne są zostać kompasem i sterem przyszłego rządzcy wielolicznych krajów i ludów. Mając obecnie przed oczyma ogłoszoną drukiem zawartość owych wykładów prawno-państwowych, czytanych Cesarzewiczowi przez profesora Czyczeryna, możemy należycie ocenić całą wyjątkową zasługę nauczyciela, którego cesarz Aleksander II tak trafnym i światłym wyborem był powołał na wychowawcę swego pierworodnego syna. Wszelako tak zacnie pojęta, tak wiele rokująca praca wychowawcza nie miała przynieść spodziewanych owoców. Przeciął ją przedczesny, jak wiadomo, zgon Cesarzewicza, będący ciężką, dotkliwą dla Rosyi stratą. Niebawem skądinąd jeszcze zaszły znaczne zmiany w działalności naukowej profesora Czyczeryna. Skutkiem wypadków uniwersyteckich w Moskwie 1867 roku, skutkiem rozmaitych nadto powodów ogólniejszego znaczenia, czując się nie-

zdolnym do kompromisów, tak samo w życiu, jak przekonaniach, uznał za właściwe ustąpić z katedry. Cofnął się odtąd przez lat trzydzieści do zacisza wiejskiego. Tutaj-to, zdala od zmiennych prądów i uniesień, a zwłaszcza od nienawiści chwili bieżącej, z niezmaconą pogodą ducha, z dalekonośną przenikliwością sądu, obmyśla i wykańcza coraz nowe prace, i coraz dojrzalszemi płodami swego talentu i wiedzy, swego umysłu i swojego sumienia, darzy naukę, piśmiennictwo i społeczność rosyjską.

Jeszcze za czasów swoich uniwersyteckich ogłosił większe, nader ciekawe badanie „O przedstawicielstwie narodowem“ (1866 roku). Rozbierając tutaj po kolei „istotę i charakter“, „rodzaje“ i „rozwój dziejowy“ urzędzeń przedstawicielstwa w Europie, nietylko dał jasny wyraz swoim przekonaniom teoretycznym w tej sprawie, lecz zarazem, w nader interesującym rozdziale o „Soborach ziemskich rosyjskich“, poczynił szereg uderzających spostrzeżeń o właściwym duchu, znaczeniu prawnem, rozwoju i upadku tej instytucji w XVI i XVII wieku, od czasów Iwana Groźnego do Aleksieja Michajłowicza. Po opuszczeniu katedry wystąpił niebawem z wielkiem dziełem: „Historya nauk politycznych“ (4 tomy, 1869). Nie kusząc się o wyczerpującą pełność bibliograficzną, — na sposób znanej książki Mohla, — a natomiast ofiarując treściwe, wszędzie u źródła czerpane, przedstawienie głównych teorii politycznych, zbudowanych przez najcelniejsze umysły Europy zachodniej, wraz z krytycznym, może nieraz zbyt formalnym, zbyt pedanckim komentarzem, obfitą dał strawę nieoswojonej z tym przedmiotem publiczności rosyjskiej. To obszerne dzieło jest właściwie częścią dawniejszego wykładu uniwersyteckiego. To też, w pięknej dedykacji poświęcił je autor swoim dawnym słuchaczom, studentom wszechnicy moskiewskiej: „zmuszony opuścić stanowisko, na którym dłużej pozostawać zabraniał mi honor, — tak wyraża się tutaj, — zachowałem przeciw możności dalszej dla was pracy“. Podobnie i późniejszą książkę: „Własność a państwo“ (2 tomy, 1881 r.), poświęcił „młodzieży rosyjskiej“, w której pokładał nadzieję przyszłości swego narodu, wśród wstrząsających wypadków ówczesnej niezwykłej chwili. W krótkości tylko notujemy szereg innych pism, treści raczej abstrakcyjnej: „Nauka a religia“ (1878), „Mistycyzm w nauce“ (1880), „Filozofia pozytywna a jedność nauki“ (1892), „Zasady logiki i metafizyki“ (1893), nie wszędzie, rzecz prosta przekonujących, lecz przenikniętych wszędzie zdrowym, oświeconym sądem, i, bądź co bądź, świadczących dowodnie o rozległym, nietylko fachowym, widnokregu duchowym. Śpieszno nam dotrzeć do ostatniego wielkiego dzieła, nie publicysty już, ani filozofa, ale znakomitego prawoznawcy, polityka i obywatela, które stanowić będzie nie-

zawodnie koronę długoletniej zasłużonej działalności profesora Czyczeryna.

„Wykład nauki państwowej“ (w trzech częściach, Moskwa, rok 1894—1898), w rzeczy samej, z pierwszego już spojrzenia przedstawia się jako najdojrzałej przetrawiona, najszerzej pojęta, najstaranniej wykończona praca uczonego moskiewskiego. Jest to niejako jego naukowy i społeczny testament. Owóż, — jak należy stwierdzić z największem uznaniem, — ten testament starca nie jest niczem innym, jeno czystsze jeszcze, przejrzystsze, bardziej pogłębione, bardziej stanowcze i bardziej zharmonizowane, wyznaniem wiary młodego człowieka. „Wykład Nauki Państwowej“, w tej postaci, w jakiej ukazuje się obecnie, powstał mianowicie z przechowanych przez autora brulionów kursu nauk państwowych i politycznych, czytane niegdyś Cesarzewiczowi, Mikołajowi Aleksandrowiczowi. „Od tamtych czasów — pisze profesor Czyczeryn we wstępie do pierwszej części swego dzieła, — minęło przeszło ćwierć wieku. Wszakże ta okoliczność skłoniła mnie tylko do wprowadzenia zmian, bardzo niewielkich... W kierunku naszej myśli społecznej w ciągu tego okresu dokonał się przewrót gwałtowny. Ale zmienne metamorfozy opinii publicznej nie mogą z równowagi wytrącić rzetelnej, ścisłej nauki, która dąży przed siebie mocnym i pewnym krokiem, i swoje wnioski opiera nie na przelotnych wymaganiach doby bieżącej, lecz na wszechstronnie sprawdzonem rozumowaniu, oraz na niewzruszonej podwalinie faktów dziejowych“. W takim duchu przedsięwzięte dzieło zajmuje się w części pierwszej „Ogólnem prawem państwowem“. Badane tutaj kolejno w pięciu księgach: „Istota i żywioły zasadnicze państwa“, „Urządzenia państwa“, „Prawa i obowiązki obywateli“, „Prawodawstwo i sądy“, wreszcie „Administracja“. Nie możemy, wchodzić tu w szczegóły. Ograniczamy się do zaznaczenia kilku ważniejszych i piękniejszych ustępów, jako to: trafne definicje sposobów „powstawania i upadku państw“ (ks. I, rozdz. VIII, str. 102 sq.); szczytne prawdy o „stosunku państwa do Kościoła“ (ks. III, rozdział VII); doskonałe spostrzeżenia o „zadaniach administracji“, „stosunku administracji do prawa“ i „organach lokalnych“ (ks. V, rozdział I, II i III). Natomiast zastrzedz się musimy przeciw zgoła mylnemu pojęciu urzędzeń wewnętrznych Rzpltej Polskiej, jej instytucjach prawodawczych i administracyjnych, sejmu, konfederacji i t. d. (ks. II, rozdział X, str. 166 sq.); śpieszymy wszakże dodać, że błędy, popełnione tutaj przez autora, są wyłącznie skutkiem niedostatecznej informacji, w żadnym zaś razie nie wynikają z jakiegokolwiek bądź nieprzyjaznego uprzedzenia. — Część druga całości poświęcona jest „Socyologii“. Ograniczyć się musimy znowu do podkreślenia dwóch tylko naj-

piękniejszych ustępów o „religii“ i „wychowaniu“ (ks. IV, rozdziały pierwszy i końcowy, str. 228 sq. i 327 sq.). I tutaj, wprawdzie, w niejednym miejscu, wypadło-by nam zastrzedz się przeciw pewnym pojedynczym założeniom i wnioskom autora. Naogół przecież możemy tylko z zupełnem uznaniem zaznaczyć cały podniosły nastrój, nieskazitelną dobrą wiarę, ściśle bezstronny i prawdziwie humanitarny sposób traktowania tych obu, tak ważnych materii. Zaś w szczególności, co do spraw wychowania publicznego, wydały nam się zwłaszcza ze wszech miar trafne spostrzeżenia, uczynione z powodu szkoły średniej i wyższych zakładów naukowych, oraz ustawy uniwersyteckiej rosyjskiej z 1884 r. (str. 338, 339).

Część ostatnią, a jak mniemali-byśmy, najcenniejszą całego dzieła, składającą się sama przez się na poważną i odrębną całość, stanowi książka, wypisana w nagłówku notatki niniejszej. „Polityka“ profesora Czyczeryna rozpada się na sześć ksiąg. „Zasady polityki“, „Utworzenie państwa“, „Polityka urządzeń państwowych“, „Polityka prawodawstwa“, „Polityka administracji“ i „Polityka stronictw“. Punkt ciężkości książki stanowi rozbiór zasadniczego zagadnienia o stosunku pomiędzy „polityką a moralnością.“ „W pewnej dziedzinie — w tych lapidarnych wyrazach streszcza myśl swoją autor (ks. I, rozdz. III, str. 24 sq.), — przymus równa się negacyi moralności wogóle. Wynika stąd, że państwo, jako związek przymusowy, nie powinno wkraczać do dziedziny stosunków czysto moralnych“. Ustaliwszy zaraz na wstępie taki pewnik ogólny, w dalszym ciągu wyprowadza stąd autor, z konsekwencyą najściślejszą, długi szereg bardzo doniosłych wniosków poszczególnych. Wyprowadza zarazem bezwarunkowe potępienie wszelkich gwałcących tamten pewnik metod rządzenia i ludzi rządzących, bez żadnego względu na ich t. zw. „wielkość historyczną“. Do takiej roboty „historycznej“ stosuje bez wahania i bez różnicy znane określenie: *s o l i t u d i n e m f a c i u n t, p a c e m a p p e l l a n t* (str. 26).

Dzisiejsze Niemcy cesarskie nie cieszą się sympatjami autora. Zaznaczamy atoli, że tutaj jego poglądy nie zawsze wydają się dostatecznie wymotywowane. Dla naprawy niezdrowych stosunków dzisiejszych w Europie, uważa za warunek nieodzowny „pozbawienie Cesarstwa niemieckiego jego obecnego dominującego położenia. Pośrodku Europy potrzebna jest poduszka, nie baterya“. Pragnął-by widzieć przywrócony dawny systemat federacyjnych państw niemieckich.

Z kolei punkt ciężkości księgi drugiej stanowi wyjaśnienie zawitych kwestyi, nasuwanych przez „politykę narodowościową“ (ks. II, rozdz. III, str. 78 sq.). I w tem miejscu zmuszeni jesteśmy poczynić



swoje zastrzeżenia przeciw niektórym, zupełnie nieusprawiedliwionym, rzuconym bez należytej rozwagi, poglądom postronnym autora (str. 87). Tem chętniej atoli znowuż uznać możemy całą trafność założeń ogólnych, z którymi on przystępuje do rozwiązania zawitych kwestyi narodowościowych.

Nie mamy oczywiście sposobu w notatce niniejszej wyczerpać bogatej zawartości obszernego dzieła profesora Czyczeryna.

Zamykamy na tem wzmiankę niniejszą.

SZYMON ASKENAZY.

„Sami sobie“. Książka zbiorowa na rzecz Warszawskiej Kasy Literackiej. Warszawa. Nakładem Warszawskiej Kasy Literackiej. Druk pp. Laskauera i Babickiego. 1900.

Paruset blisko literatów, dziennikarzy, uczonych i artystów zgromadziła w tej książce zbiorowej wspólna dbałość o dobro nowej instytucyi.

Posypały się epigrammaty, aforyzmy, szkice, urywki, wyjątki, wyimki, nowelle, nowelki, wiersze, wierszyki. Zgoła od nazwisk najświetniejszych naszej literatury, aż do takich, które chrzest literacki biorą właśnie w tej książce, nie brak żadnego rodzaju zwykłych współpracowników wydawnictw okolicznościowych. Wydawnictwo jest jakby wirydarzem, w którym uwaga czytelnika gości nie tyle dla pożytku, ile dla—przechadzki. Wirydarz to przestronny: trzysta blisko stron liczy książka Kasy Literackiej, i pewnie nikt nam nie weźmie za złe, że nie pokusimy się nawet o jej streszczenie.

Jakże tu streszczać naprzykład „Aforyzmy“?

Pełną ich garść dała w książce Orzeszkowa, dosypali pp. Chrzanowski, Sygietyński, Donimirski, Straszewicz (to jest Szujski), Kaszewski, Żelazowski, Zgliński... Komu zaś nie chciało się zbyt długo myśleć nad aforyzmem, napisał nowellę, urywek, lub coś w rodzaju fantazyi: Sewer, Kosiakiewicz, Godlewska, Żmijewska, Kowerski, Rabski itd., itd., dali takie obrazki. Prus dał ładną bajkę pod ty-

tułem: „Bajka“. — Deotyma, Konopnicka, Tetmajer, Słowski, Gomulicki, Koscielski, Gliński, Rutkowski, Rydel, Pług i wielu jeszcze ozdobili książkę poezjami.

Jeżeli zaś nie wymienię tu nazwisk malarzy, rysowników i muzyków, którzy pośpieszyli utworami swemi wesprzeć pracę kolegów, to tylko dla tego, że znalazło się ich aż tylu, a nie widzę możności cytowania jednych i pomijania drugich.

Ogólny nastrój książki stoi więc, jak widzimy, na poziomie zwykłych dzieł filantropijnych. „Pisarz, to taki tkacz, który, siedząc nad krosnami, patrzy w górę, i z krainy ideałów bierze wzory dla swych tkanin“. „Ludzie, kochający ideje, i dla nich żyjący — to dzwony, które do świątyni zwołują ospalców“. Te dwie myśli Orzeszkowej musiały w stanie utajonym krążyć między przyszłymi współpracownikami książki, gdyż nie brak tu nawoływania ku „górze“, ku „szczytom“, ku słońcu, ku prawdzie i t. p. Filantropia lubi otaczać się orszakiem westchnień pobożnych.

Pominąwszy je, zanotujemy tu jedno zdanie sprawy z rzeczy dokonanej, i jedną inicjatywę.

Rzeczą dokonaną jest pomyślność i milionowy dziś fundusz „Concordii“, wiedeńskiej Kasy literackiej. Podaje o niej kilka ciekawych szczegółów p. Bosakowski. Najciekawszym jest bezwątpienia kilkudziesięcioletnie już istnienie „Concordii“, oraz jej doskonała organizacja, która przy pomocy sympatii ogółu pozwoliła instytucji stać się prawdziwą oazą w życiu pracowników pióra.

Druga rzecz, to jest pomysł, oczywiście, wyrósł na naszym gruncie. Oto p. Z. Wasilewski proponuje, aby Kasa zajęła się utworzeniem w Warszawie biblioteki publicznej. Uważamy myśl tę za nader szczęśliwą, i ze względu na ogół, i ze względu na kasę. Ogół zyskał-by niezmiernie potrzebną instytucję, kasa zyskała-by raz na zawsze uznanie ogółu. A wszak od tego tyle zależy w sprawach, które ma na pieczy.

Nie będziemy tu wdawać się w krytykę książki zbiorowej. Zauznaczyliśmy, co mniej więcej zawiera, i że charakterem swym nie odbiega od szablonu zwykłych wydawnictw okolicznościowych. Ze w książce brak wielu bardzo nazwisk literackich, że niektóre utwory (jak „Fraszka“ Rodocia) tchną prywatą, której się nie powinno w takim wydawnictwie tolerować, że inne, (jak rzecz pod tytułem: „Królowięta na scenie“ p. A. Polińskiego), psuje nietaktem całość, przeznaczoną dla sfer najszerszych — to są usterki, których zapewne można było, nawet należało uniknąć, ale które ostatecznie nie zabijają wydawnictwa.

Bo ożywi je i podniesie, bądź co bądź, praca tych, którzy szczerze wzięli do serca myśl o wartości książki, zależnej od wartości poszczególnych prac, i ofiarowali istotnie to, co w rozwadze, lub natechnieniu zdobyli w sobie na razie najlepszego, nie zaś to, co im z nosa spadło.

Sienkiewicz dał do jednodniówki tej rzecz przepiękną, legendę, pod tytułem: „Na Olimpie“, rzecz, która nawet w zbiorze jego własnych drobnych arcydzieł będzie perłą najczystszą. Otóż nie mogę tu radzić wszystkim, aby mieli talent Sienkiewicza, pisząc dla wydawnictwa zbiorowego, ale radził-bym bardzo, aby wszyscy jego miarą mierzyli powagę takiego wydawnictwa, i do miary tej stosowali własne usiłowanie.

A. P.

---

## *Kronika miesięczna.*

---

Konkurs poetycki „Prawdy“ i jego wynik. — Odezwa „Wisły“. — Ruch wydawniczy i estetyka wydawnictw. — Kursa farbiarskie i kilinki krajowe.

---

W literaturze naszej współczesnej odbywa się pewien zwrot. Wyzwolona z oków szkoły pozytywnej, zaczyna ona powoli robić obrachunki z naturalizmem, i coraz bardziej przechyla się na stronę ideałów piękna niezależnego, pojętego, jako ostatni wyraz dążeń twórczego ducha. A duch twórczy najswobodniej czuje się w dziedzinie poezyi, z największym rozmachem skrzydeł szybuje po przestrzeniach, które nie znają granic, i najchętniej odpoczywa na szczytach. stąd taki mamy dzisiaj rozrost produkcyi poetyckiej, takie rwanie się młodych talentów ku wyżynom sztuki, tyle objawów przywiązania hołdów gorących, składanych na ołtarzu tej *P a n i s ł o n e c z n e j*, którą do niedawna uważano jeszcze za królową, uspioną na wieki.

Jak wielka jest płodność poetycka dzisiaj, o tem bardzo wymownie świadczy rozstrzygnięty niedawno konkurs „Prawdy“.

Jury, po odliczeniu rękopisów wycofanych i usuniętych, miało do czynienia z 95 utworami, które wszystkie co do rozmiarów i treści

czyniły zadość warunkom konkursu, to znaczy: liczyły co najmniej 500 wierszy, i miały wątek swojski. Były to więc prace większe, co jest znamienne wobec górującej dzisiaj liryki nastrojowej. Lubi ona wiersz krótki, niedopowiedziany, i u wielu autorów wyłącza możliwość tworzenia rzeczy większych. Konkurs tymczasem przyniósł plon bogaty, i to właśnie utworów, które, mimo, że są liryczne, posiadają zakrój poematów.

Z pośród 95 rozpatrywanych utworów nagrodzono jeden, wyróżniono zaś trzynaście.

Rezultat to bardzo pochlebny dla tych, co udział w turnieju brali.

Poemat nagrodzony nosi tytuł: „Przez głębinę“. Autorem jego jest Jan Waręż (psedonym znanej poetki). Za tło służy mu unia horodelska. Roztacza on przed nami (czytamy w sprawozdaniu z konkursu) wspaniały pochód ludu, dążącego w powadze i uroczystym nastroju na wiec dla odnowienia ślubów braterskich. Charakter utworu jest liryczno - opisowy.

Odznaczenia dostały poza tem:

- 1) „Apoteoza“, — przez Maryę Grossek.
- 2) „Hafciarka“, — „ „ „ „
- 3) „Na wyspie“, — przez Gustawa Daniłowskiego.
- 4) „Z tej smutnej ziemi“, — przez Władysława Orkana.
- 5) „Trzciny“, — przez Helenę Stattlerównę.
- 6) „Obląkany“, — przez Edwarda Słońskiego.
- 7) „Przez tajgi“, — Władysława Trzecińskiego.
- 8) „Wyzwolenie“, — przez Maryana Zbrowskiego.
- 9) „Powrót“, — przez Fr. Arnsztajnową.
- 10) „Noc świętojańska“, — przez Maryę Remiszewską.
- 11) „Kutrymowie“, — przez Władysława Starskiego.
- 12) „Ostatnie kartki“, — przez Maryłę Markowską.
- 13) „Księga miłości“, — przez Władysława Nawrockiego.

Przypadek zrządził, iż w utworach odznaczonych panuje równowaga pomiędzy piórem kobiecym a męskim. Na trzynaście wyróżnień, sześć przypada na kobiety, wyjąwszy Franciszkę Arnsztajnową, znaną już ogółowi z poprzednio wydanych poezyi, wnoszą do literatury talenty młode, świeże, nie posiadające jeszcze tego, co się u nas, w życiu literackiem, „marką“ nazywa. Może będą to perły, wyłowione przez konkurs, które w przyszłości zajaśnieją większym blaskiem. Jeżeli do utworów wyróżnionych dodamy jeszcze nagrodzony, który również wyszedł z pod pióra kobiety, to ostateczna przewaga okaże się po stronie piór niewieścich. Zwycięstwo do nich należy. Kobieta zdobyła sobie u nas literaturę, i nie dość, że ją zdobyła, ale kroczy po

jej drogach tryumfalnie. Utarło się już nawet, że laury konkursowe najczęściej białej dostają się głowie. Ale dotychczas pióro kobiece z największym upodobaniem oddawało się powieści, a zwłaszcza nowellistycy. W poezyi brakło mu skrzydeł do lotu, brakło filozoficznego pogłębienia myśli i zdolności do obejmowania wzrokiem horyzontów szerokich. Jedna tylko Konopnicka przedziwną siłą swego talentu podniosła się na wyżyny. Obok niej, nie mieliśmy jeszcze poetki, która-by rękę po wieniec przechodzącej do pokoleń następnych sławy i zasługi wyciągnąć mogła.

Konkurs „Prawdy“ dowiódł atoli, że czasy się zmieniają. Bujny ruch poetycki, ów nowy niemal okres „burzy i prądu“, który rozpoczął się w dziesięcioleciu ostatnim, silny znalazł oddźwięk w umysłach, a zwłaszcza w czułych, wrażliwych duszach kobiet.

Pięćtalentów poetyckich, które obecnie wypłynęły na powierzchnię, są tego wymownym dowodem.

Według sprawozdania konkursu przoduje im p. Marya Grossek. Po niej najwięcej spodziewać się należy.

Nieuwieńczona kwiatem pieśń męska silnie dźwięczała w sześciu utworach odznaczonych, a w niektórych z niemalym wybuchła talentem. Młodzi, najmłodszy tylko z poetów współczesnych, w zapasach wzięli udział, a wśród nich Gustaw Daniłowski i Maryan Zbrowski najzaszczytniejsze zyskali wzmianki: Władysław Nawrocki, znany i ceniony tłumacz poetów obcych, dał konkursowi „Księżę miłości“ — 32 pieśni w stylu Heinego.

Bądź co bądź, chlubnie się tedy dla poezyi dzisiejszej zakończył konkurs „Prawdy“.

Z chwilą, kiedy wbrew wszelkim przepowiedniom o surowości i długotrwałych mrozach zimy tegorocznej, Wisła kruszyła swój pancierz ludowy — towarzyszącej co do nazwy, jedyne w Warszawie czasopismo, poświęcone etnografii krajowej, zwróciła się „Wisła“ ze skargą do publiczności na obojętność lodową i brak poparcia ze strony ogółu, które uniemożliwiają jej egzystencję.

Redakcja woła o pomoc.

Potrzeba jej niewiele. Tylko 150 nowych prenumeratorów! Koszt wydawnictwa wogóle jest nieznaczny, sprowadza się bowiem wyłącznie

nie niemal do kosztów papieru i druku. Artykuły wielu autorów, ilustracye, cały dział poszukiwań, oraz część obszernego działu „Krytyki” — nic nie kosztują. Honorarya, bardzo zresztą skromne, pobierają tylko autorowie, niemogący pozwolić sobie na zrzeczenie się drobnego choćby wynagrodzenia za czas, odkradziony pracy chlebobodajnej. A jednak, pomimo to, redakcyja znajduje się obecnie w tak przykrem położeniu, iż kładąc nacisk na to, że wydawanie pisma ściśle naukowego, pozbawionego poparcia ze strony tych, dla których jest przeznaczone, „nie należy do rozkoszy”. oświadczają, że jeśli poważniejsze organa prasy nie zdołają dopomóc jej do przełamania obojętności kół, które mogą podtrzymać upadające czasopismo, to będzie musiała zrzec się podjętego wydawnictwa.

Smutny to objaw smutnych naszych stosunków. Czytelnictwo nie jest u nas jeszcze rozwinięte tak, aby czasopismo naukowe, zwłaszcza poświęcone takiej gałęzi wiedzy, która nie daje się eksploatować fachowo, zdołało istnieć samodzielnie, nie opierając się na ofiarności czy to ogółu, czy jednostek.

Etnografia, jako nauka, nie przyjęła się jeszcze w społeczeństwie naszym o tyle, aby się nią szczerze interesowały te koła intelligencji, które pociąga ku sobie dylettantyzm i pragnienie zdobycia wiadomości wszechstronnych. Należy ona, podobnie jak astronomia, do szczupłego tylko grona zwolenników, i ci mają dla niej kult specjalny. Posiadający rozległe nawet w rozmaitych kierunkach wykształcenie, człowiek, w dziedzinie etnografii orientuje się słabo, i w tem, co czyta, uwzględnia ją rzadko, a jeżeli to czyni, to poprzestaje zwykle na jednej, lub dwu książkach, które-by go z najnowszym postępem nauki ludoznawstwa zaznajomiły i podały mu w formie gotowej syntezę dotychczasowych badań. Syntezy takiej „Wisła” czytelnikom swoim dawać nie mogła. Jako czasopismo, zakrojone na skalę szerszą i poświęcone studjom nad rzeczami krajowemi, które dotąd bardzo mało były badane, musiała ona gromadzić przedewszystkiem materiały surowy. Przez szereg lat swego istnienia zgromadziła też istotnie spory zasób obserwacyi, które w niemalym stopniu przyczynią się do wyświetlenia wielu kwestyi dla tych, co materiały tego do swoich fachowych studiów kiedyś używać będą. Ale przeoczyła ona jednocześnie ów fakt niezbity, że jeśli się szuka oparcia u ogółu, to trzeba ogółowi temu dać wzamian to, czego on żąda. Stąd wynikło nieporozumienie, i nawet stali odbiorcy pisma, jak zapewnia jeden z felietonistów „Prawdy”, „Wisły” nie czytali, prenumerując ją dla zasady, jedynie z żywego odczucia tej potrzeby poparcia swojskiego wydawnictwa naukowego, tej ofiarności społecznej, o jaką właśnie w odezwie obecnej chodzi Redakcyi. Ci

sami jednak prenumeratorowie z pewnością nie omieszkali-by czytać „Wisły“, gdyby znaleźli w niej więcej przystępnego dla siebie pokarmu. Nie da się zaprzeczyć, że zmieniło-by to gruntownie charakter czasopisma, że pozbawiło-by je ścisłości naukowej, a nadało mu ton popularny; ale tylko popularne pismo naukowe może liczyć na ogół, pisma *par excellence* fachowego niefachowy człowiek prenumerować nie będzie, jak najwykształceńszy literat, prawnik, lub inżynier, nie prenumeruje „Kroniki lekarskiej“, lub „Wiadomości farmaceutycznych“. Prawda, że etnografia krajowa powinna nas obchodzić, ale ten interes dla niej, to rozmiłowanie, które się jej słusznie należy, to wspomaganie jej badań przez jednostki, w rozmaitych okolicach kraju zamieszkałe, da się osiągnąć dopiero po odpowiednem spopularyzowaniu nauki, do dziś dnia jeszcze obcej, lub obojętnej dla tych nawet, którzy-by jej ogromne korzyści przez dostarczenie materiału, czerpanego z obserwacji bezpośredniej zwyczajów i obyczajów ludowych po wsiach naszych oddać mogli. Niewątpliwie też popularne czasopismo etnograficzne, prędzej dało-by się rozpowszechnić u nas, i po kilku latach istnienia więcej było-by znane, niż „Wisła“, o której egzystencji dowiedział się niejedyn może dopiero z odezwy, tułającej się po pismach codziennych.

„Wisła“, jako nie stawiająca sobie nigdy zadań popularyzatorskich, a pragnąca raczej skupić dokoła siebie tych wszystkich, którzy się w kraju już etnografią zajmowali, prowadzona była w duchu, w jakim się prowadzi organa Towarzystw naukowych, specjalnych, i z natury rzeczy najodpowiedniejszym dla niej oparciem było-by takie właśnie Towarzystwo.

Ogół, mimo, iż rację jej istnienia w należyty sposób może oceniać, — nie prędko zdobędzie się na to, ażeby jej byt materialny zapewnić.

Niemniej jednak poważne zasługi, jakie Redakcja czasopisma położyła, jej bezinteresowność i praca gorliwa a sumienna, duży i niekłamany pożytek, który już przyniosła, wreszcie ten fakt, że, odwołując się do ogółu, właściwie odwołała się tylko do jednostek, z pośród niego wybranych—pozwalają przypuszczać, że odezwa jej bez echa nie przemienie, i że pomoc, o którą chodzi, znajdzie się łatwo.

A trzeba tak niewiele: 150 prenumeratorów tylko!

Gdyby się w społeczeństwie naszym tych 150 ludzi dobrej woli nie znalazło, i gdyby wydawnictwo „Wisły“ wskutek tego uledez musiało zwłóce, lub przerwie, bo w zupełne jego zaniechanie wierzyć nie chcemy; to w każdym razie był-by to objaw zaniku zmysłu społecznego i poczucia obowiązku popierania naukowej pracy swojskiej u tych nielicznych, którym fortuna pozwala ją popierać. A w naszym



społeczeństwie na tych „wybranych“ ciąży większa odpowiedzialność, niżli gdzieindziej, i większa dana im jest sposobność niesienia ofiar tam, gdzie tego potrzeba wymaga.

W ostatnich latach ogromnie wzmógł się u nas ruch wydawniczy. Półki księgarskie zaroily się od rzeczy bądź nowych zupełnie, bądź wydanych powtórnie. Czytelnictwo się wzmaga, potrzeby ogółu rosną z dniem każdym. Książka staje się powoli artykułem codziennej potrzeby, i do jej kupowania nie trzeba już zachęcać i nawoływać tak, jak to dawniej czyniono. Wydawcy robią dobre interesy, a i składnicy, księgarze sortymentowi, nie gorsze, skoro się uwzględni, że żadna gałąź handlu nie opłaca tak pośrednictwa, jak księgarstwo. Zyski rosną, majątki niektórych księgarzy podwajają się, jak grzyby po deszczu zjawiają się nowe sklepy z książkami. Tania książka zaczyna zdobywać targ, bezpłatne dodatki do czasopism wchodzą w modę, słowem, ożywienie znać wszędzie. Ruchliwy, a zawsze za jakąś przewodnią idący myślą, p. Demby, zapowiada na wiek XX głębiej obmyślane wydawnictwo dwustu dzieł epokowych, należących do literatury pięknej i naukowej wieku XIX, księgarnia Bronisława Brzozowskiego z dużym nakładem przystępuje do opracowania pomnikowej monografii kościołów w Królestwie Polskiem i t. d. Na brak książek narzekać nie możemy. Sypią się one, jak z rogu obfitości.

Jest jednak jedna poważna strona w tym ożywionym ruchu wydawniczym, na którą dopiero teraz zwrócono uwagę: to forma zewnętrzna książek, ich wartość typograficzna, ich „estetyka“.

Niewątpliwie najważniejszą rzeczą w książce jest jej treść, ale pomiędzy treścią a formą zachodzi ścisłe powinowactwo. Jak potrawa umiejętnie, czysto i ładnie podana, smakuje inaczej, tak samo i książkę, wydrukowaną na porządnym papierze, dobrymi czcionkami, oprawną gustownie i wogóle miłą dla oka — z innym zupełnie uczuciem bierze się do ręki, aniżeli zbitymi już czcionkami odbitą, wydaną niestannie i bez zewnętrznego powabu, choćby się okazało potem, że to jest dzieło niepośledniej wartości.

Powinowactwo takie wzrasta i zacieśnia się w stosunku prostym do artystycznej wartości wydawnictwa. Im wartość ta jest większa, im dane dzieło więcej ma charakteru utworu sztuki, tem większej wy-

maga pieczołowitości w wyborze szaty zewnętrznej, tem estetyczniej powinno być wydane.

I jest już w sztuce drukarskiej pewna miara artystyczna, jest pewne wyrobienie i praktyka, które dowodzą, że harmonia pomiędzy treścią a formą wydania książki da się osiągnąć w znacznym stopniu. Trzeba tylko, jak zresztą wszędzie i zawsze, chcieć i umieć to zrobić.

Wydawcy angielscy, francuscy, a nawet i niemieccy wcześniej zwrócili na to uwagę, i wśród książek, w tych językach wydanych, nieraz spotkać się zdarzy tom nie tylko poezyi, lub powieści, ale poważnej pracy naukowej, wydany bez zarzutu. Wszystko się tam zestraja w jedną całość: i papier, i druk, i okładka, nawet odpowiednio wybrana winieta tytułowa, lub mająca jakiś charakter stylowy oprawa.

U nas panuje jeszcze szablon. Prawie wszystkie książki są do siebie podobne, prawie wszystkie mają ten szary, przeciętny ton, który ich nie wyróżnia niczem z pośród setek i tysięcy podobnych. Wyjąwszy nieliczne wydawnictwa Gebethnera i Wolffa, nie mieliśmy dotąd prawie nic, coby się ponad ten szablon wzniosło. Najmłodsze dopiero firmy wydawnicze na estetykę książek zwróciły uwagę.

Nie da się zaprzeczyć, że wydawca w znacznym stopniu zależy pod tym względem od drukarni, a drukarnie nasze, niestety, nie potrafią jeszcze wykonywać takich rzeczy, na jakie zdobywa się zagranicą. Nasze zakłady drukarskie zaledwie powoli zaczynają ulegać prądowi czasu — przyczem jednak rzadko który umie zachować miarę, i albo „modernizuje“ się na gwałt, zakupując nieraz bardzo niesmaczną ornamentykę, którą literalnie przeładowuje pismo, lub książkę, albo — rzuca się do naśladownictwa, wyrzekając się raz na zawsze własnej inicjatywy.

Poza stronę typograficzną, niemałe znaczenie dla „estetyki“ książek mają oprawy. Introligator, zwłaszcza obecnie, kiedy coraz chętniej publiczność nabywa książki oprawne, ażeby uniknąć później kłopotu i większego nakładu pieniędzy, skoro wypadnie dać do oprawy odrazu znacniejszą ilość książek — introligator, który wykonywa nieraz po tysiąc i kilka tysięcy opraw dla jednego dzieła, może się przyczynić poważnie do utrzymania cechy wydawnictwa, jeżeli ją ono już posiada, lub do jej nadania, skoro nie troszczył się o to wydawca i drukarz. Niestety, u nas płaci się zwykle za oprawę drogo, a rzadko kiedy można z niej być zadowolonym. Albo się dostaje rzecz niesmacznie wyłożoną na wszystkie strony, albo robotę prostą, ordynarną. Nie jest to wcale owo „pur et simple“, które nigdy razić nie będzie, jak nie razi w oprawach angielskich, lub niemieckich, posiadających istotnie ten charakter, ale jest to gruba i niestaranna robota, która rzemieślnikowi naszemu tylko ujmę przynosi. Spójrzjmy na angielski [pre-

klad „Quo vadis“ w oprawie. Jest to oprawa prosta, najzwyczajniejsza, czarna, z godłem męki Chrystusowej, z krzyżem, lekko zarysowanym na wierzchu, i nic więcej, ale jest w tem wszystkim smak, jest jakaś powaga, słowem to, czego od taniej oprawy wymagać można—prostota, a nie ordynaryjność.

Taki typ tanich opraw powinni wytworzyć nasi introligatorowie. Inne, ozdobniejsze, powinny się już sztuką kierować, powinny być stylizowane, jeśli nie stylowe.

A teraz jeszcze jedno. W Europie zachodniej panują czcionki łacińskie, pomimo to jednak wytworzył się specjalny charakter druku francuskiego i angielskiego. Kto się zna na drukach, ten bez znajomości języka, w jakim książka wyszła, pozna, gdzie ją drukowano. Te cechy charakterystyczne i znajomość ich należą już do tajemnic kunsztu drukarskiego.

Nasi drukarze zapewne to rozumieją, a jeżeli tak, to czy nie byłoby rzeczą na dobre dążenie do wytworzenia specjalnego typu czcionek dla książek polskich, czy nie uznali-by oni za stosowne wyodrębnić się czemkolwiek, i rozpowszechniony dziś u nas druk francuski, zastąpić jakąś jego odmianą specjalną. Może i to przyczyniło-by się z czasem do estetyki i stylowości naszych wydawnictw, które dzisiaj tyle jeszcze braków posiadają, może dało-by się wytworzyć druk, po którym poznano-by polską książkę wszędzie?

---

Sekcyja przemysłu ludowego, istniejąca przy Towarzystwie popierania p. h. i r., gorliwie krząta się około najpilniejszych potrzeb drobnej wytwórczości krajowej.

Przed dwoma jeszcze laty podniosła ona myśl zaszczerpienia wśród zajmujących się tkactwem włościan pewnych wiadomości z farbiarstwa, co umożliwiło-by im tkanie trwałych wyrobów kolorowych, wzorzystych. O pomoc w tym względzie zwrócono się do Sekcyi chemicznej. Początkowo miano na widoku napisanie podręcznika. Projekt ten okazał się atoli mniej praktycznym od drugiego projektu, dotyczącego utworzenia przy szkole tkackiej w Stanisławowie kursów farbiarstwa.

Oczywiście, pociągnie to za sobą pewne koszta, ale niewątpliwie prędzej do wytkniętego doprowadzi celu.

Tkactwo nasze krajowe, jako jedna z najbardziej ożywionych gałęzi przemysłu domowego, pozostaje znacznie w tyle poza tem, co jest gdzieindziej. Umiejętność barwienia tkanin należy niewątpliwie do najpilniejszych jego potrzeb.

Wyroby wzorzyste, jak kilimki, są u nas prawie niezbrane. W całym Królestwie nie wyrabiają ich nigdzie. Stanowią one specjalność Galicyi wschodniej, zwłaszcza Glinian, gdzie istnieje Towarzystwo tkackie, oparte na ustawie o stowarzyszeniach zarobkowych i gospodarczych. Do nas atoli kilimki te, wskutek utrudnień celnych, dostają się w bardzo niewielkiej ilości. Częściej natomiast spotkać można wyroby tego rodzaju, sprowadzone z Kaukazu, wyroby drogie i nie zawsze zdolne zaspokoić nasze wymagania.

Gdyby włościanie nasi, zapoznawszy się z farbiarstwem, wzięli się do tkania takich kilimków, a nie szukali wzorów obcych, tylko dobierali je według upodobań własnych, mogła-by się wytworzyć z czasem wcale poważna produkcya, zapewniająca dobry dochód wytwórcom, wszystkie bowiem tkaniny swojskie chętnych i licznych znalazły-by nabywców, a przez swój charakter odrębny i poza granicami kraju wzbudziły-by zainteresowanie.

W interesie więc przemysłu domowego i własnym, radzi-byśmy doczekać się jak najprędzej utworzenia kursów farbiarskich, i to nie tylko w jednym Stanisławowie, ale w kilku, najgęściej przez ludność tkacką zamieszkanym, miejscowościach.

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Dnia 18 stycznia roku 1900 odbyło się posiedzenie Kommissyi historyi sztuki Krakowskiej Akademii Umiejętności pod przewodnictwem profesora d-ra Maryana Sokołowskiego.

Przewodniczący przedstawił program prac Kommissyi w roku 1900, poczem podał wiadomość o nieznanym rytowniku, Jean Dill Polonais, i okazał jego rycinę z Muzeum kks. Czartoryskich, a zarazem z tego samego zbioru rysunek Karola Deckera, jako wzór do ryciny Kiliana, omawianej przez hr. Jerzego Mycielskiego na poprzednim posiedzeniu. Następnie p. Julian Pagaczewski podał wiadomość o nieznanym, a niezwykle interesującym bizantyńskim obrazie Matki Boskiej, przechowanym w klasztorze św. Andrzeja w Krakowie. Jest to jako obraz przenośny, stararannie i bardzo subtelnie wykonana mozaika, pochodząca, jak się zdaje, z XII, czy początku XIII wieku, i łączy się prawdopodobnie z kultem błogosławionej matki Salomei, fundatorki pierwszego w Polsce klasztoru Franciszkanek, zwanych także Klaryskami. Ciągłe podówczas stosunki ze Wschodem, a może nawet sam pobyt bł. Salomei w Zawichoście pod Sandomierzem, mogły być przyczyną, że nabytek ten dostał się w posiadanie klasztoru. Obraz oprawiony jest w ramy, dzieło krakowskiego złotniczego warsztatu z połowy XVI wieku, części ich jednak odtworzono najprawdopodobniej według form XIII stulecia.

Prof. M. Sokołowski podniósł ważność zabytku, opisanego przez p. Pagaczewskiego, i zwrócił uwagę na wielką rzadkość tego rodzaju mozaik przenośnych, których znaną jest niewielka tylko liczba w Europie. Poczem p. J. Pagaczewski podał wiadomość o drugim zabytku w klasztorze św. Andrze-

ja, o małej polichromowanej figurce św. Sebastjana, wykonanej z drzewa, odnosząc ją do lat 1520—1525, jako dzieło francuskiej szkoły. W dalszym ciągu przewodniczący przedstawił komunikat p. Worobjewa z Łomży o ruinach biskupiego zamku i kościoła parafialnego w Broku (powiat Ostrowski, gubernia Łomżyńska). W XVI wieku Brok był ulubioną rezydencją biskupów płockich. Dochowaly się dość dobrze renesansowe ściany budowy, wieża i kaplica, których fotografie p. Worobiew Kommissyi przedstawił, jak również fotografie kościoła parafialnego w Broku, w stylu gotyckim, z renesansowemi motywami z lat 1542—1546.

P. Hieronim Łopaciński nadał ciekawą kopię i opis obrazowanej allegoryi politycznej z czasów Stefana Batorego, znajdujący się w bibliotece p. Józefa Lipińskiego w Strzałkowie, w pow. Stopnickim. Stoją one w związku z całą literaturą ówczesną, i są jej wyborną ilustracją. Treść jednak zaczerpnął artysta z dzieła Dymitra Solikowskiego: „Facies perturbatae et afflictatae Reipublicae“, przypisywanej mylnie Stanisławowi Orzechowskiemu, pod tytułem: „Apocalypsis“. W końcu dr Feliks Kopera przedstawił fotografię grobowca ks. Konstantego Ostrogskiego w Peczerskiej Ławrze w Kijowie. Jest to wielkich rozmiarów przysięcenny grobowiec, pochodzący w części prawdopodobnie z roku 1534, a w części z początku XVIII wieku. Nadto przedstawił jeszcze p. Kopera fotografię, udzieloną Kommissyi przez Wityga z Warszawy, z medalu ks. Wasyla Ostrogskiego, jedyny okaz, znaleziony w ukrytym skarbie Ławry, a dziś mieszczący się w Ermitażu. Oba zażytki są niepospolitemi dziełami sztuki i kultury Zachodu.

— Wydział historyczno-filozoficzny Krakowskiej Akademii Umiejętności wydał XIII tom (seryi II) swoich rozpraw. Jest to trzydziesty ósmy tom ogólnego zbioru i zawiera: A. Prochazki: „Genezę i rozwój parlamentaryzmu za pierwszych Jagiellonów“, F. Piekosińskiego: „O źródłach heraldyki ruskiej“, B. Lewickiego: „Unię florencką w Polsce“, K. Potkańskiego: „Walkę o Poznań (1306 — 1312)“ i „Zdradę Wincentego z Szamotuł“, S. Kętrzyńskiego: „Kazimierza Odnowiciela (1034 — 1058)“.

— Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego wyszło drugie wydanie „Historji nowożytnej w zarysie“, W. Zakrzewskiego.

— Pierwszy tegoroczny zeszyt „Przeglądu Filozoficznego“ zawiera między innymi: d-ra W. Rubczyńskiego: „Studia neopłatońskie“, E. Abramowskiego: „Kilka słów o metodzie przy rozpatrywaniu kwestyi „jednostek psychicznych“, St. Żeromskiego: „Listy Trentowskiego do Lelewela i Królikowskiego“, Przegląd nauk poszczególnych; Przegląd krytyczny; Autoreferaty, Sprawozdania i t. d.

— Feliks Kucharzewski wydał w osobnej odbitce odczyt: „O początkach piśmiennictwa technicznego w Polsce“, wygłoszony na IV zjeździe Techników polskich w Krakowie 9 września 1899 roku.

— W Berlinie wyszła praca Antoniego Kostaneckiego, pod tytułem: „Der wirthschaftliche Werth vom Standpunkt der geschichtlichen Forschung“.

— „Kontrakty kijowskie“. Szkic historyczno - obyczajowy (1798 — 1898), napisany z powodu stuletniego istnienia kontraktów przez Henryka Ułaszyna, wyszedł w Petersburgu nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego..

— Powieści ukazało się sporo na półkach księgarskich. Firma Gebethnera i Wolffa najobficiej zaopatrzyła ten dział literatury pięknej: nakładem jej wyszły dalsze trzy tomy „Wyboru pism Kaczkowskiego“, zawierające: dokończenie „Murdeliona“, „Tradycye Sanockie“, „Gniazdo Nieczujów“, i „Starostę Hołobuckiego“; w oddzielnej książce wydano: „Argonantów“ Elizy Orzeszkowej (dwa tomy); Wacława Sieroszewskiego nowelle: „Brzask“, „Puszcza Białowieszka“, „Grecka Szczelina“ i „Dno łączy“, zajmują spory tom. Zanotujmy nadto powieść Artura Gruszeckiego: „Dla miliona“ i nowe wrażenia z podróży Stanisława Belzy, pod tytułem: „Listy z Sycylii“, obficie illustrowane.

— Jako przyczynki do literatury powieściowej i nowelistycznej, zapisujemy nadto w tymczasowej bibliograficznej wzmiance: trzeci tom „Pism Ignacego Dąbrowskiego, zawierający pięć nowel; Orsyda „Za późno“, oraz inne nowelle; Kazimierza Laskowskiego: „Licytantów“, szkice z życia i Kazimierza Glińskiego „Krzywdę“, powieść.

— Nakładem księgarni Teodora Paprockiego wyszła powieść Kazimierza Daniłowicz-Strzelbickiego, pod tytułem: „Blichtr“, odznaczona na konkursie „Głosu“.

— Adam K... napisał szkic powieściowy pod tytułem: „Syn rzemieślnika“ i przeznaczył dochód ze sprzedaży na założenie resursy rzemieślniczej.

— Nagrodzona na konkursie „Gazety Świętecznej“ powiastka Artura Gruszeckiego pod tytułem: „Stach Misiak“, wydana została w oddzielnej broszurce.

— „Wybór poezyi“ Or-Ota ukazał się w miniaturowem wydaniu nakładem firmy Gebethnera i Wolffa.

— Ludwika Godlewska (Exterus) wydała we Lwowie nakładem Towarzystwa wydawniczego powieść pod tytułem: „Dobrane pary“.

— Książd Ignacy Charszewski wydał: „Album katolickich uroczystości“ z ilustracyami.

— Do pożytecznych tłumaczeń zaliczyć należy przekład rozprawy Wiktora Mataja pod tytułem: „Wielkie magazyny i drobny handel“, dokonany z niemieckiego przez Zygmunta Makowieckiego.

— Interesujące i pożyteczne ze względu na zgromadzony materiał, wydawnictwo pod tytułem: „Herbarz Polski“, podjęte przez p. Adama Bonieckiego, posunęło się już znacznie, zamknięty bowiem został w dziesięciu zeszytach pierwszy tom tej publikacyi, zakończony na Boniakiewczach, herbu Dębno. Zeszyt pierwszy tomu drugiego rozpoczynają Bonieccy herbu Bończa,

a kończą Borkowscy - Duninowie herbu Łabędź. „Herbarz“ wydawany jest starannie i ze smakiem.

— Od Adama hr. Starzeńskiego otrzymaliśmy ciekawą dla historyków naszej literatury wiadomość; dopełnia ona poniekąd artykuł prof. A. Brücknera o rymotwórcach polskich XVII wieku, drukowany w naszym piśmie w roku zeszłym (w zeszyście czerwcowym).

Profesor Brückner wzmiankował w swej pracy, że utwory Krzysztofa i Jana Kochanowskich dotychczas się nie odnalazły. Tymczasem, według informacji hr. Starzeńskiego, oryginalny manuskrypt trzech braci Kochanowskich z XVII wieku znajduje się w bibliotece hr. Aleksandra Ostrowskiego w Korczewie nad Bugiem. Tamże znajdują się dwa Sylwa rerum Moskorzowskich Aryanów; w nich bardzo wiele wierszy okolicznościowych i satyrycznych. Niektóre wyższej wartości.

— Zapowiedzianej przed niedawnym czasem „Encyklopedyi staropolskiej“ Zygmunta Glogera nakazał się zeszyt pierwszy, który odrazu zaciekawił różnaitością materiału, ułożonego porządkiem alfabetycznym, niby rodzaj *silva rerum* w formie słownikowej. Będzie to cenny raptularz historyczno - obyczajowy, w którym przesunie się barwnie w kalejdoskopie przeszłość społeczeństwa polskiego; że zaś przesunie się żywo, mamy co do tego rękojmię w nazwisku autora, zamiłowanego we wszystkim, co się jako rys, lub kolor, składa na obraz tej przeszłości.

Encyklopedia jest ilustrowaną, a ten komentarz obrazkowy do tekstu jasnego i zwięzłego jeszcze więcej ożywia sympatyczną publikację. W pierwszym zeszyście litera A. nie jest jeszcze wyczerpaną; sześć zeszytów złoży się na pierwszy tom, który wyjdzie ma w ciągu 1900 roku.

## S p r o s t o w a n i e .

W zeszyście styczniowym w „Kronice rzymskiej“ na str. 79 w wierszu 19 od góry, zamiast: „tysiące spraw krzyżowało się w Rossyi“, czytać należy: „tysiące spraw krzyżowało się w Kuryi“.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał książę Radziwiłł.



Kommissya antropologiczna Akademii Umiejętności w Krakowie nadesłała nam z prośbą o ogłoszenie następującą odezwę:

## **W sprawie ubiorów ludu polskiego.**

Lud nasz zachował jeszcze wiele przeżytków dawnej przeszłości, a między nimi i barwne, często typowe, a dla nauki niezmiernie ciekawe stroje. Smutna to jednak prawda, że nie tylko nie posiadamy publikacyi, obejmującej w dobrych reprodukcjach całej różnaitości kroju, barw, wyszyć i ozdób, ale nie mamy nawet świadomości tego, co i w jakiej mierze zachowuje się dotąd powszechnie, a co tylko podczas uroczystości, dlaczego dawne ubiory giną, i od jak dawna. A tymczasem niwelujący wszystko prąd cywilizacyjny posuwa się zwycięsko naprzód, i poczynając od nakrycia głowy, sięga obuwiu, zmienia poważną sukmanę, lub płótniankę i gunię na kusy, bawełniany kubrak, odziewa nawet wieśniaka zamiast w lniane, domowe i trwałe płótno w fabryczną i lichą, ale bielszą tkaninę. Słowem, giną barwne ubiory ludowe, a poczyna panować szara tandeta.

Co ginie w życiu, mamy obowiązek zachować przynajmniej w dziełach i zbiorach muzealnych.

Kommissya antropologiczna Akademii Umiejętności w Krakowie, nie mając środków do założenia muzeum etnograficznego, posiada jednak z darów osób łaskawych piękny zbiór fotografii ubiorów ludowych, bądź zwykłych, bądź kolorowanych. Fotografie te jednak przedstawiają przeważnie lud podolski, pokucki lub huculski, w małej tylko liczbie krakowski, z innych zaś stron niema ani jednego wizerunku. Celem dopełnienia tego zbioru i zgromadzenia materiału do naukowej publikacyi, zwraca się niniejszem Kommissya do wszystkich jej życzliwych, a ludem zajmujących się ziomków, szczególnie do

a matorów w fotografii z uprzejmą prośbą, aby jej nadesłać raczyli ze wsi, lub miasteczka przez się zamieszkanego, lub sobie znanego.

1) Fotografie ubiorów ludu (grupy, lub jednostki męskie i żeńskie), albo nawet części ubioru, o ile możliwości stosownie i wiernie kolorowane, w formacie gabinetowym (12 × 16 cm.).

2) Wrazie nieumiejętności kolorowania, o dołączenie do zwykłej fotografii dokładnego opisu co do barw.

3) W obu razach na osobnej karcie o nazwy ubioru i jego części, materiał, sposób wyrobu, lub miejsce zakupna, i o wyszczególnienie różnic między ubiorem codziennym a świątecznym, lub obrzędowym, między letnim a zimowym, ewentualnie różnic stanowych.

4) O wymienienie tych wsi okolicznych, w których ten ubiór noszą.

Łaskawe dary jak najliczniejsze, których przesyłkę Kommissya chętnie opłaci, prosimy nadsyłać pod adresem: „Kommissyi antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie na ręce prof. Romana Zawilińskiego“.

P. S. Wszystkie dzienniki prosimy gorąco o przedrukowanie tej odezwy.

W Krakowie, dnia 27 stycznia 1900 roku.

Sekretarz Kommissyi

*Prof. Roman Zawiliński.*

W. P.